

ANDRE NORTON

GARAN NIEŚMIERTELNY

TŁUMACZYŁ: PIOTR KUŚ

TYTUŁ ORYGINAŁU: GARAN THE ETERNAL

CZEŚĆ PIERWSZA

1. POPRZEZ BŁĘKITNĄ MGŁĘ

Sześć miesięcy i trzy dni po tym, jak podpisano Pokój Szanghajski i świat ogłosił koniec Wielkiej Wojny lat 1985–1988, pewien młody mężczyzna siedział zgarbiony na drewnianej ławce w nowojorskim parku i bezmyślnie wpatrywał się w czubki swoich znoszonych butów. Jedynym zajęciem, do którego przygotowano go w życiu, było pilotowanie samolotu myśliwskiego: niczego więcej nie potrafił. Poszukiwania jakiegoś zajęcia w życiu cywilnym przyniosły mu tylko rozczarowania i upokorzenia.

W pewnej chwili na drugim końcu ławki przysiadł ktoś zupełnie obcy młodemu człowiekowi. Lotnik zmierzył go uważnym spojrzeniem. Tak, westchnął z goryczą. Nowo przybyły miał dobre buty, ciepły płaszcz i roztaczał wokół siebie aurę zadowolenia, jaka zawsze towarzyszy człowiekowi, któremu w życiu się powiodło. Mimo że niewątpliwie przybysz już dawno przekroczył wiek uważany za średni, jego ruchy były sprężyste, a twarz inteligentna i czujna.

— Czy mam przyjemność' z kapitanem Garinem Featherstone? — rzucił przybysz niespodziewanie.

Zaskoczony lotnik jedynie skinął głową. Dwa lata temu on, kapitan Garin Featherstone ze Zjednoczonych Sił Demokratycznych, dowodził niebezpiecznym atakiem bombowym na bezkresne obszary Azji, z zadaniem zniszczenia ukrywającego się w niedostępnych terenach sił wroga. Była to spektakularna i szeroko komentowana wyprawa. Lotnikom, którzy ją przeżyli, przyniosła krótkotrwała sławę.

Nieznajomy wy dobył z kieszeni wycinek z jakiejś gazety i znów się odezwał:

— Jest pan człowiekiem, jakiego szukam. Pilotem o ogromnej odwadze, inicjatywie i inteligencji. Mężczyzna, który dowodził nalotami na Azję0 wart jest, by w niego zainwestować.

— Co chce mi pan zaproponować? — zapytał Featherstone niechętnie. Nie wierzył już, że kiedykolwiek uśmiechnie się do niego szczęście.

— Nazywam się Gregory Farson. — Nieznajomy przedstawił się takim tonem, jakby jego imię i nazwisko wszystko wyjaśniały.

— Człowiek z Antarktydy?

— Właśnie. Jak pan zapewne słyszał, moją ostatnią wyprawę musiałem odwołać dosłownie w przededniu jej rozpoczęcia, z powodu wybuchu wojny. Teraz jednak przygotowuje się do kolejnej ekspedycji na południe.

— Nie rozumiem jednak...

— ...w jaki sposób mógłby mi pan pomóc? To bardzo proste, kapitanie Featherstone. Potrzebuję pilotów. Niestety, wojna znacznie przetrzebiła ich szeregi. Miałem szczęście, że natrafiłem na kogoś takiego jak pan...

To było takie proste. Garin nie dowierzał jednak swojemu szczęściu aż do chwili, w której, kilka miesięcy później, morska ekspedycja dotarła do kontynentu wiecznych lodów. Gdy ściągnięto na ląd trzy duże samoloty, zaczął zastanawiać się, jaki jest cel wyprawy. Do tej pory Farson był tajemniczy nie chciał niczego zdradzić.

Kiedy statek odpłynął (miał powrócić dopiero za rok), Farson zwołał zebranie wszystkich uczestników ekspedycji, grupa składała się z trzech pilotów — wszyscy byli weteranami wojennymi — oraz dwóch inżynierów.

— Wkrótce — odezwał się przywódca, spoglądając po twarzach wszystkich uczestników ekspedycji — wyruszamy w głąb kontynentu Tutaj — na rozłożonej przed sobą mapie zakreślił długa, purpurową linię.

— Przed dziesięcioma laty — kontynuował — byłem uczestnikiem ekspedycji Verdane'a. Pewnego razu, gdy lecieliśmy na południe, nasz samolot wpadł w jakiś dziwny prąd powietrza i zboczył z kursu. W chwili, gdy już kompletnie nie wiedzieliśmy, gdzie się znajdujemy, zobaczyliśmy przed sobą w oddali gęstą, błękitną mgłę. Zdawało się, że płynie od bezkresnych obszarów, pokrytych lodem, prosto ku niebu. Niestety, zaczynało brakować nam paliwa, a ponieważ musieliśmy jeszcze zorientować się, gdzie jesteśmy, zrezygnowaliśmy z bliższego przyglądania się temu zjawisku. Z trudem dotarliśmy do bazy.

— Yerdane, niestety, nie zainteresował się naszym raportem i więcej do sprawy błękitnej mgły już nie wracaliśmy. Jednak trzy lata temu ekspedycja Kattacka, wysłana przez Dyktatora w celu poszukiwania nowych źródeł ropy naftowej, zaobserwowała to samo zjawisko. Tym razem nie spoczniemy, dopóki go nie zbadamy!

— Dlaczego — zapytał Garin z zaciekawieniem — tak bardzo chce pan spenetrować tę mgłę?

Farson przez chwilę jakby wahał się, jednak postanowił, że udzieli mu odpowiedzi.

— Otóż powszechnie uważa się, że pod lodową pokrywą Antarktydy znajdują się nieprzebrane bogactwa mineralne. Jestem przekonany, że błękitna mgła powodowana jest

przez aktywny wulkan, a może nawet przyczyną jej jest jakaś przerwa w lodowej powłoce Antarktydy. Takie właśnie miejsce chciałbym zbadać.

Garin pochylił się nad mapą. Wyjaśnienie Farsona nie przekonało go. Jednak to on w końcu płacił wszystkie rachunki, on był kierownikiem wyprawy. Spróbował odegnać od siebie wszystkie wątpliwości. Chlebodawcy, który sprawił, że znów mógł regularnie jadać, był w stanie wiele wybaczyć.

Cztery dni później wyruszyli w drogę. Helmly, jeden z inżynierów, pilot Rawlson oraz sam Farson zajęli miejsca w pierwszym samolocie. Drugi inżynier i drugi pilot wsiedli do kolejnego samolotu, a Garin z większością zaopatrzenia sam poleciał w trzecim.

Był zadowolony, że może lecieć samotnie. Jego samolot, z powodu ciężkiego ładunku, nie mógł wznieść się tak wysoko jak pozostałe dwa. Garin leciał więc w pewnej odległości od nich. Porozumiewali się za pomocą radia. Zakładając przed startem słuchawki na uszy. Garin przypomniał sobie ostatnie słowa, jakie usłyszał od Farsona przed wejściem do samolotu:

— Mgła zakłóca fale radiowe. Przed laty, kiedy znalazłem się w jej pobliżu, słyszalność była bardzo słaba. Prawic taka — roześmiał się — jakby ktoś w drugim samolocie mówił coś do mnie w obcym języku.

Ustawiając samolot do startu, Garin zastanawiał się, czy te obce słowa nie były przypadkiem rozmową uczestników tajnej ekspedycji wroga, takiej na przykład, jak wyprawa Kattacka.

W swej hermetycznej kabinie nie czuł mrozu, jaki otaczał samolot. W lodowatym, spokojnym powietrzu maszyna płynnie sunęła nad ziemią. Z zadowoleniem Garin wygodnie rozsiadł się w fotelu pilota i leciał kursem, który wyznaczały samoloty, sunące przed nim i nad nim.

Mniej więcej po godzinie od opuszczenia bazy ujrzał coś. Jakby mroczny cień, daleko przed sobą. W tym samym momencie usłyszał w słuchawkach głos Farsona: — To jest to! Lecimy prosto w tym kierunku! Cień stawał się coraz bardziej nieprzenikniony, aż wreszcie przeobraził się w purpurowoblękitną ścianę, rozciągającą się od ziemi aż do samego krańca nieba. Pierwszy samolot był już bardzo blisko niej. Już miał w nią wlecieć, gdy niespodziewanie zakotłosał się i zaczął lecieć prosto w kierunku ziemi, jakby pilot stracił nad nim kontrolę. Jednak po niedługim czasie przeszedł do lotu poziomego i wydawało się, że wszystko jest w porządku, lecz maszyna jakby w panice uciekała od purpurowoblękitnej ściany. Garin usłyszał w słuchawkach pytanie Farsona, co się dzieje, jednak nikt z pierwszego samolotu nie udzielił mu odpowiedzi.

Garin postanowił lecieć wolniej i zredukował obroty silników. To, co przydarzyło się pierwszej maszynie, nie zapowiadało niczego dobrego. Może, na przykład, purpurowoblękitną mgła zawierała jakiś trujący gaz.

— Bliżej. Featherstone — warknął Farston niespodziewanie.

Posłusznie przyśpieszył i po chwili lecieli już skrzydło w skrzydło. Mgła była już teraz tuż przed nimi i Garin ujrzał w niej ruch: gęste, ciemne, zachodzące na siebie bałwany. Samolot wpadł pomiędzy me i na szybach pojawiły się dziwne, jakby lepkie krople wilgoci.

Nagle Garin wyczuł, że nie jest sam. Poczuł, że w głębi pustej kabiny, za jego plecami, pojawił się jakiś inny, nieznan mu umysł, o ogromnej mocy. Z desperacją spróbował zrzucić z siebie jego władzę, odrzucić od siebie sama myśl, że ktokolwiek jeszcze, oprócz niego, jest w kabinie, lecz po chwili musiał się poddać. Jego ręce i nogi wciąż pilotowały samolot, jednak obcy przejął nad nimi całkowitą kontrolę.

Samolot wciąż płynnie mknął przez mgłę, która coraz bardziej gęstniała. Garin nie widział już maszyny Farsona. Jeszcze raz spróbował podjąć walkę przeciwko obcemu umysłowi — bezskutecznie. I gdy dotarł do niego rozkaz, aby zanurkował samolotem w samo serce purpurowej mgły, posłusznie go wykonał.

Samolotem zaczęło teraz rzucać i trząść. W pewnym momencie, gdy mgła na krótką chwilę zrzędła, Garin ujrzał surowe szare skały, urozmaicone miejscami żółtym kolorem o różnych odcieniach. Farson miał rację; tutaj ziemi nie pokrywała lodowa powłoka.

Coraz bardziej zbliżał się do ziemi. Jeżeli wszystkie instrumenty w maszynie działały sprawnie, to w tej chwili powinien już znajdować się poniżej poziomu morza. Mgła wkrótce zrzędła i zniknęła. Pod samolotem pojawiła się ogromna zielona równina. Z rzadka wyrastało z niej coś, co od biedy określić można było jako drzewa. Garin ujrzał też strumienie, w których płynęła żółta woda.

Było w tym krajobrazie coś przerażająco obcego, niesamowitego. Przerażony, znów spróbował wyrwać się spod władzy nieznanego. Ponownie bez skutku. Niespodziewanie usłyszał w słuchawkach jakiś zgrzyt i w tej chwili widok za iluminatorem zniknął.

Na rozkaz obcej siły Garin poderwał nos samolotu do góry. Maszyna błyskawicznie zaczęła oddalać się od zielonego łądu. Znów otoczyła ją mgła. Na szybach jeszcze raz pojawiły się ciężkie, ciemne krople. Jeszcze jakieś sto stóp i — Garin był przekonany — zakończy się koszmar dziwnej mgły i niewiarygodnego świata, który osłaniała.

I wówczas, bez żadnego powodu, silniki samolotu zakaszły; maszyna płynnym lotem ślizgowym ponownie zaczęła lecieć w dół, w kierunku zielonego łądu. Teraz już bardzo blisko samolotu pojawiły się drzewa i wielkie, rozłożyste rośliny, przypominające paprocie.

Ich pnie i łodygi były jednak czerwone. Samolot zmierzał ku największemu skupisku tych roślin.

Niemal oszalały ze strachu. Garin zaczął chaotycznie szargać za wszystkie dźwignie sterów. Udało mu się doprowadzić do tego, że maszyna zmieniła tor lotu na bardziej płaski. Nie mając już wątpliwości, że za chwilę znajdzie się na ziemi, rozpoczął gorączkowe przygotowania do lądowania. Uważnie rozglądał się za jak największym fragmentem płaskiej powierzchni. Jednak nie było mu dane jej znaleźć. Nieznana siła znów przejęła całkowitą kontrolę nad lotem i skierowała samolot prosto na wysokie niby-paprocie. W momencie, kiedy maszyna uderzyła w nie, rozległ się przeraźliwy zgrzyt pękającej blachy i łamanych drzew. W tej samej chwili Garina ogarnęła ciemność.

Świadomość wracała mu bardzo wolno. Ogromny boi sprawiał, że przed oczyma warowały mu jakby czerwone płyty. Był unieruchomiony w masie żelastwa, które kiedyś było kabiną jego samolotu. Przez niewielkie pęknięcia w ścianie, tuż obok głowy, widział zieloną ziemię. Leżał bez ruchu i wpatrywał się w mą. Bał się, że najmniejsza próba poruszenia się sprawi, iż ból stanie się jeszcze straszniejszy.

W pewnej chwili usłyszał jakieś dźwięki z zewnątrz, jakby czyjeś ręce próbowały rozerwać kabinę, w której był uwięziony. I rzeczywiście: po chwili jedna z blach ograniczających mu swobodę ruchu z brzękiem odpadła.

Garin powoli odwrócił głowę. W dopiero co powstałym otworze ujrzał dziwaczne stworzenie, podobne do chochlika.

Miało mniej więcej pięć stóp wzrostu i chodziło na tylnych nogach prawie jak człowiek, jednak nogi te były bardzo krótkie i grube, zakończone stopami, w których tkwiło po pięć palców; wszystkie identycznej grubości. Szczupłe, wiotkie ramiona zakończone były małymi dłońmi o czterech palcach. Stworzenie miało wysokie, okrągłe czoło, lecz pozbawiona brody jego twarz przypominała trochę oblicze jaszczurki. Skóra tego dziwoląga była czarna, lśniąca, jakby aksamitna. Wokół bioder przewiazaną miało krótką spódniczkę, którą podtrzymywał wysadzany błyszczącymi kamieniami pięknie wykonany skórzany pas. Spódniczka lśniła metalicznym blaskiem.

Stworzenie przez długą chwilę nie odrywało ślepiów od Garina. Te właśnie oczy, jakby stworzone ze złota, sprawiły, że lotnik w jednej chwili przestał się bać. Z ich głębi można było wyczytać jedynie ogromny smutek i obawę o stan zdrowia pilota.

Jaszczur wyciągnął górną kończynę i odgarnął włosy ze spoczonego czoła Garina. Potem dotknął strzępów metalu, które go więziły, jakby sprawdzając, czy ma dość siły, aby je

rozerwać. Uczyniwszy to, wyrzwał na zewnątrz i najwyraźniej wydał jakiś rozkaz, zaraz jednak powrócił i przykucnął przy Garinie.

Po chwili pojawiły się jeszcze dwa osobniki z jego gatunku i zaczęły rozrywać to, co pozostało z kabiny samolotu. Mimo że postępowały bardzo ostrożnie, ból, który gnębił Garina, był tak silny, że zanim odzyskał wolność, stracił przytomność.

Kiedy ponownie powróciła mu świadomość, stwierdził, że spoczywa w lektyce, unoszonej przez dwa stworzenia, które od biedy można było porównać do małych słoni. Od słoni różniły się jedynie tym, że me miały trąb i każde z nich posiadało cztery kły.

Przez długą chwilę procesja z Garinem przemierzała otwartą przestrzeń, ale w końcu dotarła do wielkiej groty, gdzie lektykę przejęły cztery jaszczurowopodobne stworzenia. Garin leżał nieruchomo, patrząc jedynie w górę. W czarnym kamieniu groty wyrzeźbione były paprocie i kwiaty, z nieprawdopodobną wręcz precyzją i mistrzostwem.

Po krótkim marszu przez wąski korytarz jaszczury zatrzymały się przed jakimiś drzwiami, a ich przywódca przekreślił gałkę, wystającą ze skalnej ściany. Otworzyły się owalne drzwi i cała grupa przeszła przez niewysoki próg.

Znaleźli się w okrągłym pomieszczeniu, którego ściany wykonane były z kremowego kwarcu, przetykanego gdzieś fioletowymi żyłkami. Pod najwyższym punktem sufitu zwisała wielka kula, będąca źródłem jasnego światła.

Dwa jaszczury, ubrane w długie fartuchy i przebywające już w tej sali kiedy znalazł się w niej Garin, przez chwilę konferowały nad czymś z najważniejszym spośród przybyszów, a potem podeszły do lotnika i pochyliły się nad nim. Jeden z nich potrząsnął ze współczuciem głową na widok jego poranionego ciała i gestem nakazał, aby lektykę przeniesiono do kolejnego, mniejszego pomieszczenia.

Tutaj ściany były ciemnoniebieskie, a na samym środku leżał duży blok kwarcu. Lektykę położono dokładnie na ten blok i jaszczury, które ją niosły, bezszelestnie zniknęły. Teraz ten, który kazał przynieść tutaj Garina, ostrym nożem porozcinał jego kombinezon. Po chwili lotnik leżał zupełnie nago,

Teraz dwa jaszczury unieruchomiły go za pomocą metalowych łańcuchów. Potem jeden z nich podszedł do ściany i wyciągnął z niej błyszczący pręt. Nagle ostry promień niebieskiego światła z sufitu padł na bezradnego Garina. Poczł jakby mrowienie w każdej cząsteczce ciała, skóra jakby mu zapłonęła, jednak trwało to niezwykle krótko. Po chwili wrażenia te zniknęły i zniknął też, jak ręką odjął, wszelki męczący go ból.

Gdy płomień zgasł, pochyliły się nad nim trzy jaszczury. Ubrały go w długi kaftan z jakiegoś miękkiego materiału przeniosły do kolejnego pomieszczenia. Ono również miało

kulisty kształt, lecz z jednej strony było jakby ścięte i przywodziło na myśl połówkę wielkiego balonu. Podłoga łagodnie opadała w kierunku środka pomieszczenia, a tam wymoszczona była miękkimi matami i poduszkami. Na nich właśnie ułożono Garina. Wysoko nad sufitem unosiła się jakby różowa chmura. Obserwował ją leniwie, aż w końcu zasnął...

Coś ciepłego dotknęło jego obnażonego ramienia. Otworzył oczy i przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć, gdzie się znajduje. Zaraz jednak wszystko do niego dotarło i w jednej chwili oprzytomniał.

O ile jaszczuropolodobne stworzenia w swojej groteskowości przywodziły na myśl chochliki, kolejna istota, którą zobaczył, mogła być elfem. Była wysoka zaledwie na trzy stopy, a jej ciało, jakby małpie, w całości pokryte było jedwabistą białą sierścią. Dłonie miała podobne do ludzkich, pozbawione włosów, natomiast jej tylne kończyny zakończone były pazurami, podobnymi do kocich. Z obu stron małej, niemal doskonale okrągłej głowy wyrastały wielkie uszy. Twarz jej pokryta była włoskami, a sztywne wąsy nad górną wargą powodowały, że sprawiała wrażenie kocięj.

Był to Ana. Juk później dowiedział się Garin. Any były małymi wesołymi stworzonkami, z których każde wybierało pana lub panią spośród Ludu; Lud stanowiła rasa jaszczuropolodobnych stworzeń, na które Garin natknął się na początku. Any uwielbiały swych wielkich protektorów i były im bezgranicznie oddane. Były lojalne i dzielne, gotowe spełniać każde powierzone im zadanie, i towarzyszyły swoim władcom do samej śmierci. Nie były ani ludźmi, ani zwierzętami; plotka głosiła, że stanowiły produkt eksperymentu, przeprowadzonego przez Pradawnych przed wieloma stuleciami.

Pogłaskawszy lotnika po ramieniu. Ana niepewnie dotknął jego czupryny, porównując jego brązowe włosy ze swym białym futrem. Jako że Lud stanowili osobnicy nie mający sierści, włosy na głowie Garina były w Pieczarach dziwnym zjawiskiem.

Niespodziewanie z cichym trzaskiem otworzyły się drzwi w ścianie. Ana natychmiast zerwał się na równe nogi i popędził, aby przywitać nowo przybyłego. Do sali wszedł Wódz Ludu, osobnik, który pierwszy zobaczył Garina w rozbitym samolocie. Za nim postępowało kilku jego podwładnych.

Lotnik usiadł. Z jego ciała nie tylko zniknął wszelki ból, ale czuł się też silniejszy i młodszy niż do tej pory. Przeciągnął się z zadowoleniem i radośnie wyszczerzył zęby do jaszczurów, na co one zareagowały wesołymi pomrukami i pochrząkiwaniami. Zaraz też zajęły się Garinem. Ubrały go w spódniczkę, podobną do tych, jakie nosiły same. Otrzymał również wysadzany klejnotami pas. Najwyraźniej tylko takie stroje noszono w Pieczarach.

Kiedy był już ubrany. Wódz wyciągnął ku niemu rękę i sprowadziwszy go z poduszek na posadzkę, poprowadził do drzwi. Przeszli przez hol, którego ściany na całej powierzchni pokryte były płaskorzeźbami i lśniącymi kamieniami. Hol przeszedł wkrótce w wielką grootę, tak szeroką, że nie sposób było zauważyć jej ścian. Na podwyższeniu stały tutaj trzy trony i Garina poprowadzono właśnie w tym kierunku.

Najwyższy tron zbudowany był z różowego kryształu. Po jego prawej stronie stał tron z zielonego netrytu, wyraźnie noszący ślady działania czasu. Tron z lewej strony wykonany był z bloku agatu. Trony kryształowy i agatowy były puste, ale na poduszkach nefrytowego spoczywał ktoś z Ludu. Był wyższy niż pozostali, a z jego oczu — uważnie przyglądających się Garinowi — emanowała mądrość i przemożny smutek.

— Dobrze — usłyszał Garin jego słowa. — Dokonałiśmy mądrego wyboru. Młodzieniec ten powinien spełnić nasze oczekiwania; porozumie się z Córką. Będzie mu jednak trudno, napotka na swej drodze wiele niebezpieczeństw. Musi zdobyć Córkę i pokonać Keptę...

Cichy pomruk przebiegł przez grootę. Garin przypuszczał, że zgromadziły się tu setki przedstawicieli Ludu.

— Urg! — zawołał osobnik siedzący na tronie. — Zabierz tego młodzieńca i udziel mu lekcji. Dopiero potem ja z nim porozmawiam. Wkrótce — jakby odrobina radości zabrzmiała w jego głosie — różowy tron znów zostanie obsadzony, a Czarni zostaną rozbici w pył. Czas biegnie szybko.

Wódz nakazał zaskoczonemu Garinowi wycofać się spod tronu.

2. GARIN DOWIADUJE SIĘ O CZARNYCH

Urg zabrał lotnika do jednej z owalnych sal. Stała w niej niska miękka ławka, umieszczona naprzeciwko metalowego ekranu. Na niej właśnie obaj usiedli.

To, co było potem, było lekcją języka. Na ekranie ukazywały się przedmioty, które Urg głośno nazywał, a Garin usiłował powtarzać jego słowa. Jak Amerykanin dowiedział się później, leczenie za pomocą promienia, któremu niedawno został poddany, zwiększyło efektywność jego mózgu i w niewiarygodnie krótkim czasie dysponował już takim słownictwem, że swobodnie mógł prowadzić rozmowy w języku Ludu.

Jak Garin mógł sądzić po obrazach, ukazujących się na ekranie. Lud jaszczuropolodopodobnych istot władał światem, mieszczącym się pod powierzchnią ziemi, chociaż były tu i inne formy życia. Podobne do słoni „Tandy” traktowano jako zwierzęta pociągowe, natomiast „Erony”. przypominające swym wyglądem wiewiórki, żyły pod ziemią i wychodziły i powierzchnię tylko dwukrotnie w ciągu roku, by kontaktować się z Ludem w celach handlowych. Podczas gdy Lud zamieszkiwał Pieczary, Erony żyły w norach i korytarzach, które same drążyły w ziemi.

W świecie tym istniały również „Gibi”. wielkie pszczoły, również przyjazne jaszczurom. Zaopatrywały one mieszkańców Pieczar w воск, a w zamian Lud dawał im schronienie wtedy, gdy nad ziemią unosiły się nieprzyjazne Wielkie Mgły.

Lud rozwinął cywilizację na bardzo wysokim poziomie. Praktycznie wszystkie prace wykonywały za jaszczurów maszyny, z wyjątkiem ręcznej obróbki kamieni szlachetnych oraz prac rzeźbiarskich, gdy zdobili ściany swych Pieczar. Maszyny tkwały ich metalowe suknie, maszyny przygotowywały im posiłki, zbierały plony, wreszcie budowały im nowe siedziby.

Wolny od prac fizycznych. Lud mógł poświęcić się doskonaleniu umysłów. Urg prezentował na ekranie przepastne laboratoria i ogromne biblioteki, wypełnione pracami naukowymi. To wszystko jednak, co Lud wiedział na początku, przekazane mu zostało przez Pradawnych, rasę zupełnie różną od nich, przed Ludem panująca nad krainą Tav. Powstanie Ludu było efektem eksperymentów nad ewolucją, które prowadzili właśnie Pradawni.

Wiedza zgromadzona przez Lud strzeżona była bardzo starannie. Urg nie potrafił jednak powiedzieć przed kim, chociaż zapewniał Garina, że niebezpieczeństwo zagrażające Ludowi jest bardzo realne.

Kiedy lekcja trwała w najlepsze, rozległ się gong i Urg powstał.

— Wybiła godzina posiłku — oznajmił. — Chodźmy jeść.

Po chwili znaleźli się w pomieszczeniu, w którym wzdłuż trzech ścian ustawione były ciężkie, długie stoły; przed nimi stały ławki. Urg usiadł na jednej z nich i nacisnął guzik umieszczony w stole, gestem zachęcając Garina, aby zrobił to samo. Po kilku sekundach ściana przed nimi uniosła się na moment i na stół wysunęły się dwie tace. Na każdej z nich stał talerz z pachnącą pieczenią, kubek z zupą i porcja owoców. Jakiś Ana niespodziewanie znalazł się w pobliżu i popatrzył na owoce z taką tęsknotą, że Garin natychmiast się z nim podzielił.

Jaszczury spożywały swe posiłki w absolutnej ciszy. Kończąc, równie cicho, bezszelestnie wstawiały z ławek, a tace natychmiast znikwały w ścianie. Garin zauważył, że w sali znajdują się tylko osobniki płci męskiej; do tej pory nie zauważył jeszcze przedstawicielki płci żeńskiej. Postanowił zapytać Urga o przyczynę.

Urg zachichotał:

— Wydaje ci się więc, że w Pieczarach nie ma kobiet — w takim razie chodźmy do groty kobiet. Tam je zobaczysz.

Poszli i zobaczyli. Bogactwo tej groty zapierało dech w piersiach. Wspaniałe szlachetne kamienie warte bająńskich sum skrzyły się różnobarwnymi iskierkami z owalnego sufitu i kolorowych ścian. W grocie znajdowały się matrony i dziewice Ludu. Ich czarne ciała poowijane były w srebrzyste, półprzezroczyste szaty, przetykane klejnotami, mieniącymi się wszelkimi barwami.

Kobiet nie było wiele — mniej więcej setka. Najmłodsze nich ze zdziwieniem i zażenowaniem przyjęły pojawienie się Garina. Wstydliwie wsadziwszy sobie palce do ust, przyglądały mu się okrągłymi, żółtymi oczami.

Większość z nich jednak z dumą prezentowała przybyszowi swe klejnoty i drogocenne szaty. Pod jedną ze ścian taką szatę właśnie tkano. Cierpliwie pracowały przy niej trzy kobiety, mocując małe różowe kamienie w srebrnym materiale. Tkwiły już w nim i zielone szmaragdy, i ogniste opale; bez wątpienia szata ta, ukończona, będzie się mieniła wszystkimi kolorami tęczy.

Jedna z kobiet pogładziła szatę i spojrzawszy na Garina, wyjaśniła mu cichym, melodyjnym głosem:

— Przygotowujemy ją dla Córki; otrzyma ją, kiedy wróci na swój tron.

Córka! Co powiedział władca Ludu? „Młodzieniec ten porozumie się z Córką!” Jednak Urg twierdził, że Pradawni odeszli już z Tav.

— Kim jest Córka? — zapytał.

— To Thrala. Niewolnica Światła.

— Gdzie ona jest?

Kobieta zadrżała i w jej oczach pojawił się strach.

— Thrala żyje w Grotach Ciemności.

— W Grotach Ciemności? — Czy to znaczy, że Niewolnica nie żyje? Czy on. Garin Featherstone, ma zostać ofiarą jakiegoś rytuału, podczas którego jego śmierć oznaczać będzie porozumienie się ze zmarłą?

Urg dotknął jego ramienia.

— To nie tak — odezwał się. — Thrala nie dotarła jeszcze do Ziemi Przodków.

— Znasz moje myśli? Urg roześmiał się:

— Bardzo łatwo jest czytać myśli. Thrala żyje. Sera służyła Córce jako dama do towarzystwa, kiedy była ona jeszcze między nami. Sero. pokaż nam Thralę taka. jaka była.

Kobieta podeszła do ściany, do miejsca, w którym znajdował się taki sam ekran, jakiego Urg używał, aby uczyć Garina języka. Wpatrywała się w niego, a potem skinęła na lotnika, by podszedł do niej.

Ekran jakby na chwilę zaszedł mgłą. a potem już Garin patrzył jakby przez okno do pokoju, którego ściany i sufit wykonane były z różowego kwarcu. Na podłodze leżały grube dywany, mieniące się srebrem i czerwienią. Na środku stała miękka, duża sofa.

— Oto komnata Córki — powiedziała Sera.

Teraz ukazało się wąskie przejście w ścianie, przez które wsunęła się postać kobieca. Była bardzo młoda, jeszcze niedawno była zaledwie dziewczynką. Jej pełne, czerwone usta były ładnie zaokrąglone, w fioletowych oczach skrzyły się radosne światełka. Miała ludzkie kształty, lecz jej uroda była wręcz nieziemską. Miała delikatną, perłowobiałą skórę i granatowoczarne włosy, sięgające jej niemal do kolan, sunące za nią niczym chmura. Nosila srebrzystą szatę, przepasaną szarfą, która wysadzana była drogocennymi klejnotami.

— Tak wyglądała Córka, zanim stała się Niewolnicą wśród Czarnych — powiedziała Sera.

Urg roześmiał się. widząc rozczarowanie na twarzy Garina. które pojawiło się w chwili, gdy obraz Córki zniknął.

— Nie dbaj u cienie młodzieńcze Przecież czeka na ciebie Córka prawdziwa, żywa. Musisz tylko wyprowadzić ja z Grot Ciemności.

— Gdzie są te Groty? — zapytał Garin. jednak nie doczekał się odpowiedzi. W sali rozległ się dźwięczny gong.

— Czarni! — krzyknęła Sera.

Urg wzruszył ramionami.

— Skoro Czarni nie oszczędzili nawet Pradawnych, jakąż możemy mieć nadzieję na ucieczkę? Chodź, musimy dać się do Sali Tronowej.

Przed nefrytowym tronem Wodza Ludu obok dwóch lektyk zgromadzona była mała grupa jaszczuropodobnych. Gdy Garin wszedł do Sali. Wódz przemówił:

— Niech przybysz podejdzie bliżej, aby mógł zobaczyć dzieło Czarnych.

Garin niechętnie przybliżył się do tronu i zatrzymał się obok jaszczuropodobnych. Byli mężczyznami z Ludu. jednak ich czarną skórę pokrywały rdzawe, zielone plamy.

Wódz wychylił się ku nim ze swego tronu.

— Już dobrze — powiedział. — Możecie odejść.

Natychmiast posłuchali jego rozkazu i ruszyli do wyjścia. Sprawiali wrażenie nieszczęśliwych i chorych. Co chwila któryś z nich wydawał budzący grozę jęk.

— Spójrz, co uczynili Czarni — powiedział władca do Garina. — Jiv i Betv zostali pojmani podczas misji do Gibich z Urwiska. Zdaje się, że Czarni potrzebowali materiału do swych laboratoriów.

Straszliwy okrzyk nienawiści rozległ się w Sali. Garin nacisnął zęby.

— Jiv i Betv zostali uwięzieni w pobliżu Córki i słyszeli pogroźki Kepty wobec niej. Później naszych braci zarażono obrzydliwą chorobą i wysłano ich do nas, żeby rozszerzali ją na nas: oni jednak przepłynęli przez staw wrzącego błota. Wkrótce zmarli, jednak zaraza zmarła razem z nimi. Myślę, że dopóki tacy jak oni znajdują się wśród nas. Czarni nie złamią nas tak łatwo. Posłuchaj teraz, przybyszu. historii o Czarnych i Grotach Ciemności, o tym. jak Pradawni wyciągnęli Lud ze szlamu schnącego morza i uczynili go wielkim; o tym. wreszcie jak Pradawni doprowadzili swój rodzaj do zagłady.

— W dawnych dniach, zanim jeszcze ziemie zewnętrznego świata wyłoniły się z morza, a nawet jeszcze przedtem. zanim Ziemia Słońca (Mu) i Ziemia Morza (Atlantis) powstały ze skał przemieszanych z piaskiem, tutaj, na dalekim południu, była już ziemia. Był ład skał. gleb i błot. gdzie rozkwitało życie w najprostszyc formach.

— Pewnego dnia na tej ziemi znaleźli się Pradawni, którzy przybyli do niej aż spoza gwiazd. Ich rasa była już wtedy o wiele starsza niż ta planeta. Ich mędrcy obserwowali jej narodziny, kiedy wykluwała się ze słońca. A kiedy ich świat zginął, zabierając większość ich krwi w nicość, garstka Pradawnych przybyła właśnie tutaj, w poszukiwaniu świata dla siebie.

— Kiedy jednak wyszli na zewnątrz ze swego statku kosmicznego, poczuli, że znaleźli się w piekle. Bo zamiast wymarzonego domu. który tak bardzo pragnęli znaleźć, natknęli się tutaj tylko na nagie skały i śmierdzące grzęzawiska.

— Z przekleństwami na ustach postawili stopy na Tav i rozpoczęli tu życie. Ulepszyli je dzięki temu, co przywieźli ze sobą w statku kosmicznym. Łapali też stworzenia żyjące w bagnach. To z nich utworzyli właśnie Lud. Gibich, Tandów i kochających ziemię Eronów,

— Spośród tych ras to Lud okazał się najbardziej pojętnym i łaknącym wiedzy, i on właśnie zaszedł najwyżej w procesie rozwoju. Całej wiedzy Pradawnych nie był jednak w stanie objąć.

— Przez długie wieki, kiedy Pradawni zamieszkiwali tę planetę, okryci ochronną ścianą mgły, zewnętrzny świat zmieniał się. Zimno ogarnęło północ i południe. Ziemia Słońca Ziemia Morza wydały pierwszych ludzi. Dzięki swym wielkim zwierciadłom Pradawni mogli obserwować, jak zewnętrzny świat staje się coraz bardziej pełen ludzi. Potrafili przedłużać życie, a jednak mimo to ich rasa ginęła. Potrzebowali Świeżej krwi. Dlatego sprowadzili do siebie pewnych ludzi i Ziemi Słońca. Ci ludzie natychmiast rozmnożyli się w ich Świecie.

— Dlatego Pradawni postanowili opuścić Tav. Jednak tymczasem morze pochłonęło Ziemię Słońca; oszukało ich. Pradawni rozpoczęli mimo wszystko przygotowania do kolejnego wielkiego exodusu.

— Ludzie, którzy przetrwali w zewnętrznym świecie, zdziczyli. Ponieważ Pradawni nie zamierzali mieszać swej krwi i krwią stworzeń, które wówczas były niemalże bestiami, wzmocnili ochronną ścianę mgły i czekali. Jednak garstka spośród nich, podniecona tym, co zakazane, w tajemnicy sprowadziła kilka bestii. Czarni są właśnie efektem zmieszania krwi Pradawnych z krwią bestii. Żyją tylko po to, by czynić zło, a ich potęgą służy wyłącznie okrucieństwu.

— Grzechu garstki Pradawnych początkowo nie zauważono. Kiedy to nastąpiło, pozostali gotowi byli zabić winowajców, jednak prawo im tego zabraniało. Mogli swej mocy używać jedynie dla czynienia dobra; gdyby choć raz postąpili inaczej, opuściłoby ich. Dlatego jedynie zaprowadzili Czarnych do południowej części Tav i oddali im Groty Ciemności. Zabronili im przechodzić na północną stronę Rzeki Złota; sami postanowili nigdy nie przechodzić na jej południowy brzeg.

— Mniej więcej przez dwa tysiące lat Czarni nie łamali praw. Pracowali jednak usilnie, wzmacniając swe moce czynienia zła i destrukcji. Natomiast Pradawni udali się do zewnętrznego świata; poszukiwali ludzi, którzy pomogliby im podtrzymać ich rodzaj. Pewnego razu przybyli do nich ludzie z wyspy, leżącej daleko na północy. Było ich sześciu, sześciu jasnowłosych, morskich wędrowców.

— Ale Czarni również nie próżnowali. W przeciwieństwie do Pradawnych, którzy poszukiwali najlepszych ludzi. Czarni poszukiwali najgorszych, takich, którzy nie cofnęliby się przed najstraszliwszym złem. Te zamiary się im powiodły.

— I wreszcie Czarni przekroczyli Rzekę Złota i wkroczyli na ziemie Pradawnych. Thran, Oświecony Pan Jaskiń, wezwał do siebie cały Lud.

— Możemy przetrwać tylko w jeden sposób, powiedział. Podejmiemy walkę dopiero wtedy, gdy Czarni będą przekonani, że nas zwyciężyli. Dlatego Thrala, Córka Światła, nie wejdzie do Komnaty Przyjemnej Śmierci z pozostałymi kobietami, lecz wyda się w ręce Czarnych, co wywoła u nich euforię, upojenie zwycięstwem, i osłabi ich czujność. Cały Lud wycofa się do Pieczary Gadów i pozostanie tam, dopóki Czarni się nie wycofają. Nie wszyscy Pradawni zginą w boju, wielu przetrwa, jednak nie ośmielam się prorokować, w jaki sposób. Kiedy jasnowłosy młodzieniec przybędzie z zewnętrznego świata, pošlę go do Grot Ciemności, aby ocalił Thralę i położył kres złu.

— Wówczas powstała Oświecona Thrala i rzekła: Niech się dzieje, jak nakazał Thran. Oddam się w ręce Czarnych, bo wierzę, że takie jest moje i ich przeznaczenie.

— Wtedy Thran uśmiechnął się i powiedział: Pewnego dnia szczęście znów powróci do ciebie. Bo czyż po Wielkiej Mgle nie powraca jasność?

— Wkrótce kobiety Pradawnych przeszły do Komnaty Przyjemnej Śmierci, a mężczyźni zaczęli przygotowywać się do walki z Czarnymi. Bój trwał trzy doby, lecz nowa broń Czarnych przyniosła im zwycięstwo i wkrótce ich szef zasiadł na nefrytowym tronie, przypieczętowując sukces. A jednak Czarnym nie spodobało się tutaj, zatęsknili za ciemnościami swoich Grot i w niedługim czasie my, Lud, powróciliśmy do Pieczary Gadów.

— Teraz nadszedł czas, w którym Córka ma zostać poświęcona złu. I tylko ty, przybyszu, potrafisz ją uratować.

— A co się stało z Pradawnymi? — zapytał Gann. — z tymi, o których Thran powiedział, że przetrwają?

— O nich nie wiemy nic, ponad to, że kiedy grzebaliśmy zwłoki zabitych w Jaskini Przodków, wielu brakowało. Abyś jeszcze lepiej zrozumiał moją opowieść, Urg zabierze cię na galerię nad Komnatą Przyjemnej Śmierci; spojrzysz na tych, którzy tam śpią.

Mając Urga za przewodnika, Garin wspiął się po stromej rampie, prowadzącej z Sali Tronowej na wąski balkon. Z lewej strony ograniczała go przejrzysta, kryształowa ściana. Urg wskazał ręką w dół.

Znajdowali się ponad podłużnym pomieszczeniem, którego ściany ozdobione były zielonym nefrytem. Na lśniącej podłodze w różnych miejscach znajdowało się mnóstwo

miękkich posłań i poduszek. Wszystkie zajęte były przez śpiące kobiety: niektóre tuliły w ramionach dzieci. Ich długie włosy opadały na podłogę, długie rzęsy rzucały cienie na twarze.

— Przecież one śpią! — wykrzyknął Garin. Urg przecząco potrząsnął głową:

— To jest sen śmiertelny. Co dziesięć godzin z podłogi unoszą się kłęby pary. Kto chociaż raz oddychał tą parą, nigdy już się nie obudzi i będzie tutaj spoczywał przez tysiąc lat. Popatrz...

Wskazał na zamknięte podwójne drzwi, prowadzące do pomieszczenia. Leżeli przy nich pierwsi Pradawni, jakich Garin ujrzał. Wydawało się, że oni także śpią w wygodnych pozycjach i aż trudno było uwierzyć, że tak nie jest.

— Thran rozkazał tym, którzy po ostatniej bitwie pozostali w Sali Tronowej, aby weszli do Komnaty Przyjemnej Śmierci. Przez to Czarni nie mogli torturować ich dla zaspokojenia swoich bestialskich przyjemności. Thran pozostał, aby zamknąć za nimi drzwi i zginął w straszliwych męczarniach.

Wśród przebywających w Komnacie Przyjemnej Śmierci nie było osobników starych. Nikt spośród nich nie miał więcej niż trzydzieści lat, wielu wyglądało na znacznie młodszych. Garin podzielił się tą myślą z Urgiem.

— Pradawni wyglądają tak aż do śmierci, chociaż wielu z nich żyje setki lat. Teraz nawet Lud potrafi powstrzymywać zewnętrzne objawy starzenia się. Wracajmy jednak, Trav chce znów przemówić do ciebie.

Ponownie Garin stanął przed nefrytowym tronem Trava, wobec otaczającej go niezliczonej rzeszy milczącego tłumu. Trav obracał w swych delikatnych dłoniach niewielki pręt z lśniącego, zielonkawego metalu.

— Słuchaj uważnie przybyszu — zaczął — ponieważ mamy niewiele czasu. W przeciągu siedmiu dni ogarnie nas Wielka Mgła. Wówczas żadna żywa istota, która wychynie z ukrycia, nie uniknie śmierci. Jeszcze przed nadejściem mgły Thrala musi być wolna. Ten oto pręt będzie twoją bronią; Czarni nie znają jego tajemnicy. Popatrz tylko.

Jak spod ziemi wyrosli przed nim dwaj osobnicy, trzymając w dłoniach metalową sztabę. Trav dotknął sztaby prętem. Natychmiast pokryła się wielkimi plamami rdzy. Płaty rdzy oderwały się od niej i opadły na ziemię. Ktoś z Ludu natychmiast rzucił się, aby je posprzątać.

—Thrala znajduje się w samym sercu Grot, jednak ludzie Kepty z biegiem lat stali się beztroscy i pewni siebie; nie strzegą jej już aż tak silnie jak na początku. Musisz wkroczyć tam śmiało i liczyć na łut szczęścia. Czarni nie mają pojęcia ani o twoim przybyciu, ani o dotyczących ciebie słowach Thrana.

Urg wystąpił krok do przodu i podniósł rękę na znak, że chce coś powiedzieć.

— Co takiego. Urg?

— Panie, chciałbym udać się do Grot razem z przybyszem. On nie ma pojęcia o Puszczy Grobów ani o Błotnistym Stawie. W tamtych okolicach nietrudno będzie mu zbłądzić...

Trav potrząsnął głową:

— Niestety, tak się nie stanie. On musi iść samotnie, jak przykazał Thran.

Ana, który niczym cień nie odstępował Ganna przez cały dzień, przeraźliwie gwizdnął i stanął na palcach, chcąc dotknąć jego dłoni.

Trav uśmiechnął się.

— On może z tobą pójść; jego oczy mogą okazać ci się bardzo potrzebne. Urg zaprowadzi cię do miejsca, w którym kończy się Jaskinia Przodków, i wskaże ci drogę do Grot. Żegnaj, przybyszu. Oby duchy Pradawnych przez cały czas były z tobą!

Garin skłonił się przed Władcą Ludu i ruszył za Urgiem. Przy drzwiach stała grupka kobiet. Wysunęła się spomiędzy nich Sera i wyciągnęła przed siebie niewielką torbę.

— Przybyszu — powiedziała pośpiesznie — kiedy dotrzesz do Córki, powiedz jej, że Sera wciąż na nią czeka, czeka od wielu lat.

— Tak zrobię — uśmiechnął się Garin.

— Nie zapomnij, przybyszu. Wśród Ludu jestem wielką damą. stara się o mnie wielu konkurentów, a mimo to nie dorównuję Córce. Zazdroszczę jej. — Roześmiała się. — Nie będę ci tego wyjaśniała. Oto jest żywność dla ciebie — wskazała na torbę. — A teraz już idź. gdyż chcemy, abyś do nas wrócił przed Mgłą.

Pożegnawszy się z kobietą, ruszyli. Urg wybrał rampę prowadzącą w dół. Kończyła się ona niszą, u wejścia do której płonęło słabe światło. Urg wsunął dłoń w jakiś otwór wyciągnął z niego parę wysokich koturnów, które gestem nakazał Garinowi włożyć. Pasowały; wykonano je kiedyś dla mężczyzny Pradawnych.

Przejście za niszą było wąskie i kręte. Pod stopami Urga i Garina rozpościerał się gruby dywan kurzu, na którym widoczne były rzadkie ślady stóp. Za kolejnym zakrętem z półmroku wyłoniły się wysokie drzwi. Urg nacisnął na nie. Rozległ się krótki trzask i kamienne drzwi ustąpiły.

— Oto Jaskinia Przodków — oznajmił, przestępując próg. Znajdowali się w drzwiach prowadzących do ogromnej pieczary. Jej okrągły sufit ginał wysoko w mroku. Grube kryształowe filary dzieliły pieczarę na nawy. prowadzące do półokrągłego podwyższenia, które przywodziło na myśl ołtarz. Wzdłuż naw stały miękkie łoża. a na każdym z nich ktoś

leżał, sprawiając wrażenie, że śpi. Bliżej drzwi leżały kobiety i mężczyźni z Ludu, a przy ołtarzu spoczywali Pradawni. Gdzieniedzie łoże opatrzone było napisem.

— Kochankowie Światła spoczywają w pokoju — powiedział Urg. — Pewnego dnia Światło do nich powróci.

— Kto tutaj leży? — zapytał Garin, wskazując na łoża, stojące najbliżej ołtarza.

— Pierwsi spośród Pradawnych. Podejdź bliżej i przypatrz się tym, którzy pojawili się na Tav na samym początku.

Na ołtarzu znajdowało się jedno łoże, wywyższone ponad pozostałe. Urg wszedł na podwyższenie, przystanął nad łożem i skinął na Garina, aby uczynił to samo. Spoczywała tutaj kobieta i mężczyzna. Głowa kobiety opierała się o jego ramię.

— Spójrz, przybyszu, leży tutaj ktoś, kto pojawił się u nas z twojego świata. Okazała mu swe względy Marena z Domu Światła i przeżyli razem wiele szczęśliwych dni.

Mężczyzna na łożu miał czerwonozłote włosy, a z jego szyi opadał na miękkie poduszki szczerozłoty łańcuch. Spojrzenie na jego twarz kazało jednak Garinowi natychmiast odwrócić głowę. Odniósł wrażenie, że uczestniczy w czymś, co zwykłemu śmiertelnikowi powinno być zakazane.

— W tej pieczarze spoczywa Thran, Syn Światła, pierwszy Władca Jaskiń, oraz jego małżonka, Thrala. Leżą tu od tysiąca lat i będą leżeć do momentu, w którym planeta, na której się znajdujemy, obróci się w pył. To oni wydobyli lud z mułu i stworzyli Tav. Nigdy już nie spotkamy nikogo takiego jak oni.

Powoli ruszyli wzdłuż kolejnych naw śmierci. W pewnej chwili Garin zauważył jeszcze jedną jasnowłosą czuprynę, zapewne kolejnego przybysza z zewnątrz, gdyż wszyscy Pradawni mieli włosy ciemne. Zanim obaj opuścili Pieczarę Przodków, Urg ponownie zatrzymał się. Stał nad łożem, na którym spoczywało ciało człowieka opatulonego w długą szatę. Jego twarz zastygła w masce straszliwego cierpienia. Urg wypowiedział tylko jedno słowo:

— Thran.

A więc to był właśnie ostatni Władca Jaskiń. Garin pochylił się, chcąc przyjrzeć mu się uważniej, jednak Urg jakby w tej chwili stracił cierpliwość. Pociągnął swego podopiecznego w kierunku kolejnych drzwi.

— Oto południowy kraniec Jaskiń — wyjaśnił. — Ufaj Anie, który będzie twoim przewodnikiem, i strzeż się wrzącego błota. Oby ci szczęście sprzyjało, przybyszu.

Urg otworzył drzwi i Garin ujrzał rozpościerającą się na zewnątrz Tav. Delikatne błękitne światło miało takie samo natężenie jak wówczas, kiedy się tutaj znalazł. Kiedy Ana

usadowił się na jego ramieniu, trzymając zielony pręt i torbę, Garin ruszył na zewnątrz, stawiając pierwsze kroki na miękkiej darni.

Urg uniósł dłoń w pozdrowieniu i drzwi zamknęły się. Garin pozostał sam na sam z zadaniem wydostania Córki z Grot Ciemności.

3. KU GROTOM CIEMNOŚCI

Na Tav dzień nie różni się od nocy: błękitne światło jest wciąż takie samo. Lud sztucznie dzieli porę dnia. Garin nie miał o tym pojęcia: zresztą pora doby nie sprawiała mu różnicy. Był wypoczęty i rześki, dzięki leczniczym promieniom. Kiedy zawahał się, nie będąc pewnym, w którym kierunku rozpocząć wędrówkę, Ana klepnął go w ramię i zdecydowanym ruchem wyciągnął dłoń na wprost.

Bardzo szybko pojawił się gęsty las potężnych paproci. Zagłębiwszy się w nim, Garin zdziwił się panującą tu ciszą. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że na Tav w ogóle nie ma ptaków.

Po godzinie wędrówki przez paprociowy las dotarli na brzeg leniwie płynącej rzeki. Jej mętna woda miała matowy, szafranowy kolor. Garin stwierdził, że jest to z całą pewnością Rzeka Złota, granica terytoriów należących do Czarnych.

Przeszedł wzdłuż brzegu do najbliższego łuku rzeki i ujrzał na nim most, tak stary, że już dawno głęboko osiadły jego kamienne podpory i kładka znajdowała się bardzo nisko nad wodą. Garin przeszedł przez most i znalazł się na łące, którą porastała wysoka, uschnięta, żółta trawa. Z lewej strony dobiegł do niego dziwny syk i bulgotanie. Wiatr unosił stamtąd gęstą białą mgłę wilgoci. Garin zakaszał, gdyż płynące od tej strony powietrze było ciężkie, gęste, jakby brudne. Przez chwilę wdychał je nosem, po czym stwierdził, że zawiera ono sporo siarki.

Wkrótce dotarł do załamania terenu, które skrywało bystry, czysty strumień. Z przyjemnością przemył twarz krystaliczną wodą i urny! w niej ręce, Tymczasem Ana otworzył torbę z żywnością, którą dała im Sera.

Wspólnie zjedli pieczywo i suszone owoce. Kiedy skończyli, Ana pociągnął Garina za rękaw i wskazał mu coś ruchem ręki.

Powoli, ostrożnie. Garin zaczął przedzierać się przez gęste krzewiny, aż wreszcie jego oczom ukazała się wielka połać gołej ziemi, a na jej skraju wejście do Grot. zamieszkiwanych przez Czarnych, Wielkiej ciemnej dziury strzegły dwa wysokie filary, wyrzeźbione na kształt ohydnych potworów. Nad grotą unosiła się drobna, zielonkawa mgła.

Garin uważnie przyjrzał się wejściu. Nie zauważył niczego, co świadczyłoby, że gdzieś tutaj toczy się jakieś życie. Mocniej ścisnął swój magiczny pręt i ruszył przed siebie. Przed samą grotą głęboko odetchnął i wkroczył do środka.

Natychmiast otoczyła go zielona mgła. Wciągnął w płuca wilgotne powietrze. W tej wilgoci wyczuł dziwną, mdlącą słodycz, dochodzącą jakby od rozkładających się ciał, ukrytych w mroku. Zielona mgła przepuszczała niewiele światła i zdawało się, że zaciska się stalową obręczą wokół śmiałka.

Ana zeskoczył z jego ramienia i szedł teraz kilka kroków przed nim, wskazując mu drogę. Po chwili grunt zaczął opadać w dół. Delikatne podeszwy koturnów sprawiały, że Garin posuwał się naprzód zupełnie bezszelestnie. W regularnych odstępach w ścianach pojawiały się nisze, w których stały niewielkie statuetki. Nad głową każdej z nich błyszczała jaskrawym światłem zielona aureola.

Ana zatrzymał się i zaczął poruszać wielkimi uszami, jakby chcąc usłyszeć najcichszy nawet szept lub szelest, który w każdej chwili mógł do niego dotrzeć. Wkrótce wychwycił — z każdą sekundą coraz wyraźniejszy — psi skowyt, dobiegający jakby spod ziemi. Ana zadrżał i przysunął się bliżej do Garina.

Ich trasa nadal prowadziła w dół, stając się coraz bardziej wąska i stroma, a coraz bardziej przerażające było ujadanie psa. W pewnej chwili na drodze wędrowców pojawiła się bariera z czarnych kamieni. Garin popatrzył ponad nią, za bariera znajdowały się schody, które wiodły w czarna czeluść. Z tej czeluści dotarł do jego uszu głośny, pogardliwy śmiech.

Po chwili na schodach pojawiły się istoty, które można było określić jedynie jako demony. Były to oślizłe, podobne do szczurów stworzenia wielkości kucyków, całkowicie pozbawione sierści. W ich szczękach tkwiły ostre zęby, a z kącików ust wyciekała czerwona ślina. Ich oczy, co chwilę wypatrujące w kierunku bariery, świadczyły jednak o inteligencji. Tak oto po raz pierwszy Garin zetknął się z morgelami, psami łańcuchowymi i niewolnikami Czarnych.

Niespodziewanie otworzyły się drzwi w skalnej ścianie i na schodach pojawiły się dwie istoty. Morgele natychmiast skoczyły w ich kierunku, wystarczyło jednak kilka kopniaków, by natychmiast usunęły się w cień.

Władcy morgeli podobni byli do ludzi. Z ich ramion zwisały długie czarne płaszcze, w taliach przewiązane długimi sznurami. Na głowach, całkowicie zakrywając włosy, tkwiły czapki z czarnego materiału. Garin nie zauważył, aby byli uzbrojeni; trzymali w dłoniach jedynie bity.

Po chwili na schodach pojawiła się kolejna grupa. Dwaj spośród Czarnych trzymali między sobą szamoczącego się więźnia. Walczył desperacko, próbując się im wyrwać, nie miał jednak najmniejszych szans.

Przejęty tą sceną Garin nie od razu zauważył dwie istoty, które pojawiły się pięć stopni ponad czeluścią. Gdy je ujrzał, od razu zrozumiał, że to one są najważniejsze w tym towarzystwie. Strażnicy, trzymający szamoczącego się więźnia, skierowali głowy w ich kierunku, najwyraźniej czekając na instrukcje. Jedną z tych osób był mężczyzna ich rasy. wysoki, szczupły, o twarzy przystojnej, lecz emanującej złem. Jego dłoń władczo spoczywała na ramieniu istoty stojącej obok.

Istotą tą, spokojną, trzymającą dumnie uniesioną głowę, była Thrala. Jej twarz wyrażała smutek, ból i rezygnację. Nie było na niej jasności i radości, które Garin widział w Pieczarach Ludu.

— Popatrz — odezwał się strażnik Thrali. — Czy jeszcze wątpisz, że Kepta dotrzymuje swoich obietnic? Czy oddamy Dandtana szczękcom naszych sług, czy też cofniesz niektóre ze swoich słów. Thralo?

Niespodziewanie więzień odpowiedział za nią:

— Kepto, owocu nikczemności, Thrala nie jest dla ciebie! Pamiętaj, ukochana — zwrócił się wprost do Córki — dzień wolności się zbliża!

Garin poczuł w sobie nagle dziwną pustkę, usłyszawszy, z jaką łatwością i czułością więzień wypowiedział słowo „ukochana”.

— Czekam na odpowiedź Thrali — rzekł Kepta i zaraz odpowiedź tę otrzymał:

— Bestio nad bestiami, możesz posłać Dandtana na śmierć, możesz do woli mu ubliżać, i tak przenigdy mnie nie dostaniesz. Raczej sama zerwę nić swojego życia i przyjmę karę, jaką za ten postępek wyznaczą mi Starsi. — Ze smutkiem popatrzyła na więźnia. — Żegnam cię, Dandtanie. Spotkamy się ponownie, tym razem za Kurtyną Czasu. — Wyciągnęła rękę w jego kierunku.

— Thralo, najdroższa... — Jeden ze strażników położył dłoń na ustach Dandtana, ucinając jego słowa.

Thrala już jednak nie patrzyła na niego. Wbiła spojrzenie w kamienną barierę, która chroniła Garina. Kepta pociągnął ją za rękę, chcąc odzyskać jej uwagę.

— Popatrz Thralo! Tak giną moi wrogowie. Do czeluści z nim!

Strażnicy podprowadzili więźnia na skraj otchłani, a tymczasem morgele zbliżyły się do niego, węsząc łatwą ofiarę. Mimo że Dandtan wciąż się wrywał, nie miał żadnych szans. Garin wiedział, że nie jest w stanie mu pomóc. Ana pociągnął go w prawo, ku balkonowi, który pozwalał ominąć schody.

Ci, którzy znajdowali się poniżej, byli zbyt zajęci swoją ofiarą, by zauważyć nieproszonego gościa. Lecz Thrala wodziła wzrokiem dookoła i w pewnej chwili Garin

odniósł wrażenie, że go zauważyła. Jej zachowanie zwróciło jednak uwagę Kepty: powędrował spojrzeniem za jej wzrokiem. Przez moment jakby zdziwienie malowało się na jego twarzy, ale zaraz zareagował. Pchnął Córkę w otwarte drzwi za sobą.

— Hej, przybyszu! — zawołał. — Witamy w Grotach! A więc Lud postanowił, że...

— Pozdrawiam cię. Kepto! — Garin sam był zdziwiony odwagą, z jaką wykrzyczał to zawołanie. Jego słowa zabrzmiały groźnie w wielkiej grocie. Jego głos był donośny, dźwięczny, nie drżał, nie załamywał się. — Przybyłem, tak jak musiało się stać, przybyłem, aby zniszczyć Czarny Tron!

— Nawet morgele nie przechwalają się, dopóki nie rozgniotą ofiary swoimi szczękami! — odkrzyknął Kepta. — Jaką bestią jesteś?

— Czystą bestią, Kepto, w przeciwieństwie do ciebie. Jeżeli twoje morgele położą kres życiu młodzieńca, rozzłoszczę się. — Ukazał oczom Kepty magiczny pręt.

Kepta zmrużył oczy, jednak na jego twarzy pojawił się uśmiech.

— Od dawna wiem, że Pradawni nie niszczą...

— Jestem przybyszem z zewnątrz i nie obowiązują mnie ich prawa — odparł Garin.

— O czym przekonasz się, jeżeli nie ocalisz młodzieńca.

Władca Grot rezeźmiał się:

— Jesteś jak Tand, bezrozumny głupiec. Już nigdy nie zobaczysz Pieczar i Ludu, który cię tu przysłał.

— Możesz wybierać, Kepto. Tylko się spiesz, bo tracę cierpliwość!

Czarny jakby rozważał jego słowa. Nagle skinął na swych ludzi.

— Puście go — rozkazał. — Przybyszu, jesteś dzielniejszy, niż myślałem. Może dojdziemy do porozumienia...

— Uwolnisz Thralę albo sam ją od ciebie odbiorę, a czarny tron obrócę w pył. Takie są warunki, które przynoszę z Pieczar.

— A jeżeli ich nie zaakceptuję?

— Nie masz wyboru.

— Grozisz im?

— Tak jak w Yu-Lac. wezmę... — zaczął mu odpowiadać Garin słowami, które jakby nie pochodziły z jego umysłu. Musiał jednak urwać, gdyż uwagę wszystkich przyciągnął Dandtan. Uwolniony przez strażników, zaczął uciekać przed ścigającymi go morgelami. Garin momentalnie przyłgnął do bariery balkonu i przerzucił przez nią swój pas.

Chwilę później pas naprężył się i Garin podciągnął go mocno w górę. Pięty zawieszony na pasie Dandtana znalazły się poza zasięgiem paszcz morgeli. Jeszcze dwa

mocne pociągnięcia i młodzieniec był uratowany. Ciężko oddychając padł na posadzkę balkonu.

— Uciekli! — zawołał. — Wszyscy!

Miał rację. Morgele wyły pod balkonem, nie mogąc dosięgnąć ofiary. Natomiast Kepta i jego ludzie gdzieś zniknęli.

— Thrala! — krzyknął Garin. Dandtan pokiwał głową:

— Zabrali ją z powrotem do celi. Są przekonani, że stamtąd nikt jej nie wydostanie.

— Są więc w błędzie. — Garin podniósł z ziemi zielony pręt. Jego towarzysz roześmiał się.

— Przystąpmy zatem do dzieła, zanim nasi przeciwnicy przygotowują się na spotkanie z nami.

Garin posadził sobie na ramieniu Anę.

— Któreśdy? — zapytał.

Dandtan wskazał mu na wąskie przejście. Kiedy przeszli kilka kroków, wszedł do jakiejś bocznej sali i po chwili powrócił z dwoma szerokimi płaszczami i kapturami, które mogły na jakiś czas ich obu upodobnić do Czarnych.

Powoli szli pustymi tunelami. Nikt im nie przeszkadzał, wszyscy Czarni gdzieś się wycofali.

— Nie podoba mi się to — szepnął Dandtan. — Węszyć podstęp.

— Dopóki możemy iść do przodu, niczym się nie przejmujemy — odparł Garin.

W pewnej chwili korytarz szerokim łukiem zakręcił w prawo i znaleźli się w owalnym pomieszczeniu. Dandtan znów zawahał się, ale tym razem milczał. Ujrawszy w skalnej ścianie drzwi, otworzył je i wraz z Garinem znaleźli się w małym holu.

Garin odniósł wrażenie, że słyszy jakieś szmery i popiskiwanie, dobiegające z ciemnych kątów pomieszczenia. W pewnej chwili Dandtan zatrzymał się tak nagle, że Amerykanin wpadł na niego.

— Dziwne. To jest pomieszczenie strażników i nikogo w nim nie ma.

Garin rozejrzył się. Na ścianach wisiała broń o najprzeróżniejszych kształtach i rozmiarach. Było tu też kilkanaście wąskich łóżek, jednak ani śladu żywej istoty.

Przeszli przez to pomieszczenie i wyszli z niego drzwiami o wysokiej futrynie w kształcie łuku.

— Nawet tego nie zamknęli — zauważył Dandtan. Poprowadził Garina w kierunku wąskiego korytarzyka.

Po obu jego stronach, w małych odstępach, znajdowały się masywne drzwi. Na wszystkich założone były ciężkie żelazne sztaby. Dandtan uniósł jedną ze sztab i otworzył drzwi. Przed nimi stała Thrala. Dandtan natychmiast podszedł do niej i chwycił ją w ramiona. Zapomniał o swym przebraniu, toteż Córka przez chwilę zmagala się z nim w bezsilnym pragnieniu uwolnienia się z uścisku. Wreszcie, gdy kaptur opadł z jego głowy, zastygła w bezruchu, po czym wydała radosny okrzyk i rzuciła mu się na szyję.

— Dandtan! Uśmiechnął się:

— Tak, to ja. Ocalony przez nieznanego.

Thrala podeszła do Garina. uważnie wpatrując się w jego twarz.

— Nieznajomy? Nie powinniśmy tak mówić o tobie, skoro przybyłeś tutaj i nas ocaliłeś.

Podala mu dłonie, które uniósł do ust i pocałował.

— Jak ci na imię? — zapytała. Dandtan roześmiał się:

— Oto ciekawość, właściwa tylko kobietom!

— Garin.

— Garin —powtórzyła. — Ładnie. Przypominasz mi... — zmarszczyła czoło.

Dłoń Dandtana spoczęła na ramieniu wybawcy.

— Tak. rzeczywiście jest do niego podobny — powiedział. — Od dzisiaj niech nosi jego imię. Garan. Syn Światła.

— Dlaczego nie? — zamyśliła się Thrala. — W końcu...

— Nagroda, która stałaby się udziałem Garana, mogłaby przypaść jemu, prawda? Kiedy znów znajdziemy się w Pieczarach, opowiedz mu historię tego imienia.

Przerwał mu niespodziewany, przeraźliwy pisk Any. Zaraz potem wszyscy troje usłyszeli szydery głoś:

— A więc ofiara dobrowolnie weszła w pułapkę! Ilu myśliwych mogłoby się pochwalić równie łatwą zdobyczą?

W drzwiach stał Kepta. W jego oczach igrały złowrogie, złośliwe ogniki. Garin swój czarny płaszcz zrzucił na podłogę, jednak Dandtan odgadł, co lotnik zamierza, bo schwycił go za ramię.

— Widzę, że stałeś się rozsądny, przebywając między nami, Dandtanie — zadrwił Kepta. — Szkoda, że ten rozsądek nie spłynął również na Thralę. Niestety... — zmierzył Thralę wzrokiem tak pełnym pożądania, że Garin rzuciłby mu się prosto do gardła, gdyby nie to, że powstrzymał go Dandtan. — Thrala otrzyma więc drugą szansę. Piękna damo, czy przypadnie ci do gustu widok tych dwóch mężczyzn w Komnacie Instrumentów?

— Nie boję się ciebie — odparła. — Thran tylko raz wypowiedział swoją przepowiednię, a on nigdy nie rzuca słów na wiatr. Będziemy wolni...

— Będzie tak, jak zechce los. Cóż, na razie pozostawiam was samych. — Wyszedł na korytarz i zatrzasnął za sobą drzwi. Usłyszeli, jak zakłada na nie żelazną sztabę. A potem jeszcze słyszeli jego kroki, coraz słabsze, powoli cichnące w oddali.

— Oto ucieleśnienie zła — szepnęła Thrala. — Zapewne lepiej byłoby, gdyby Garin go zabił, tak jak zamierzał. Musimy się stąd wydostać...

Garin wyciągnął swój pręt zza pasa. Celę rozjaśnił bijący od niego zielony blask.

— Nie dotykaj nim drzwi — powiedziała Thrala. — Jedynie zawiasów.

Pod dotknięciem czubka zielonego pręta oba zawiasy rozżarzyły się do czerwoności i stopiły się. Dandtan i Garin w odpowiedniej chwili przytrzymali drzwi i ułożyli je cicho na posadzce. Thrala szybko złapała płaszcz Garina i owinęła się nim, zakrywając wysadzaną klejnotami szatę.

Powietrze na korytarzu było trupio zimne. Być może właśnie z powodu tego zimna zgasł zielony blask pręta, który trzymał Garin.

— Pośpieszmy się — szepnęła Córka. — Kepta odciął światło życia i dalej będziemy musieli wędrować w ciemności.

Kiedy przeszli przez hol strażników, otoczyła ich całkowita ciemność. Garin prowadził całą trójkę, przez cały czas dotykając dłońmi kamiennej ściany. Nagle z naprzeciwka dotarł do jego uszu gwałtowny śmiech.

— Och, przybyszu! — zawołał Kepta drwiąco. — Twoja broń wystarczyła, żeby pokonać drzwi. Nie pokona jednak z taką łatwością ciemności!

Garin jednak nie dał za wygraną. Gdy dotknął prętem ziemi, okazało się, że światło wcale nie jest konieczne, żeby znów zaślnił. Zielony błysk pręta znów oświetlił im drogę.

Niespodziewanie Thrala zatrzymała pochód.

— Kepta spuścił z łańcucha swe bestie łowcze — powiedziała

— Bestie łowcze?

— Morgele... i inne — wyjaśnił Dandtan. — Czarni wycofali się stąd i w tej chwili tylko śmierć może tedy przejść. I morgele, które widzą w ciemności.

— Ana także widzi w mroku.

— Na nasze szczęście. — Syn Pradawnych westchnął ulgą. — Niechże więc nas poprowadzi.

Jakby w odpowiedzi Ana zeskoczył z ramienia Garina. Garin ujął dłoń Thrali, wiedząc, że ona z kolei chwyciła rękę Dandtana. Tak połączeni dalej ruszyli przez ciemność,

.na co chwila przystawał i długo nasłuchiwał. Przed nimi jednak nie było nic, jedynie ciemność, oddzielająca ich od wszelkiego życia niczym czarna kurtyna.

— Coś podąża za nami — szepnął Dandtan.

— Nie musimy się bać — uspokoiła go Thrala — Nie zaatakuj nas. Kepta chce nas tylko przestraszyć. Już odchodzi...

Rzeczywiście, po chwili usłyszeli za plecami wolno oddalające się kroki.

— Uff, po raz drugi Kepta nie spróbuje tej sztuczki — wiedziała Córka z pogardą w głosie. — Monstra, nad którymi ma władzę, odważne są tylko w świetle. I jedynie jasności są straszne, bo połowę ich wartości w walce stanowi odrażający wygląd, który paraliżuje przeciwnika.

Po długim marszu znaleźli się w korytarzu, w którym mieściła się kryjówka morgeli. To one, zdaniem Garina, stanowiły raz dla uciekinierów największe niebezpieczeństwo.

Ana zatrzymał się i przyłgnął do uda Garina. W ciemności Garin zobaczył błyszczące oczy, jakby dwa żółte spodki, mierzące szafranowymi iskrami Garin wsunął swój magiczny pręt do ręki Thrali.

— Co robisz? — zdziwiła się.

— Zamierzam oczyścić naszą drogę z przeszkód. Jest zbyt ciemno, żeby używać tego pręta przeciwko żywym stworzeniom.

Nie przebrzmiały jeszcze dobrze jego słowa, a już ruszył spotkanie żółtych oczu.

4. UCIECZKA Z GROT

Nie odrywając wzroku od bezdusznych żółtych krążków, Garin zerwał z głowy kaptur i zmiażdżył go w niewielką kulę. Następnie skoczył. Jego palce natrafiły na coś miękkiego, na ramieniu poczuł ostre pazury, a skórę na brzuchu zaczęły mu rozrywać potężne szpony. Na twarzy poczuł cuchnący, gorący oddech przeciwnika, cudza ślina zaczęła cieknąć po jego szyi i klatce piersiowej. Jego plan jednak powiódł się.

Zwinięty kaptur zdołał wpakować w pysk morgela i niemal natychmiast bestia zaczęła się dusić. Rany na ciele Garina obficie krwawiły, on jednak zaciskał dłoń na paszczy morgela tak długo, dopóki w żółtych ślepiach nie zgasły ostatnie iskry życia. Zdychająca bestia uczyniła jeszcze jeden, ostatni, potężny, lecz już bezużyteczny wysiłek, aby odepchnąć od siebie prześladowcę i rzucić go na skalisty grunt. Po chwili jednak skołała. Zwycięski Garin oparł się o skałę, z trudem trzymając się na nogach i ciężko dysząc.

— Garinie! — zawołała Thrala. Podbiegłszy do niego położyła dłoń na jego ramieniu, a potem czule pogłaskała go po policzku. — Czy nic ci nie jest?

— Ze mną wszystko w porządku — wydyszał. — Idźmy dalej.

Thrala chwyciła go za ramię i od tej chwili maszerowali obok siebie. Jej długa szata cicho szeleściła przy każdym kroku, ocierając się o podłoże i skalne ściany.

— Stój — szepnęła nagle. — Znów morgele. Bezszelestnie podszedł do nich Dandtan i powiedział:

— Przed chwilą minęliśmy jakieś drzwi. Może zdołamy je otworzyć? — Cofnął się kilka kroków, ale po chwili wrócił. — Są otwarte — oznajmił.

— Kepta zakłada — odezwała się Thrala — że będziemy się trzymali galerii, w przekonaniu, iż tam jest bezpiecznie. Dlatego musimy wybrać inną drogę. Musimy minąć tę kryjówkę morgela. Ta tutaj powinna być pusta. Z całą pewnością Kepta wezwał swe bestie, żeby polowały na nas gdzie indziej.

Postąpili zgodnie z radą Thrali. Po niedługim czasie ku górze zaczęła unosić się spod ich stóp smrodliwa para i mimowolnie zwolnili pochód. Potem wspięli się kilkadziesiąt stopni po wąskich kamiennych schodach. Dandtan szedł pierwszy.

— Garin, pręt! — zawołał. — Na tych drzwiach jest żelazna sztaba.

Garin wsunął pręt w dłoń Dandtana i oparł się o skałę. Drżał, kręciło mu się w głowie. Długie, głębokie rany, które zadał mu morgel, piekły.

Gdy drzwi stanęły otworem, z trudem ruszył się z miejsca. Wciąż szli w ciemności i ani Thrala, ani Dandtan nie byli w stanie zauważyć jego słabości.

— Mam złe przeczucie — mruknął, na poły do siebie. — Coś zbyt łatwo posuwamy się do przodu.

Natychmiast odpowiedział mu gromki głos z ciemności:

— Masz rację, przybyszu. Na razie jednak jesteś wolny, tak jak i Thrala oraz Dandtan. To wcale nie znaczy, że mi uciekliście. Już wkrótce spotkamy się w Sali Tronowej. Muszę powiedzieć, przybyszu, że podziwiam twoją odwagę. Być może będziesz mi jeszcze służył.

Garin odwrócił się w kierunku, z którego dobiegał głos. tam jednak była tylko skalna ściana. Kepta roześmiał się.

— Nie posiadasz umiejętności, które pozwoliłyby ci mnie pojmać.

Jeszcze raz głośno się zaśmiał, jednak jego śmiech nagle urwał się, jakby zatrzaśnięto drzwi, za którymi przebywał.

W ciszy troje uciekinierów pobiegło korytarzem, opadającym stromo w dół. Po chwili wybiegli z grotu i znaleźli się na pełnej światła Tav.

Thrala zrzuciła z siebie szarą narzutę i przystanęła z rękami szeroko rozrzuconymi na boki. Jej szata skrzyła w jasnym świetle, a ona, nagle rozradowana, szczęśliwa, zaczęła śpiewać. Podeszedł do niej Dandtan. otoczył ją ramieniem: przywarła do niego, zadowolona, wesoła, uradowana wolnością.

Garin zaczął zastanawiać się, czy zdoła przetrwać drogę powrotną do Pieczar. Czuł, jak jego prawe ramię pożera potworny ogień. Zbliżył się do niego Ana i popatrzył na jego pobladłą twarz.

Nagle dobiegł do nich z Grot odgłos straszliwego wycia. Thrala krzyknęła, a Dandtan natychmiast pojął, co się stało.

— Puścili morgele naszym tropem!

Las na Tay jakby echem odbił odgłosy z Grot. A więc byli otoczeni; morgele z przodu i z tyłu! Garin dałby pewnie radę jednemu, Dandtan następnemu, a Thrala broniłaby się używając pręta, jednak i tak w końcu polegliby, pokonani przez stado.

— Gibi z urwiska muszą nam pomóc! — zawołała Thrala. — Prawo nakazuje im wspierać nas w potrzebie.

Wypowiedziawszy te słowa, podciągnęła szatę ponad kolana i zaczęła biec. ile sil w nogach. Garin podniósł jej okrycie i przewiązał je sobie przez ramię, aby ukryć swoje rany. Jeżeli nie da już rady biec i padnie po drodze. Thrala nigdy nie powinna dowiedzieć się, dlaczego zginął.

Garin niewiele zapamiętał z tej szaleńczej ucieczki. Z trudem dotrzymywał kroku Thrali i Dandtanowi. Sam nie wiedział, kiedy przebiegł przez las i stanął u jego skraju, nad brzegiem rzeki.

Bez chwili wahania Thrala i Dandtan rzucili się w leniwy, żółty nurt i przepłynęli na drugą stronę. Garin odrzucił płaszcz, zastanawiając się, czy sobie poradzi z rzeką. Ana był już na drugim brzegu i dawał mu znaki, żeby się pospieszył. Niechętnie skoczył do wody.

Woda, która zmywała krew i pot z jego poranionego ciała, była słonawa i potęgowała ból, promieniujący z otwartych ran. Nie był w stanie przeciwstawić się nawet słabiutkiemu prądowi rzeki, i w efekcie, gdy wypłynął na brzeg, znajdował się w znacznej odległości od pozostałych towarzyszy ucieczki.

Był jednak swobodny, wolny! Padł twarzą do ziemi i ciężko oddychał. Takiego znalazła go pozostała trójka. Ana pogłaskała go po głowie, a Thrala głośno krzyknęła, przestraszona. Natychmiast przyklękła i ułożyła jego głowę na swoich kolanach, podczas gdy Dandtan badał jego rany.

— Dlaczego nam nie powiedziałaś? — spytała z wyrzutem Thrala.

Nawet nie próbował jej odpowiedzieć, zadowolony, że może spokojnie, bez ruchu i wysiłku, leżeć w jej ramionach. Dandtan zniknął na chwilę w lesie; zaraz powrócił, trzymając w garści masę liści. Przyłożył je do ran Garina.

— Lepiej uciekajcie — wyszeptał Garin.

Dandtan potrząsnął głową:

— Morgęle nie umieją pływać. Żeby przedostać się przez rzekę, musiałyby dostać się do mostu, a to jest daleko stąd.

Niespodziewanie wskoczył między nich Ana. W małej, drobnej dłoni trzymał kiść jakichś purpurowych owoców. Wszyscy czworo zaczęli jeść: Garina karmiła Thrala.

Liście, którymi Dandtan opatrzył Garina, miały widocznie właściwości lecznicze, bo już wkrótce lotnik z łatwością wstał na nogi: rany prawie mu nie doskwierały. Uciekinierzy wznowili więc wędrówkę, w poszukiwaniu bezpieczniejszego miejsca. Strumień, wzdłuż którego podążali, dwukrotnie się rozgałęział, oni jednak wciąż szli wzdłuż tego samego Drzegu. Otaczała ich bogata roślinność, a zalane słońcem Dolany, na które natrafiali od czasu do czasu, porośnięte były dziwnymi, lecz pięknymi i pachnącymi kwiatami.

W pewnej chwili Thrala uniosła głowę i cicho, łagodnie zagwizdała. Minęło kilka sekund i z góry opadł żółto-czarny owad, wielki jak jastrząb. Zatoczył dwa szerokie koła nad siłową Thrali i usiadł na jej ramieniu.

Jego ciało było czarne, natomiast trzy potężne zakrzywione szpony — żółte. Leniwie poruszające się w powietrzu skrzydła, chociaż czarne, miały również jasny, złotawy odcień.

Thrala delikatnie pogłaskała drobną główkę owada, którą ten przytulił do jej policzka. Następnie szepnęła coś niezrozumiałego i stworzenie odfrunęło.

— Jesteśmy oczekiwani i przejdziemy bez przeszkód — oznajmiła.

Po niedługim czasie usłyszeli basowy szum. Przed nimi pojawiła się wysoka ściana krateru. Drzewa rosnące u jej podnóża wydawały się karłowatymi krzakami, tak była wysoka.

— Oto miasto Gibich — powiedział Dandtan.

Rzeczywiście, pod urwiskiem stały również wysokie wieże i wieżyczki z okrągłymi otworami. Było ich zwykle po osiem w każdej wieży.

— Chyba przygotowują się już do Wielkiej Mgły — zauważyła Thrala. — Będziemy mieli towarzystwo w naszej wędrówce do Pieczar.

Gdy zatrzymali się u stóp tych dziwnych wież, strzelających ku niebu wysoko ponad ich głowami, z otworów wyfrunęły Gibi i zaczęły opadać w dół, ku przybyszom. Garin poczuł delikatne otarcia ich skrzydeł na swoich policzkach. Nie miał wątpliwości, że każdy z Gibich pragnie chociaż przez moment znaleźć się jak najbliżej Thrali.

Rozstąpiły się jednak natychmiast, gdy nadleciał Gibi o wiele większy od pozostałych i o wyjątkowej piękności. Była to Królowa. Bez słów przekazała Thrali informację, którą ta natychmiast podzieliła się ze współtowarzyszami:

— Przybyliśmy akurat w dobrej chwili. Jutro Gibi stąd wyruszają. Morgele przedostały się przez rzekę i Kepta stracił nad nimi kontrolę. Zamiast ścigać nas, rozbiegły się po lesie, poszukując drobniejszej zdobyczy. Cała Tav wie już o tym, jednak nikt nie potrafi skutecznie walczyć z morgelami. Jedyna nadzieja w tym, że dopadnie ich i zniszczy Mgła. My możemy teraz odpocząć. Gibi zjawią się po nas, kiedy nadejdzie właściwy czas.

Garin nie był pewien, czy obudził go głośny trzepot skrzydeł, czy też Dandtan, który klęczał nad nim i potrzasał jego ramieniem.

— Musimy iść, niedługo wszyscy Gibi wyruszą w drogę. Jedli w pośpiechu pieczywo i miód. Podczas posiłku znów ukazała się im Królowa. A potem rozpoczęli wędrówkę na wschód.

Mając Gibich nad głowami, cała trójka pomaszerowała przez zieloną, wielką łąkę. Gibi przypominały chwilami wielką chmurę, zwiastującą burzę, jednak Tav była gorąca. Garin odnosił wrażenie, że gorący grunt pod jego stopami paruje.

— Już niedługo nadciągnie Wielka Mgła. Musimy się śpieszyć — wysapał Dandtan.

Obeszli zagajnik, który dzielił łąkę na dwie części. Znajdowali się teraz w samym centrum Tav. Panowała tu absolutna cisza. Nie mącił jej nawet najlżejszy podmuch wiatru. Ana, spoczywający na ramieniu Garina, zadrżał.

Ich marsz wkrótce przeszedł w trucht; Gibi skupiały się coraz bardziej. Thralla, z trudem łapiąc oddech, wyjaśniła:

— Dotąd leciały bardzo powoli, ze względu na nas. Ale to jest przecież tak daleko...

— Patrzcie! — Dandtan wskazał nagle jakiś punkt na równinie. — Morgele!

Rzeczywiście, grupa morgeli, wiedzona strachem, pędziła przed siebie ze wszystkich sił. Minęły trójkę wędrowców w odległości około stu jardów, nie zmieniając kierunku biegu, chociaż kilka z nich złośliwie wyszczerzyło kły.

— Już są martwe — powiedział Dandtan z satysfakcją. — Nie zdążą schronić się w Grotach.

Cała trójka zaczęła biec leszcze szybciej. W pewnym momencie Thralla potknęła się i upadła. Garin bez chwili namysłu przekazał Anę na ręce Dandtana, a sam chwycił dziewczynę w ramiona.

Mgła, która pojawiła się nad równiną, stawała się coraz gęstsza, opadając na ziemię niczym kurtyna, z każdą chwilą grubsza. Czarne włosy Thralli, delikatniejsze od jedwabiu, otuliły twarz Garina. Głowa jej spoczywała na jego ramieniu, piersi dziewczyny unosiły się i opadały, gdy oddychała gwałtownie po długotrwałym, ciężkim wysiłku.

I nagle, zupełnie niespodziewanie, znaleźli się wśród Ludu. Ktoś z radosnym okrzykiem wyciągnął ręce po Thrallę. To była Sera, ucieszona z powrotu swojej pani.

Kobiety otoczyły Thrallę, a Garin został sam, zapomniany, opuszczony przez wszystkich. Usiadł na uboczu i podparłszy głowę na dłoni, wypoczywał zadumany. Z tej zadumy wyrwał go dopiero głos Urga.

— Mgła, przybyszu. — Wskazał ręką na wyjście z Pieczar. Właśnie zamykano je, odcinając kryształowymi drzwiami Pieczary od Tav na czas Wielkiej Mgły.

Mgła była granatowoczarna; spojrzawszy na Tav, można było odnieść wrażenie, że zapadła tam już noc, najczarniejsza z czarnych, bezgwiezdnych nocy.

— I tak będzie przez czterdzieści dni. Wszystko na zewnątrz umiera — westchnął Urg.

— A więc mamy czterdzieści dni na przygotowania. — Garin głośno wypowiedział myśl, która nie opuszczała go już od dłuższej chwili. Podszedł do niego Dandtan i uśmiechnął się.

— Masz słuszość. Garinie. Musi minąć przynajmniej czterdzieści dni, zanim Kepta zacznie nas szukać. Czekaj nas wiele pracy, aby go godnie powitać. Najpierw jednak pokłońmy się przed Wodzem Ludu.

Razem weszli do Sali Tronowej, gdzie, ujrzawszy Dandtana, Trav powstał i wyciągnął przed siebie nefrytowe insygnia swego panowania. Syn Pradawnych dotknął berła.

— Chwała wam. o Dandanie, Panie nasz i przybyszu, który wypełniłeś obietnicę Thrana. Thrala powróciła do Pieczar! Teraz jeszcze musisz obrócić ten czarny tron w pył...

Garin wyciągnął zza pasa swój pręt. Dandtan jednak potrząsnął głową:

— Czas jeszcze nie nadszedł. Wodzu. Dopiero za czterdzieści dni Kepta i Czarni zjawią się tutaj.

Trav zastanawiał się przez chwilę. — Tak. Niech się tak stanie — rzekł wreszcie. Wyprostował się na swym tronie, jakby wielki ciężar spadł mu z ramion. — Prawdę powiadasz, Panie. Teraz, gdy znów zasiądziesz na Różowym Tronie. Lud nie musi się już niczego bać. Posłuchaj Ludu. Światłość powróciła do Pieczar!

Jego okrzyk zwielokrotniony echem odbił się od skalnych ścian.

— A teraz, Panie — zwrócił się do Dandtana z szacunkiem — jakie są twoje rozkazy?

— Na przeciąg jednego snu udam się do Izby Odpoczynku, z tym oto przybyszem, który od dzisiaj nie jest już obcym przybyszem, lecz Garinem, według woli Córki i zgodnie z obowiązującym prawem. Gdy będziemy wypoczywać, wy rozpocznijcie przygotowania.

— Tak powiedział Dandtan. nasz Pan! — potwierdził Trav i poprowadził Garina wraz z Dandtanem w kierunku wyjścia z Sali.

Szli licznymi korytarzami, aż w końcu znaleźli się nad stawem, w którego głębinach migotały dziwne purpurowe cienie. Dandtan rozebrał się i wskoczył do wody. a Garin natychmiast podążył za jego przykładem. Nie pływali długo. Znad stawu udali się do pokoju identycznego z tym. w którym Garin już wypoczywał po kąpieli w promieniach świetlnych. Złożyli swe utrudzone ciała na miękkich poduszkach. Kiedy Garin obudził się. poczuł się lekki i rześki, tak jak ostatnim razem po tej wspaniałej terapii. Dandtan popatrzył na niego z uśmiechem.

— A teraz do roboty — powiedział i nacisnął gałkę w ścianie. Natychmiast dwaj służący przynieśli im czyste ubrania. Włożyli je i posilili się. a gdy zamierzali razem wyruszyć do pracy, niespodziewanie pojawiła się Sera i zatrzymała Garina:

— Córka chciałaby z tobą rozmawiać. Panie... Dandtan roześmiał się.

— Idź — zarządził. — Rozkazy Thrali należy wykonywać bezzwłocznie.

Sala Kobiet była pusta. Równie pusty był długi korytarz, którego sufit i ściany wyłożone były płytkami różowego kryształu. Sera odsunęła złotą kurtynę i wraz z Garinem znaleźli się w izbie, w której Thralla przyjmowała gości.

Od razu rzucił się Garinowi w oczy półokrągły jakby ołtarz, wykonany z najczystszej kryształu, wyłożony różowymi i złotymi poduszkami. Przed ołtarzem fontanna w kształcie rozłożonego kwiatu posyłała w górę strumienie wody, opadające do szerokiego płytkiego basenu. Wzdłuż ścian tego pomieszczenia znajdowały się alkowy, podzielone marmurowymi filarami: każdy z nich ukształtowany był na podobieństwo wielkiej paproci.

Z wysokiego okrągłego sufitu zwisało na złotych łańcuchach siedem lamp, każda wykuta w jednym kawałku żółtego szafiru. Lampy łagodnym, delikatnym blaskiem rozświetlały izbę. Podłoga wyłożona była złotymi i kryształowymi kafelkami.

Dwaj Ana, którzy biegali między poduszkami, na widok Garina zatrzymali się, aby go pozdrowić. Po gospodyni tej komnaty nie było nigdzie śladu. Garin popatrzył na Serę, zanim jednak wypowiedział swe pytanie, uprzedziła go:

— A kimże jest Pan Garin, że nie potrafi cierpliwie czekać na Córkę? — zapytała z delikatną drwiną w głosie. Wyszła jednak poszukać jej.

Garin niepewnie rozejrzał się dookoła. Nigdy w życiu nie się jeszcze w tak bogato urządzonej komnacie.

Nie podobało mu się tutaj. Zaczął wycofywać się w kierunku drzwi, kiedy niespodziewanie pojawiła się Thralla.

— Witam cię, o Córkę — powiedział. Jego głos brzmiał chłodno i formalnie, nawet w jego własnych uszach.

Ręce Thralli, wyciągnięte na powitanie, opadły wzdłuż ud. Jakby cień przebiegł po jej twarzy.

— Witaj, Garinie — powiedziała wolno.

— Posłałaś po mnie... — zaczął Garin. Chciał jak najszybciej skończyć tę rozmowę w komnacie, której bogactwo przytłaczało go.

— Tak. — Z jej głosu również emanował chłód. — Chciałam zapytać cię o samopoczucie i o to, czy twoje rany już się zagoiły.

Popatrzył po sobie. Po jego ranach nie było już śladu.

— Jestem zdrow, wypoczęty i chętny do każdej pracy, którą mi zleci Dandtan.

Szata Córkę zaszeleściła, gdy postąpiła kilka kroków, by znaleźć się bliżej niego.

— A więc lepiej już idź... teraz — powiedziała. Posłuchał jej rozkazu. Mówiła do niego jak do sługi, który powinien być posłuszny każdemu jej rozkazowi. A przecież mogła

mu ofiarować swą przyjaźń, tak jak miłość ofiarowała Dandtanowi. Chociaż wiedział, że przyjaźń to bardzo niewiele wobec uczucia, które się ku niej zbudziło w jego sercu.

Za plecami usłyszał czyjeś kroki. A więc biegnie za nim! Serce zabiło mu żywiej. Była to jednak tylko Sera. Dogoniła go i popatrzyła na niego ze złością.

— Głupiec! Morgel! — zawołała. — Nawet Czarni nie traktowali jej w ten sposób! Opuść czym prędzej korytarze, w których poruszają się kobiety, bo inaczej zedrzymy z ciebie skórę!

Garin zignorował jej uwagi. Nie śpiesząc się, nakazał któremuś z jaszczuopodobnych, aby wskazał mu drogę do aboratonów. Głęboko pod powierzchnią Tav, tam gdzie nigdy nie dochodziło naturalne światło, tętniło życie. Stoły w laboratorium pełne były najprzeróżniejszych instrumentów, naczyń i metalowych rurek. Na podwyższeniu przy jednej ze ścian Garin ujrzał wysokiego syna Pradawnych, obracającego w dłoniach jakąś metalową strukturę. Obok niego leżały, lśniąć intensywnie, fragmenty kryształów.

Gdy Garin podszedł do Dandtana, ten uniósł głowę, witając go. Po chwili wydał mu kilka szczegółowych poleceń; od tego momentu Garin zaczął pomagać mu w pracy. Wszyscy zatrudnieni w laboratorium pracowali nad doskonaleniem urządzeń obronnych przeciwko Mgle. Ponieważ dzień nie różnił się tutaj od nocy, wytrzymywali bez odpoczynku bardzo długie okresy. Od chwili, gdy dołączył do nich Garin, dwukrotnie chodzili do Izby Odpoczynku, jednak oprócz tych krótkich przerw nie opuszczali laboratorium przez wiele dni. Thrala nie pokazywała się tutaj, nikt zresztą o niej nie mówił.

Mieszkańcy Jaskiń dysponowali dwoma zasadniczymi środkami walki: żrącym zielonym płynem, rzucanym w przeciwnika w bulwach z kruchej szkła, oraz ekranami, w których nagromadzona była ogromna energia. Na krótko przed rozproszeniem się Wielkiej Mgły broń ta przeniesiona została do wyjścia z Jaskiń i tam zainstalowana. Dandtan i Garin sprawdzili ją po raz ostatni.

— Kepta, na nasze szczęście, popełnia ten błąd, że nigdy nie docenia przeciwników. — powiedział Dandtan, ostrożnie przesuwając ręką po brzegu ekranu. — Kiedy zostałem schwytany, w dniu, gdy zginął mój naród, posłano mnie do laboratoriów Czarnych; ich uczeni chcieli dzięki mnie poznać tajemnice Pradawnych. Tam okazałem się jednak znacznie lepszym uczniem niż nauczycielem i udało mi się poznać tajemnicę obrony przed Czarnym Ogniem. Dowiedziawszy się, że uczeni niczego użytecznego ze mnie nie wydobędą, Kepta zdenerwował się z powodu mojej, jak sądził, głupoty i spróbował użyć mnie do podporządkowania Thrali swojej woli.

Za to, jak i za wiele innych rzeczy, musi teraz zapłacić... — Urwał, aby przywitać Urga i Trava oraz innych przywódców Ludu, którzy pojawili się wokół nich cicho jak cienie.

Pomiędzy nimi stała Thrala. Jej spojrzenie utkwione było w kryształowej ścianie, oddzielającej Pieczarę od coraz bardziej rzadzącej mgły. Nie zwróciła na Garina więcej uwagi niż na Any, bawiące się rąbkiem jej szaty, i na kobiety szepczące coś pomiędzy sobą. Garin jednak cofnął się w cień.

Urg oraz kilku innych z trudem unieśli kryształową przegrodę. Nagle w Pieczarze powiało ożywym chłodem Tav. Zieleń otwartej przestrzeni zaczęła zapraszać zgromadzonych swoją świeżością. W zaproszeniu tym jednak było coś dziwnego; z zewnątrz nie dobiegał do Pieczary nawet najcichszy dźwięk.

— Wystawimy warty — postanowił Dandtan. — Czarni wkrótce się pojawią.

Skinął na Garina i popchnął go lekko przed siebie, po czym odezwał się z uśmiechem do Thrali:

— Przejdźmy do Sali Tronowej.

Córka nie podchwyciła jednak jego uśmiechu.

— Nie czas teraz na czcze pogawędki w Sali Tronowej — powiedziała i zmierzyła Garina przeciągłym, lodowatym spojrzeniem. Dandtan natychmiast je spostrzegł.

— Co zaszło między wami? — zapytał Garina. Garin wzruszył ramionami:

— Nie wiem. Nie urodził się jeszcze mężczyzna, który byłby w stanie zrozumieć kobietę...

— Ale ona najwyraźniej jest na ciebie zła! Musisz, przecież wiedzieć, dlaczego!

Przez moment Garin odczuwał pokusę, aby powiedzieć mu prawdę: że nie ośmielił się przełamać bariery, którą ona chciała unieść. A przynajmniej nie zechciał przełamać jej w sposób, który uwłaczałby jego godności. Potrząsnął jednak ponuro głową.

Obaj nie widzieli już potem Thrali aż do chwili, w której Śmierć wkroczyła do Pieczar.

5. BITWA W PIECZARACH

Garin stał obok Dandtana i obaj przyglądali się zielonej Tav. W pewnej odległości od nich znajdowały się dwie wysmukłe, zwieńczone stalową pokrywą wieże, które w rzeczywistości były wydrążonymi rurami, wypełnionymi Czarnym Ogniem. Wokół nich, niczym pracowite mrówki, krążyły jakieś ciemne sylwetki.

— Chyba uważają nas już za pokonanych. Niech tak myślą — skomentował Dandtan zachowanie Czarnych, dotykając dłonią ekranu, wzniesionego przed wejściem do Pieczar.

Gdy wypowiedział te słowa, z oddali dobiegł krzyk Kepty:

— Hej, mieszkańcy Pieczar, chciałbym z wami porozmawiać!

Dandtan i Garin wychylili głowy ponad ekran:

— Widzimy cię, Kepta!

— To dobrze. Wierzę, że równie dobrze jak oczy. będą wam służyć uszy. Oto moje warunki: wydacie mi Thralę. aby zamieszkała w mojej komnacie, oraz przybysza, ku uciesze moich żołnierzy. Nie będziecie stawiali oporu, lecz opuścicie Pieczary i zostawicie mi je. abym mógł zająć przysługujące mi miejsce w Sali Tronowej. Gdy tak się stanie, powróci pomiędzy nas pokój...

Dandtan stał nieporuszony przed ekranem.

— A oto nasza odpowiedź! — zawołał. — Powróć do Grot, zburz most łączący twoje ziemie z naszymi. I spraw. aby Czarni nigdy więcej się tutaj nie zbliżyli. Nigdy...

Kepta roześmiał się.

— A więc jesteście pyszni i głupi! Sam sobie wezmę Thralę i pojmam przybysza...

Na tym zakończyły się negocjacje. Garin, a za nim Dandtan, ruszyli do ataku i po chwili stanęli twarzą w twarz z Keptą. Garin zamierzył się i poczuł jego wargi pod swoją pięścią. Dandtan zacisnął palce wokół jego szyi, jednak zaraz puścił zdobycz i głośno ostrzegł Garina:

— Uważaj!

Z trawy wynurzył się morgel i zamierzył się kłami na pięść Garina, zmuszając go do puszczenia Kepty. Dandtan zdołał jednak uderzyć napastnika tak mocno, że morgel padł bez czucia na ziemi.

Oszołomiony Kepta poczołgał się do tyłu. do swoich ludzi. Jego twarz była cała okrwawiona, malowała się na niej krańcowa złość. Wściekłym głosem zaczął wykrzykiwać jakieś rozkazy.

Dandtan tymczasem miał wystarczająco dużo przytomności umysłu, aby pociągnąć Garina i razem z nim wycofać się za ekran.

— Uspokój się — wydyszał. — Są inne sposoby walki z Keptą niż bicie go gołymi pięściami.

Tymczasem wieże przechyliły się, kierując czubki ku wejściu do Pieczar. Dandtan zarządził, aby szczelnie zasłonić je ekranem.

Morgel, którego Dandtan unieszkodliwił podczas krótkiej walki, powstał niepewnie na nogi. Gdy znajdował się w połowie drogi powrotnej do swego pana, Kepta dał rozkaz otwarcia ognia. Szeroki strumień czarnego płomienia z najbliższej wieży zahaczył o głowę nieszczęśnika i po chwili w tym miejscu leżała już tylko kupa popiołu.

Kiedy płomienie dotarły do ekranu, rozległ się głośny syk i natychmiast zostały odbite z powrotem. Zielona trawa zapłonęła i już po chwili teren przed Pieczarami pokryty był tylko nagą, szarą ziemią. Do Pieczar wdarł się przez szczeliny gęsty, gryzący dym i ich obrońcy zaczęli głośno kaszlać.

Wkrótce Czarni przerwali atak. Ze szczytów wież znów unosiły się jedynie wąskie smużki czarnego dymu, a nad wypaloną ziemię wzniosł się gęsty, błękitnawy kurz. Dandtan głęboko odetchnął.

— Udało się! — wykrzyknął. W jego głosie brzmiała ogromna ulga, zdradzająca, w jakim napięciu żył przez ostatnie dni.

Jednak nie było czasu na radość, gdyż w każdej chwili mógł nastąpić nowy atak. Lud przygotowywał do użycia kolejną broń: szklane bulwy z zielonym płynem. Dandtan patrzył na to, jakby cała sprawa go nie dotyczyła. Garin dziwił się temu przez chwilę, aż wreszcie przypomniał sobie, że Pradawnym nie wolno podejmować poczynań, które mają na celu pozbawienie kogokolwiek życia.

Ludem dowodził teraz Trav. Na jego rozkaz bulwy umieszczone zostały w wyrzutniach w kształcie łyżek. Odrobinę obniżono ekran, przygotowując coś na kształt otworów strzelniczych. Trav uniósł rękę, gotów dać rozkaz do ataku. Gdy wyrzutnie były przygotowane, opuścił ją, i zielone bulwy poszybowały daleko w przestrzeń.

Jedna z nich, wystrzelona zbyt słabo, padła niedaleko wejścia i pękła. Płyn wydobył się z niej, zmieniając się w szarozielony gaz w chwili stykania się z powietrzem. Tej przemianie towarzyszył przerażający syk... Wkrótce podobne odgłosy zaczęły docierać do Pieczar z miejsc, gdzie znajdowały się stanowiska wroga. Towarzyszyły im krótkie, straszliwe wrzaski, przeradzające się natychmiast w jęki bólu i rozpacz. Czarni opuszczali

swe stanowiska. Garin widział w oddali pojedyncze sylwetki, straszliwie zdeformowane przez okrutny zielony płyn.

Dandtan odwrócił się. Jego twarz była blada, a rysowało się na niej niedowierzenie i przerażenie. Garin zakrył dłońmi uszy, aby nie słyszeć jęków; cofającego się wroga.

Wreszcie wszystko ucichło. Przed Pieczarami pozostały jedynie opuszczone wieże. Pomiedzy nimi leżały bezwładne ciała, popalone i straszliwie powykręcane w śmiertelnej agonii. Garin długo krążył po polu bitwy, zamyślony, zadumany. Wreszcie musiał przerwać obchód, gdy jedna z kobiet z otoczenia Thrali zawołała do niego:

— Szybko! Kepta zabiera Thrale!

Natychmiast pobiegła tam, skąd przybyła, a Amerykanin pospieszył za nią. Jak błyskawica oboje wpadli do Sali Tronowej i tutaj Garin zobaczył jakąś szamotaninę przed podwyższeniem.

Usłyszał czyjs skowyt, jakby zwierzęcy, i w tej samej chwili zdał sobie sprawę, że ten głos pochodzi z jego własnego gardła. Skoczył i po raz drugi tego dnia uderzył pięścią w twarz Kepty. Z krzykiem wściekłości Czarny puścił Thrale i zaatakował Garina. Jego długie paznokcie rozorały skórę na twarzy lotnika. Garin odpowiedział mu boksem ciosem w żebra. Odebrało to na chwilę Keptę oddech i pozwoliło Amerykaninowi zacisnąć palce wokół jego szyi. Mimo heroicznego wysiłku, które Czarny podejmował, aby się wyswobodzić, Garin ścisnął go tak długo, aż wreszcie bezwładne ciało przeciwnika upadło u jego stóp.

Ciężko dysząc, Garin wyprostował się i oparł ramieniem o Nefrytowy Tron.

— Garin! — Thrala rzuciła mu się na szyję, ale po chwili cofnęła się i opuszkami palców zaczęła badać jego rany. W tym momencie zapomniał o Dandtanie i o wszystkim, co go otacza. Przyciągnął ją do siebie. Przez chwilę patrzyli sobie głęboko w oczy. po czym zetknęły się ich usta. Na jego pocałunek odpowiedziała długim, głębokim pocałunkiem.

— Garin — wyszeptała miękko i nagle, jakby ogarnął ją wstyd, oderwała się od niego.

Za nią stał Dandtan, o pobladłej twarzy i zaciśniętych ustach. Garin opamiętał się. Odrobinę otumaniony z bólu, ale też i z rozkoszy, jaką sprawiły mu pocałunki, opuścił wzrok, pragnąc nie patrzeć w tej chwili na Thrale.

— A więc, przybysz, Thrala rzuciła się w twoje ramiona.

Garin błyskawicznie odwrócił się. Oto Kepta. Ten sam Kepta, którego przed chwilą pokonał, patrzył na niego z wysokości Nefrytowego Tronu.

— Tak, tak, ja wciąż żyję, przybysz. Nie jesteś w stanie odebrać mi życia. Odejdę teraz, lecz wróć. Spotkaliśmy się i znienawidziliśmy już znacznie wcześniej, niż sądzisz. Ty

byłeś niejakim Garanem, Marszałkiem Floty Powietrznej Yu–Lac, na świecie, który zniknął, a ja byłem władcą Koom. Było to dawno, zanim Pradawni wyruszyli w przestrzeń. Ty i ja, i Thrala jesteśmy związani ze sobą tak silnie, że żaden los nie może rozwiązać tego związku. Żegnaj Garinie. tymczasem. A ty, Thralo, pamiętaj koniec tamtego Garana. Nie było mu wówczas łatwo.

Ze złośliwym uśmiechem na ustach rozparł się wygodnie na tronie. Ciało jego zaczęło się kurczyć, a tron jakby rozbłysł wszystkimi barwami tęczy. Trwało to bardzo krótko; po chwili i Nefrytowy Tron. i Kepta zniknęli. Tam, gdzie znajdowali się jeszcze przed mgnieniem oka, była pustka, a obok stał Różowy Tron Pradawnych.

— On mówił prawdę — szepnęła Thrala. — Żyliśmy w innych wymiarach, spotykaliśmy się i będziemy się spotykać w przyszłości. Na razie jednak Kepta powrócił do ciemności, które go tutaj przysłały.

Gdy Thrala umilkła, zupełnie nagle, bez zapowiedzi, w Sali rozległ się głuchy grzmot. Zaczęły kołysać się wszystkie ściany. Długo trwało, zanim niebezpieczeństwo minęło: w tym czasie wszyscy stali jak wryci, nie ośmielając się poruszyć, sparaliżowani strachem. Gdy powróciła cisza, do Sali wbiegł goniec z wiadomością, iż jeden z Gibich zauważył, że Groty Ciemności zostały zasypane przez podziemne wstrząsy. Zagrożenie ze strony Czarnych odeszło bezpowrotnie.

Chociaż z powodu wstrząsów ucierpiały również Pieczary — zasypane zostały niektóre przejścia, popękały niektóre ściany — prawie nikt nie odniósł obrażeń. Gibi zauważyły, że przed wejściem do Pieczar obniżył się poziom gruntu, a Rzeka Złota, która zmieniła koryto, dopłynęła aż tutaj, tworząc piękne jezioro.

Nie było wątpliwości, że żaden z Czarnych nie przeżył bitwy i kataklizmu, chociaż nikt nie mógł być pewien, czy gdzieś na Tav nie grasują zdolne do wszystkiego bandy rzezimieszków.

Zmieniło się jednak oblicze Tav. Na centralnej równinie pojawiły się niewysokie wzgórza. Zniknął staw i wrzącym błotem, a wszystkie drzewa w lesie przewróciły się, jakby ścięte wielką kosą.

Po powrocie do swego miasta przy urwisku, Gibi znalazły większość ze swych woskowych wież w ruinie, jednak bez narzekań przystąpiły do ich odbudowy. Uprawiające pola wiewiórki wynurzyły się ze swoich nor i ponownie przystąpiły do pracy.

Garin czuł się jakby nie na miejscu wśród tych wszystkich prac, które toczyły się w Pieczarach i wokół nich. Bardziej niż kiedykolwiek zdawał sobie sprawę, że jest tu tylko przybyszem, obcym, nie mającym swych korzeni na Tav. Dużo czasu spędzał w Jaskini

Przodków, chcąc jak najwięcej dowiedzieć się o tych, którzy stworzyli ten dziwny świat, w którym przyszło mu się znaleźć.

Pewnego wieczoru, gdy powrócił do swojej komnaty, zastał w niej Dandtana i Trava. czekających na niego. Twarz Dandtana była ściągnięta w surowym grymasie. Trav był posepny.

— Czy od dnia, w którym wygraliśmy bitwę, starałeś się dotrzeć do Sali Kobiet? — zapytał syn Pradawnych bez żadnego wstępu.

— Nie — odparł krótko Garin, zastanawiając się, o co Dandtan chce go oskarżyć.

— Czy posyłałeś jakąś wiadomość do Thrali? Garin z trudem zachował spokój:

— Nie. Wiem co mi wolno, a czego nie.

Dandtan popatrzył na Trava jak oskarżyciel, którego podejrzenia zostały potwierdzone.

— Widzisz więc, Trav.

Trav powoli potrząsnął głową:

— A jednak nigdy dotąd wezwanie nie było pomyłką...

— Zapominasz — powiedział Dandtan ostro — że raz już się tak stało i wymierzaliśmy surową karę. Tak będzie i tym razem.

Garin patrzył zdezorientowany to na jednego, to na drugiego. Dandtan był najwyraźniej wściekły, natomiast Trav sprawiał wrażenie, że nie wie, jak powinien się zachować.

— Powinniśmy poradzić się Córki — powiedział wreszcie Władca Ludu.

Dandtan skierował kroki ku drzwiom.

— Thrala nie może się dowiedzieć. Jeszcze dzisiaj wieczorem zwołam Radę. Tymczasem pilnuj — zerknął na Garina — aby on nie opuszczał swojej izby.

W ten sposób Garin stał się więźniem Ludu. Nie wiedział, o co oskarżył go Dandtan ani co spowodowało nienawiść rządcy Pieczar. Mógł jedynie domyślać się, że Dandtan był zazdrosny i za wszelką cenę chciał się pozbyć rywala.

Z tymi domysłami w głowie Amerykanin znalazł się wkrótce w izbie, w której czekali na niego surowi sędziowie. Dandtan siedział u szczytu długiego stołu, obok niego zasiadał Trav, a dalej mniej ważni notable Ludu.

— Wszyscy znacie oskarżenie — odezwał się Dandtan jadowitym głosem, gdy Garin stanął przednim. — Potwierdził je nieopatrznie przybysz swoimi własnymi słowami. Zatem wzywam was, abyście wyznaczyli mu los godny osobnika, który sprzeniewierzył się wezwaniu.

— Czy przybysz przyznał się do winy? — zapytał ktoś. Trav ze smutkiem pokiwał głową.

— Przyznał się — powiedział.

Garin otworzył usta, chcąc się wreszcie dowiedzieć, o co go oskarżają, jednak Dandtan nie dał mu dojść do słowa.

— Jaka jest wasza decyzja. Panowie?

Przez długą chwilę wszyscy siedzieli w milczeniu, pochyliwszy swe jaszczurze głowy, jakby zastanawiając się.

— Postępuj, jak ci nakazuje sumienie, o Najjaśniejszy — zapadła wreszcie decyzja.

Dandtan uśmiechnął się, jednak na jego twarzy nie zagościła radość.

— Widzisz, przybyszu — przesunął dłonią nad lustrem, leżącym na stole; w lustrze przesuwały się obrazy. — Taki jest los rebelianta...

W szklanej powierzchni Garin ujrzał grupę Pradawnych, przytrzymujących szamoczącego się więźnia. Kazali mu czołgać się i musiał spełnić ich polecenie. Brnął brzuchem po kamienistej ziemi i po ostrych skałach, oddychał gorącym powietrzem, z sykiem wydostającym się ze szczelin w gruncie. Pełzał tak długo, aż dotarł do błotnistej sadzawki, z której nie sposób było się wydobyć. Po chwili błoto pochłonęło go całkowicie i tylko jeszcze przez chwilę na powierzchni wydobywały się bąbelki powietrza.

— Taki był jego koniec, i ty tak skończysz...

To oświadczenie, zamiast przestraszyć Garina, wzbudziło w nim złość.

— Wolę raczej zginąć, niż pozostać z wami, chociażby przez chwilę! — zawołał gromkim głosem. — Wy, którzy zawdzięczacie mi życie, zamierzacie posłać mnie na męczeńską śmierć, nawet nie wyjaśniając mi, o co jestem oskarżony! Mała jest różnica pomiędzy wami a Keptą, a może on nawet jest lepszy, bo ośmielił się być moim otwartym wrogiem, a nie skrytym i podstępny.

Dandtan skoczył na równe nogi, jednak Trav przytrzymał go za ramię.

— Szczerze mówi. Zapytaj go, dlaczego nie wypełnia wezwania?

Dandtan wahał się. Skorzystał z tego Garin i pochyliwszy się nad stołem, starannie dobierając słowa, wyrzucił swoje żale prosto w twarze sędziów o nieprzeniknionych, jaszczurzych obliczach.

— Przyznaję, że kocham Thralę. Pokochałem ją w tej samej chwili, w której po raz pierwszy ujrzałem ją w Grotach. Od kiedy to zbrodnią jest kochać, nawet istotę, której nie ma się prawa zdobyć, jeżeli nie okazuje się tego wszem i wobec?

Trav puścił Dandtana; jego złote oczy błyszczały.

— Jeżeli ją kochasz, staraj się o nią. Masz takie prawo.

— Przecież wiem — Garin zwrócił się Trava — że ona należy do Dandtana. Thran nie wiedział, że Dandtan przetrwa, kiedy uzależniał jej los od swojej woli. Czyż wolno mi to wykorzystywać, upominając się o moje prawo do niej? Niech odda się temu, którego kocha...

Na twarzy Dandtana pojawiła się wściekłość, jego ręce, spoczywające na stole, zaczęły drżeć. Jeden po drugim sędziowie poczęli wstawać i wkrótce w izbie pozostali już tylko oni dwaj: Garin i Dandtan. Ten ostatni z trudem wydobył z siebie następne słowa.

— A ja chciałem cię posłać na śmierć — wyszeptał. Mimo szeptu, jego głos drżał. — Garinie, my myśleliśmy, że ty wiesz, że ty wszystko wiesz i świadomie odtrącasz rękę Thrali.

— Co takiego wiem?

— Że ja jestem synem Thrana. I bratem Thrali. Garin poczuł, że świat wiruje przed jego oczyma. Z trudem znalazł w sobie tyle sił, żeby się nie przewrócić.

— Jestem głupcem — powiedział powoli. Dandtan uśmiechnął się:

— Lecz głupcem pełnym honoru. A teraz udaj się do Thrali i opowiedz jej o wszystkim. Zasluguje na to.

Po raz drugi, tym razem z Dandtanem u boku, Garin odgarnął złote zasłony i stanął przed obliczem Córki. Wstała z poduszek i bez słów padła mu w ramiona, gdyż z wyrazu jego twarzy odgadła, z jaką nowiną przychodzi.

W tym momencie rozpoczęło się życie Garina na Tav.

CZEŚĆ DRUGA

L. WŁADCA YU-LAC

Często wysłuchiwałem (ja. Garin Featherstone w dawnym świecie za Barierą Mgły, a teraz Garan z Płomieni, małżonek Królowej Thrali. Córki Pradawnych) na pół zapomnianych opowieści o wspaniałej rasie, która uciekła z umierającej planety. Przemierzywszy ogromną, niemal bezkresną pustkę, jej przedstawiciele wylądowali na antarktycznym kontynencie naszego młodego świata i tam znaleźli dla siebie nowe miejsce do życia. Była to, oczywiście, ziemia Tav, na której spodziewali się zamieszkać na bardzo długo.

Mówiono nam, że od czasu do czasu odświeżali swoją krew, przywołując do siebie mężczyzn z zewnętrznego świata, którzy przenikali na Tav poprzez bariery, wzniesione przez tę wspaniałą rasę. Ja byłem jednym z tych mężczyzn. Przybyłem tam jednak bardzo późno i w złych czasach. Na Tav zawitało bowiem zło i rozgorzał dramatyczny konflikt pomiędzy jej mieszkańcami. Z trudem udało nam się pokonać Keptę, Władcę Czarnego Ognia, i jego zwolenników. Na Tav pozostało tylko dwoje przedstawicieli wspaniałej rasy Pradawnych: moja małżonka i jej brat, Dandtan.

Zrozumiawszy, że przegrał walkę, Kepta zapowiedział nam niepewną przyszłość, a poza tym poczynił pewne uwagi, dotyczące przeszłości. Uwagi te nad wyraz mnie zainteresowały. Powiedział bowiem, że troje z nas, Thrala, Kepta i ja, jesteśmy ze sobą nierozłącznie związani. Żyliśmy i walczyliśmy dawno temu i będziemy żyć oraz walczyć również w dalekiej przyszłości.

W Pieczarze Snu spoczywa Garan, którego historię opowiedziała mi Thrala. Jednak przed nim, dawno, dawno temu, byli inni.

Kiedy bowiem poprosiłem Thralę, aby wytłumaczyła mi słowa Kepty, zabrała mnie do jednego z dziwnych, jajowatych pomieszczeń, w których znajdują się wbudowane w stoły lustra, pozwalające widzieć przeszłość i przyszłość. Tam usiadła na miękkiej ławce przy jednym z nich i poleciła mi, abym uczynił to samo.

— Daleką i długą przebyliśmy drogę, kochany — powiedziała cicho. — Jednak nie tak daleką i nie tak długą, bym nie pamiętała jej początku. A ty, czy pamiętasz?

— Niczego nie pamiętam — odparłem, z oczami utkwionymi w lustro.

Thrala westchnęła.

— Cóż, żałuję, chociaż myślę, że to moja wina. To, co razem zrobiliśmy, we dwoje, w wielkim mieście Yu–Lac, w zaginionym świecie Krand, połączyło nas na długo, bardzo długo. A jednak to już minęło i trochę obawiam się przywoływać znów te obrazy.

Podniosłem się gwałtownie.

— A więc dajmy temu spokój — powiedziałem.

— Nie. — Thrala chwyciła mnie za rękę. — Zapłaciliśmy już naszą cenę. płaciliśmy trzykrotnie. Raz w Yu–Lac i dwa razy w Pieczarach. Nasze nieszczęście minęło; teraz raduje mnie ponowne oglądanie najwspanialszych czynów, jakich kiedykolwiek byłem świadkiem.

Przesunęła wysmukłe dłonie nad lustrem. Zaszło mgłą.

Stałem na balkonie o wymyślnie rzeźbionej poręczy z opalizującego kamienia, spoglądając z góry na fantastyczne miasto, nie rozbudzone jeszcze całkowicie ze snu. Na różowym niebie, dziwnym dla moich na poły ziemskich oczu, a jednocześnie tak znajomym, pojawiły się pierwsze pasemka ziemskiego świtu. Wielkie miasto Yu–Lac leżało u mych stóp. a ja byłem Lordem Garanem, Marszałkiem Cesarskiej Floty Powietrznej, parem imperium.

Sam fakt urodzenia nie dawał mi prawa do takiego stanowiska i tytułu, moja matka bowiem była zaledwie damą dworu, a ojciec oficerem. Złamali prawo, zakazujące małżeństw pomiędzy osobami pochodzącymi z różnych kast i klanów. Pobrali się w sekrecie i skazali mnie na pełnienie od urodzenia roli wyrzutka, osobnika stojącego najniżej w hierarchii społecznej.

Szczęśliwie dla mnie i podobnych mi nieszczęśników. Cesarz Fors. kiedy zasiadł na Różowym Tronie w Pałacu Światła, wydał dekret, zezwalający na służbę w armii wszystkim mężczyznom. W wieku piętnastu lat dokonałem więc wyboru: poświęciłem się karierze wojskowej.

Ciężkie okazało się życie w armii, jednak było ucieczką od jeszcze gorszej doli. a ja — młodzieniec ambitny i zdolny (z pewnością odziedziczyłem te cechy po moim ojcu) — szczęśliwie awansowałem w jej hierarchii krok po kroku. Po czternastu latach byłem Marszałkiem Cesarskiej Floty Powietrznej i lordem, mianowanym przez samego Cesarza.

A jednak żołnierz, który stał na balkonie, przypatrując się pięknemu obrazowi miasta, budzącego się ze snu. podziwiający urodę Yu–Lac o świecie, nie był ani szczęśliwy, ani zadowolony. Wszystkie jego z trudem zdobyte zaszczyty znaczone były ranami, pokrywającymi niemal całe ciało. On sam zaś (choć nikt jeszcze o tym nie wiedział) ośmielił się skierować swój wzrok i serce ku osobie, stojącej tak wysoko ponad nim. jak wysoko czerwone słońce Krand staje ponad złotymi polami.

Ja, weteran niezliczonych wojen przygranicznych i krwawych potyczek, byłem tak przygnębiony i nieszczęśliwie zakochany, jak najgłupszy i najmłodszy z rekrutów, zakwaterowanych w barakach pod moją wieżą. Mimo że z wielkim wysiłkiem zdołałem gasić moją tęsknotę w ciągu dnia, w nocy i nad ranem ożywała ona z taką siłą, że nie byłem w stanie uciec ani od niej, ani od marzeń o mojej ukochanej. Niczym najbardziej ekscentryczny z kapłanów wielkiej świątyni boga On, torturowałem się myślami, sprawiającymi mojemu sercu nieopisany ból. Udawało mi się jednak nikomu niczego nie okazać. Dla moich towarzyszy walki pozostawałem zimnokrwistym żołnierzem i sprawnym dowódcą.

Trzy lata,.. Na boga On, czy to naprawdę trwało już aż tak długo? To przed trzema laty byłem dowódcą cesarskiego latacza, który wyznaczony został do odebrania Thrali z przyklasztornej szkoły w Toran i przeniesienia dziewczyny do jej kryształowego pałacu, który dumnie wznosił się na szczycie centralnego wzgórza Yu-Lac.

Księżniczka otoczona była przez cały czas niezliczonymi zastępami strażników i przyzwoitek, a jednak pewnej nocy wymknęła się im wszystkim i znalazła w kokpicie latacza, w którym pełniłem samotną służbę. Tej nocy stała się dla mnie Thralą, ukochaną, kimś o wiele ważniejszym i bliższym niż jedynie Cesarska Wysokość.

Od tego dnia widziałem ją dwa razy. Pierwszy raz w życiu, kiedy uklęknałem przed Cesarzem, aby przyjąć marszałkowskie szlify; ośmieliłem się wówczas unieść głowę i spojrzeć na Thralę, siedzącą na złotym tronie obok niego. A po raz drugi? Było to w cesarskich ogrodach, kiedy oczekiwałem na audiencję. Przeszła wówczas zaledwie kilka kroków obok mnie, otoczona przez swoje damy do towarzystwa.

Podział kastowy w Krand był bardzo ścisły. Wszelkie awanse możliwe były tylko w obrębie kast. Chłop mógł z czasem dorobić się nie wiadomo jak wielkich połaci ziemi i być gospodarzem na wielkich obszarach, a jednak ani on, ani jego synowie nie mieli prawa nigdy służyć na dworze ani w armii. Na zawsze pozostawali wieśniakami.

Na tej samej zasadzie żołnierz, chociażby był nie wiadomo jak utytułowany i jak wysoki stopniem, nie miał prawa wodzić oczyma za córką kogokolwiek spośród Oświeconych. To oni byli naszymi władcami i dostojnikami, umiejscowionymi w hierarchii społecznej o wiele wyżej niż wszyscy inni mieszkańcy Krand. Posiadali taką władzę, zarówno nad ludźmi, jak i siłami natury, jaką ja posiadałem nad bezmózgowcami, pracującymi na polach: nad półludźmi, stworzonymi przez Oświeconych w laboratoriach.

A jednak pokochałem Thralę i nie mogły temu zaradzić żadne dekrety Cesarza, nie mogły mojej miłości powstrzymać żadne kastowe łańcuchy. Myślę, że skończyłbym z sobą, w

ostatniej chwili życia rozmyślając o niedostępnej dla mnie ukochanej, gdyby ślepy los nie zdecydował za mnie inaczej.

Tego ranka nie było mi dane długo przeżywać w samotności mojej tęsknoty za Thralą. Wkrótce rozległ się za mną cichy dzwoneczek przy drzwiach, oznajmiając, że ktoś pragnie wejść do mojej komnaty sypialnej. Podeszedłem do matowej blaszki, umieszczonej na ścianie i przesunąłem przed nią dłoń. Jej powierzchnia natychmiast ożywiła się i ujrzałem na niej ostre, wyraźne rysy twarzy mojego adiutanta. Anatana Hala, szubrawcy i wesołka, jakich mało urodziło się dotąd na świecie.

— Wejdz — powiedziałem do tuby, umieszczonej obok. Mój głos automatycznie otworzył drzwi. — No chłopaczku, w co się tym razem wpakowałeś? — zapytałem Anatana zrezygnowany.

Byłem już przyzwyczajony do jego porannych wizyt i próśb o wybawienie go z najprzeróżniejszych kłopotów, w które co rusz pakował się dzięki swojej nieostrożności i niespożytej energii.

— Na razie — odparł lekkim tonem — chwalcę boga On, w żadne. Natomiast na pana czeka posłaniec z pałacu.

Mimo że żołnierz powinien zachowywać spokój w każdej sytuacji, serce zabiło mi szybciej. Znów przesunąłem dłoń nad blaszką i poleciłem żołnierzowi dyżurującemu w moim gabinecie, aby wpuścił posłańca. Postanowiłem przyjąć go natychmiast, gdy się odpowiednio przebiore.

Anatan zajął się zbieraniem części mojego munduru, które leżały porozrzucane po całej sypialni, a ja tymczasem wszedłem do łazienki. Nie domknąłem, jak zwykle, drzwi, dzięki czemu Anatan mógł wykrzykiwać w moim kierunku najnowsze plotki z baraków i dworu.

— Lord Kepta zamierza złożyć nam wizytę! Opuściłem ręcznik, po który właśnie sięgnąłem.

— Kepta z Koom? — zapytałem szybko. Miałem nadzieję, że Anatan nie zauważył niepokoju w moim głosie.

— A któżby inny? Wiadomo mi tylko o jednym Kepcie.

Anatan, mimo że był chłopakiem lekkomyślnym, a zarazem bardzo chytrym i przebiegłym, zawsze był wobec mnie lojalny. Wiedziałem, że w żadnych okolicznościach mnie nie zdradzi. Nie było na świecie nikogo, kogo nienawidziłbym bardziej niż Kepty z Koom, który posiadał władzę, pozwalającą zgnieść mnie w okamgnieniu z powierzchni ziemi

niczym owada, i który bez chwili wahania wykorzystałby tę władzę, gdyby zdawał sobie sprawę z mojej nienawiści. Na szczęście wiedział o tym tylko Anatan.

W każdym koszyku owoców znajdzie się zawsze jeden owoc zgniły, który sprawi, że zaczną się psuć pozostałe. W moim najgłębszym przekonaniu Władca Koom był takim zgniłym owocem pomiędzy Oświeconymi.

Kepta nie przebywał zbyt często w towarzystwie ludzi ze swojej kasty, spędzając większość czasu w swojej wielkiej cytadeli z czerwonego kamienia, stojącej w omiatanym przez wiatr mieście. W laboratorium pod cytadelą przeprowadzał tajemnicze eksperymenty, których efekty miały służyć umocnieniu świetności Krand. Nikt spośród pozostałych Oświeconych nie potrafił powiedzieć, na czym te eksperymenty polegają, podejrzewam jednak, że nie należy z nimi wiązać niczego przyjemnego. Każda nauka ma swoje jasne i ciemne strony; o ile w pogłoskach na ten temat istniało chociaż ziarno prawdy, Kepta skłaniał się tylko ku tym ciemnym, na ten temat najróżniejsze historie, dwiema z nich nawet się dokładniej zainteresowałem, cóż jednak mogłem począć bez dowodów! Kepta był Oświeconym z samej racji urodzenia, a ja od urodzenia wyrzutkiem, który dzięki łasce Cesarza zdobył pewną sławę i pozycję. Jeśli chciałem je zachować — ba, jeśli chciałem zachować życie! — nie powinienem był wchodzić w drogę Kecipie.

Kepta był bardzo popularny wśród większości oficerów mojego korpusu. Znany był z tego, że lubił huczne zabawy, a poza tym nie skąpił nikomu z nich grosza, gdy znajdowali się w kłopotach finansowych. Było dla mnie jasne, że chce uzależnić od siebie tak wielu oficerów, jak to tylko możliwe.

A jednak władca Koom nieczęsto opuszczał swoją warowną cytadelę. Raczej wolał zapraszać kompanów; do siebie. Jedynym wyjaśnieniem jego zbliżającego się przyjazdu był fakt, że Cesarz zwołał wszystkich Oświeconych do Yu-Lac; niewątpliwie i Kepta wezwany został na to zgromadzenie.

Jeśli tylko o to chodziło, nie należało się go spodziewać zbyt szybko: od tej strony już go dobrze znałem. Jako dowódca portu lądowiskowego w Yu-Lac nie otrzymałem do tej pory informacji o jego przylocie i o konieczności przygotowania dla jego prywatnego latacza miejsca postojowego pomiędzy maszynami Cesarza. Wiedziałem więc, że gdy przyleci, będzie to lądowanie nagłe, przez nikogo nie spodziewane. A to oznaczało dla całej obsługi lądowiska mnóstwo problemów i kłopotów.

Ubrałem się w wyjściowy mundur i przypiąłem miecz do szerokiego pasa. Odebrałem od Anatana srebrny płaszcz wojenny i wyszedłem z mieszkania.

Z mojego prywatnego apartamentu do biur schodziło się spiralnymi schodami, biegnącymi wewnątrz wieży. Ściany w wieży ozdobione były freskami, przedstawiającymi sceny wojenne. Co kilkanaście stopni w ścianach umieszczone były wizjery, dzięki czemu każdy, kto miał ochotę, mógł na żywo obejrzeć w nich bitwy i najważniejsze wydarzenia z militarnej historii Koom.

Z zadowoleniem przyglądałem się pracy moich podwładnych. Jeden z oddziałów powracał właśnie z porannych ćwiczeń w terenie. Żołnierze z gracją dosiadali małych, lekkich i zwinnych wierzchowców. Była to gwardia cesarska: żołnierze ochraniający swego władcę i podróżujący z nim zawsze, kiedy tylko Cesarz postanawiał opuścić Yu–Lac.

Przechodząc między żołnierzami dotknąłem rękojeści miecza. Mężczyźni już dawno zaprzestali rozstrzygania sporów na tle swych pasji i namiętności za pomocą żelaza; mój miecz był ładną zabawką, ale służył jedynie podkreśleniu mojej rangi w armii. Wojny prowadzono używając o wiele bardziej subtelnych środków, na przykład płynów, które zamrażały albo paliły przeciwnika. W laboratoriach przygotowywano tak śmiertelne środki, że przeciętny człowiek nawet nie potrafił sobie ich wyobrazić.

Zacząłem się zastanawiać, po co właściwie Oświeceni zwołali to zgromadzenie w Yu–Lac. Żadne z dzikich plemion, żyjących przy granicy, akurat się nie buntowało, pięć wielkich narodów żyło w spokoju i pokoju od wielu już lat. Powszechnie uważano, że z ich strony nie ma się czego obawiać. A jednak zaniepokoiłem się. Moja dłoń znów odruchowo powędrowała ku rękojeści miecza. Świadomość, że jej dotykam, przyniosła mi ulgę.

Posłaniec z pałacu, młody oficer gwardii cesarskiej, cierpliwie czekał na moje przybycie.

— Cesarz życzy sobie ujrzeć Lorda Garana — wyrecytował jednym tchem, gdy się pojawiłem. — Lord Garan proszony jest o zjawienie się w Sali Dziewięciu Książąt o godzinie trzeciej.

— Zrozumiałem, pojawię się punktualnie — odparłem. Prośba Cesarza była rozkazem i jeszcze nikt nigdy nie ośmielił się jej odmówić.

Posłaniec przyklęknął przede mną i dotknął czołem podłogi, oddając mi w ten sposób honory.

O godzinie trzeciej? Miałem więc jeszcze sporo czasu.

Ująłem Anatana pod rękę i przeszliśmy do jadalni, przeznaczonej dla mieszkańców wieży. Zajęliśmy miejsca przy lśniąącym stole, ustawionym przy ścianie. Anatan dwukrotnie przycisnął małe guziki i odsłoniły się przed nami wnęki w ścianie. Natychmiast wysunęły się z nich talerze z naszym śniadaniem. Żywność była tu zawsze kaloryczna i estetycznie podana,

jednak jak na mój gust dodawano do niej zbyt dużo sztucznych przypraw i barwników. Nigdy nie potrafiłem przywyknąć do tego zwyczaju wprowadzonego przez ludzi z wielkich miast, uważających się za awangardę postępu. Dlatego z przyjemnością jadałem proste posiłki serwowane w wojskowych obozach i w niewielkich prowincjonalnych oberżach.

Mieszkańcy miast, korzystający bez umiaru ze wszystkich zdobyczy nauki ułatwiających życie, moim zdaniem zatracili poczucie tego, co jest prawdziwą radością. Ich „pałace przyjemności” prosci ludzie omijali szerokim łukiem. Być może wiele opowieści o tym, co się w nich dzieje, było przesadzonych, a jednak byłem przekonany, że gdyby tajna policja przyjrzała się im bliżej, dowiedzielibyśmy się wielu ciekawych rzeczy.

Jakby odczytując moje myśli, Anatan przerwał ciszę:

— W dzielnicy Sotan powstał nowy pałac rozkoszy.

— No i co? — zapytałem, wzruszając ramionami. — Zdążyłeś go już odwiedzić?

Potrząsnął przecząco głową, udając ogromny żal.

— To przybytek nie dla takich jak ja. Kiedy mijałem bramę, wchodził do niego Kanddon Stal, a przy drugich drzwiach widziałem ochroniarzy Lorda Palkuna.

— Zapewne nieźle się bawili — stwierdziłem. Anatan wymienił właśnie nazwiska dwóch najbogatszych i najbardziej wpływowych osobistości spośród nie należących do kasty Oświeconych.

— Też tak sędę. — Wyszczerył zęby w szerokim uśmiechu. — Mam nadzieję, że jeśli Lord Garan zechce kiedyś odwiedzić ten pałac, zabierze mnie ze sobą.

— Czy pamiętasz, żebym kiedykolwiek przekroczył prosi pałacu przyjemności? — zapytałem. Zaraz jednak dodałem: — Obiecuję ci, że jeśli kiedykolwiek tam się znajdę, będziesz mi towarzyszył. — Powiedziałem to żartobliwym tonem, nie przypuszczałem bowiem, że nadejdzie dzień, w którym będę musiał obietnicę tę spełnić.

— Umowa stoi, panie! — wykrzyknął Anatan, zadowolony.

Później wsiadłem do jednosilnikowego latacza, który miał przewieźć mnie ponad miastem i wylądować za kryształowymi murami pałacu Cesarza.

2. LORD KEPTA Z KOOM

Było jeszcze wcześniej i niebo nad miastem nie było zatłoczone przez prywatne latacze ze ludzi, poruszających się bądź to w interesach, bądź to dla przyjemności. Wiedziałem, że im będzie później, tym ruch w powietrzu stanie się gęstszy. Poza jednym lataczem patrolowym nie napotkałem na swej drodze nikogo i po krótkim przelocie wylądowałem w miejscu przeznaczenia.

Nie zdążyłem dokołować na wyznaczone stanowisko, gdy wylądował i wyprzedził mnie, już na ziemi, wysmukły, czarny dwuosobowy latacz. Jego kształty świadczyły, że jest w stanie rozwijać w powietrzu ogromną szybkość, znacznie większą niż zwykłe pojazdy powietrzne. Przesunąwszy się przed moim nosem zajął dokładnie to stanowisko, które przeznaczone było dla mnie.

Zdenerwowany zachowaniem pilota, który ośmielił się ze mną zadrzeć, ustawiłem swoją maszynę obok błyszczącego czarnego latacza. Postanowiłem solidnie zbesztać pilota, jednak kiedy go zobaczyłem, natychmiast odstąpiłem od swojego zamiaru.

Z kabiny czarnego latacza, z szerokim uśmiechem na ustach, wyszedł bowiem sam Lord Kepta z Koom. Na głowie nie miał ani hełmu, ani przysługującej mu korony i silny wiatr swobodnie rozwiewał jego czarne, lśniące włosy. Ten sam wiatr powiewał połami jego długiego pomarańczowego płaszcza.

Przy boku Kepty kroczył dowódca jego floty powietrznej, pośpny facet o nazwisku Japlan Toc, od wielu już lat mający jak najgorszą reputację w środowisku lotników. Nie lubił mnie i cenilem go za to, że przynajmniej nie udaje i nie odgrywa roli mojego przyjaciela.

— Och, nasz szanowny Lord Garan! — Kepta powitał mnie tymczasem z fałszywą wylewnością. — Niech mi wolno będzie pogratulować zwycięzcy spod Tarnam jego wspaniałego wyczynu. Japlan doznał poważnego ataku zazdrości, kiedy dotarły do nas wieści o twoim sukcesie. Martwię się trochę o niego, bo nie jestem pewien, czy już całkowicie wydobrzał, Japlanie. czy już jesteś zupełnie zdrow? — zwrócił się do swojego oficera.

— Och, tak — mruknął zapytany, jednak wyraz jego twarzy świadczył niezbicie, że nie jest to odpowiedź szczerą. Moje wojskowe przygotowanie nie zawierało ani elementów retoryki, ani walki na słowa. Nie nauczyłem się także rozmawiać słodkim głosem z człowiekiem, którego z głębi serca nienawidziłem. Dlatego też odezwałem się do Kepty jedynie na tyle uprzejmie, na ile odezwać się nakazywało dobre wychowanie.

— Jesteś zbyt łaskaw dla mnie. Lordzie — powiedziałem. — Jednak zapamiętam twe słowa. Słowa pochwały z ust Lorda Kepty to zawsze cenna nagroda.

Jego powieki uniosły się odrobinę wyżej, a na ustach pojawił się szeroki uśmiech.

— Widzę, że jesteś nie tylko dobrym żołnierzem, ale też miłym rozmówcą. Lordzie Garan — stwierdził. — Nie marnowałeś czasu, spędzonego na dworze, Masz już prawdziwie dworskie maniery, gratuluję.

Człowiek z mojej kasty poczułby już za to szyderstwo moją pięść na swojej szczęce. Z uwagi na pozycję Kepty musiałem jednak zdusić w sobie wściekłość. Dobrze o tym wiedział. Nigdy wszakże do tej pory nie ośmielił się drwić ze mnie tak otwarcie. Zacząłem zastanawiać się, dlaczego wybrał sobie na te drwiny właśnie dzisiejszy dzień.

Mimo że napięły się we mnie wszystkie mięśnie, z trudem zapanowałem jakoś nad sobą. Któregoś dnia jednak, niech bóg On będzie moim świadkiem, zrewanżuję się Kecipie za wszystkie jego zniewagi!

— Dziękuję ci. Lordzie — odparłem chłodnym, ledwie formalnie poprawnym tonem.

Kepta zebrał rozwiane poły swojego płaszcza i obrócił się na pięcie w kierunku Jalana. Oczekałem jeszcze chwilę, pozwalając, aby obaj przodem ruszyli do pałacu, a potem udałem się za nimi.

Zanim to uczyniłem, z zainteresowaniem obejrzałem jeszcze latacz należący do Kepty. Latające maszyny były moim życiem, nic więc dziwnego, że każdy nowy model wzbudzał moją ciekawość. Mimo że nie odważyłem się zbyt otwarcie i zbyt długo okazywać zainteresowania, bez trudu odgadłem, iż nie spotykane dotąd kształty pojazdu, a szczególnie zewnętrzny wygląd silników, są efektem nowych rozwiązań konstrukcyjnych, zupełnie innych niż te, które spotykano dotąd w najnowocześniejszych nawet maszynach.

Najwyraźniej konstruktorzy z dalekiego Koom wynaleźli jakąś nową, nie znaną jeszcze w Yu–Lac formę napędu, czego efektem są silniki o wiele mniejsze i pozwalające lataczom rozwijać znacznie większą prędkość niż do tej pory. Niechętnie odszedłem od latacza, zdawałem sobie jednak sprawę, że Kepta gotów jest oskarżyć mnie o jakieś niecne zamiary, jeżeli pozostanę przy nim zbyt długo. Oddalając się od niego postanowiłem jednak w duchu, że za wszelką cenę zbadam jego sekret. Nie miałem pojęcia, kiedy jego właściciel odleci z Yu–Lac, ale przyjąłem, że czasu nie mam zbyt dużo.

Wkrótce wstąpiłem na szeroki stopień i w tym samym momencie znalazłem się na zielono–bursztynowej posadzce pasażu, prowadzącego do Sali Dziewięciu Książąt. Wysokie miedziane kolumny podtrzymywały dach, po bokach jednak pasaż był otwarty i między kolumnami w najlepsze hulał wiatr. Po niedługiej wędrówce ujrzałem z lewej strony schody z

zielonego kamienia, prowadzące do pierwszego spośród cudownych ogrodów, które czyniły rozległą cytadelę miejscem tak pięknym, jakby pochodziło z jakiejś fantastycznej bajki.

Dookoła nie widziałem żywej duszy, poza samotnymi strażnikami. Niczym nie uzasadniona nadzieja kazała mi spodziewać się, że w każdej chwili mogę ujrzeć Thralę spacerującą po ogrodowych alejkach albo przepływającą w małej łódce po jednym z licznych kanałów o kryształowo czystej wodzie. Niestety, dookoła było pusto i nie zanosilo się na to, że moja nadzieja się spełni.

Kiedy znalazłem się w Sali Dziewięciu Książąt, znajdowało się tam już mnóstwo ludzi. Sala ta była jedną z mniejszych izb pałacowych, służących do zgromadzeń i audiencji. Przez jej środek biegł długi, masywny stół, wykonany z jednej kłody drewna; stół ten był wielkim osiągnięciem uczonych z laboratoriów cesarskich. Gdy stolarze wykroili jego kształt, drewno hartowano tak długo, dopóki nie stało się twarde niczym najstarsze skały z Morza Imuriańskiego. Dokładnie w połowie długości stołu, umieszczone tak, że spoczywająca na nim osoba mogła przez cały czas obserwować wejście do sali, znajdowało się krzesło z identycznie hartowanego drewna. Po obu stronach krzesła ustawiono ławy bez oparcí.

Dzięki swej pozycji byłem dobrze znany Cesarzowi i członkom jego wszechpotężnej rady. Większą jej część stanowili sprawiedliwi chociaż surowi mężczyźni, wymagający od wszystkich obywateli, znajdujących się pod ich władzą, poświęcenia i lojalności wobec państwa. Przekonani, że ja właśnie reprezentuję takie cechy, darzyli mnie bezgranicznym niemal zaufaniem, z rzadka tylko żądając raportów i szczegółowych informacji na jakiś temat. Również w przeszłości, zanim jeszcze objąłem swe eksponowane stanowisko, cieszyłem się ciepłą zyczliwością tych ludzi, chociaż pozycja w państwie nie pozwalała im na zbyt wylewne jej okazywanie.

Znalazszy się w Sali Dziewięciu Książąt prawie natychmiast wyczułem, że ich postawa wobec mnie jest zupełnie inna niż do tej pory. Długie lata służby w armii wyrobiły we mnie szósty zmysł, ostrzegający o niebezpieczeństwie: zmysł właściwy ludziom, którzy funkcjonują w niemal nieustannym zagrożeniu. Odruchowo spiąłem się w sobie, a wzdłuż kręgosłupa przebiegł mi zimny, nieprzyjemny dreszcz.

Zdałem sobie sprawę, że sytuacja jest poważna, nie miałem natomiast pojęcia, co jest przyczyną wrogości, którą demonstrowali wobec mnie zgromadzeni notable. Niewątpliwie wydarzyło się coś dla mnie niekorzystnego, coś, o czym nie miałem jeszcze pojęcia. Moja dłoń, podobnie jak dzisiejszego poranka, odruchowo dotknęła rękojeści miecza. Zrozumiałem, że znajduję się w poważnych tarapatkach.

— Marszałek Floty Powietrznej pozdrawia Lorda nad wszystkimi Lordami. Władcę Powietrza i Pięciu Mórz. ukochanego przez boga On... — rozpocząłem formułkę powitania.

— Dosyć! — Cesarz przerwał mi gwałtownie. — Usiądź, Lordzie Garanie. O, tam — wskazał mi drewniany taboret, ustawiony w odległości sześciu kroków od miejsca, w którym się zatrzymałem. Wykonałem polecenie i nagle stwierdziłem, iż w gardle mam tak sucho, że tylko z trudem jestem w stanie poruszać językiem. Bałem się!

— Zawiadujesz systemem tajnych informacji, prawda? — zapytał.

— Tak, o Wielki. Jest to częścią moich obowiązków.

— A czy to także należy do twoich obowiązków? — Stojącemu za nim oficerowi wręczył dwie metalowe tablice. Mężczyzna obszedł długi stół i zatrzymał się przede mną, wyciągając przed siebie otrzymane przed chwilą tablice, tak bym mógł się im dobrze przyjrzeć.

Na gładkiej powierzchni wyryte były rysunki i formuły kompletnie dla mnie obce. Zaskoczony, skierowałem spojrzenie na zimną maskę, jaką była teraz twarz Cesarza.

— Po raz pierwszy to widzę, Panie. I nie rozumiem znaczenia tego, co znajduje się na tych tablicach.

— Znalaziono je pomiędzy dokumentami twojego biura wywiadowczego — powiedział Cesarz.

— Powtarzam, Panie, widzę to po raz pierwszy w życiu — stwierdziłem stanowczo.

W tym momencie zareagował na moje słowa Malkus Throt, wysoki, kościsty mężczyzna, całkowicie wyzuty z wszelkich ludzkich uczuć. Ta karykatura człowieka roześmiała się złowieszczo na cały głos; niewątpliwie zamierzał mnie przestraszyć.

— Czyżbyście oto stawiali Marszałka Floty przed sądem za niewywiązywanie się z obowiązków, o Wielki? Błagam was, wyjaśnijcie dokładnie, o co oskarżacie swego sługę?

Słyszając moje słowa Cesarz zmarszczył czoło.

— Złożono skargę przeciwko tobie. Uczynili to ludzie z Koom...

Koom! Sam dźwięk tego słowa sprawił, że wszystko we mnie zapłonęło. A więc miałem rację, przypuszczając, że nieoczekiwane przybycie Kepty nie jest przypadkowe!

— Inwigilowano prywatne życie Lorda Kepty...

Zamarłem. Jeżeli o to chodziło, nie miałem czystego sumienia. Już od dawna starałem się dotrzeć do najrozmaitszych tajemnic Kepty. Tak, tego przestępstwa byłem winien.

— A teraz, tak jak to Lord Kepta przewidział i nam podpowiedział, znalaziono to — ruchem ręki Cesarz wskazał na tablice — wśród twoich dokumentów. — Jego twarz wykrzywiła się w grymasie niechęci.

— O Wielki, o, Lordowie, mogę jedynie powtórzyć, że tablice, które mi pokazujecie, widzę po raz pierwszy w życiu. Nie mam pojęcia, w jaki sposób znalazły się między dokumentami biura wywiadowczego Floty. Obiecuję jednak — zakończyłem drżącym głosem — że nie spocznę, dopóki nie wyjaśnię tej dziwnej zagadki.

Malkus znów zarżał złowieszczo. Jego śmiech odbił się echem wśród kamiennych ścian.

— Oto obraz urażonej cnoty — wysyczał przez zęby. Spojrzałem mu prosto w oczy.

— Czyżbyś drwił ze mnie, Panie? — zapytałem. Wzruszył ramionami, lecz zamilkł. Powstałem. Gwałtownym ruchem zerwałem z siebie pas z mieczem.

— Skoro, o Wielki, wygląda na to, iż nie jestem już godzien twego zaufania, zwracam na twoje ręce symbol mojego urzędu. Jestem jedynie prostym żołnierzem i takim do końca życia pozostanę. Mało wiem o polityce, jednak jest dla mnie jasne, że z nieznaney mi przyczyny jestem potrzebny komuś jako kozioł ofiarny. Jeżeli w tej roli będę w stanie przyczynić się do pomyślności mojego kraju, jestem gotów ją odegrać.

— Panowie, tylko niewielu mężów w Yu–Lac potrafiłoby w dzisiejszych czasach tak szlachetnie się zachować. — Przez Salę przetoczył się czyjś dźwięczny, stanowczy głos. Odwróciłem się.

W drzwiach stał mężczyzna w moim wieku. Jego ubiór nie pozostawiał wątpliwości, że jest członkiem kasty Oświeconych. A jednak nawet pośród Wielkich znałem zaledwie trzy osoby, których głos i postawa emanowały podobnym spokojem i pewnością siebie. Była to Thrala, sam Cesarz i... Kepta. Nie potrafiłem więc odgadnąć, kim jest nowo przybyły, jednak instynkt podpowiedział mi, że jest on osobą cieszącą się wśród zgromadzonych szacunkiem i poważaniem.

— Pozdrawiam cię, Thranie. — Cesarz wstał.

— I ja cię pozdrawiam, Panie. Witam was wszystkich, szlachetni zgromadzeni.

Swobodnym krokiem przybysz przeszedł przez komnatę i stanął obok mnie.

— A teraz powiedzcie mi, co się tutaj dzieje? Dlaczego ten szlachetny żołnierz chce wam oddać swój miecz? Jakież to ciężki zarzut postawiono Garanowi z Yu–Lac?

— Przed chwilą — powiedziałem gorzko — zadałem to samo pytanie. Lordzie.

Na krótki moment jego spojrzenie spotkało się z moim i poczułem, jak przez moje ciało przepływa łagodna fala ciepła.

— Obserwowałem cię. Lordzie Garanie. Znam ciebie i pragnę z pełną odpowiedzialnością powiedzieć, tutaj, wobec rady i samego Cesarza, że nie znam w Yu–Lac

żadnego mężczyzny, któremu byłbym skłonny zaufać bardziej niż tobie. Mówię to ja. Thran Gorl.

Cesarz uśmiechnął się, a jego oblicze złagodniało.

— Zatrzymaj swój miecz. Lordzie. Nie udowodniliśmy ci, że źle wykonujesz swe obowiązki. Jednak dla własnego dobra wyjaśnij tę sprawę.

Zupełnie zaskoczony tym wszystkim, co się wydarzyło, zapiałem pas z mieczem i padłem na kolana, aby pokłonić się przed radą.

— Czy pozwalasz mi odejść, o Wielki? — zapytałem.

Cesarz skinął głową. Odwróciłem się i ruszyłem do wyjścia, lecz przez cały czas, gdy szedłem do drzwi, czułem na swoich plecach spojrzenie Thrana. Gdy wreszcie wyszedłem z Sali, odetchnąłem z ulgą. Toczyła się tutaj jakaś gra, której absolutnie nie rozumiałem. Nie miałem jednak najmniejszej wątpliwości, że jestem elementem tej gry.

Wciąż zastanawiając się nad znaczeniem sceny, która rozegrała się w Sali Dziewięciu Książąt, skręciłem do ogrodów, zamiast udać się prosto do mojego latacza.

Zdawałem sobie sprawę, że powinienem natychmiast znaleźć osobę lub osoby odpowiedzialne za to, że wśród moich dokumentów znalazły się również dokumenty z Koom. Muszę natychmiast wprawić w ruch moją tajną maszynę obserwacji i dedukcji.

A jednak przekonany byłem, że niesprawiedliwe oskarżenie wywołane było działaniem kogoś, kto chciał zdyskredytować mnie w oczach rady, pozbawić mnie mojej pozycji.

Mogło to oznaczać tylko jedno: byłem w niebezpieczeństwie. Czy któryś z rosnących w potęgę ministrów, czy też Kepta z Koom, na myśl o którym gotowała mi się krew w żyłach, zgotowali mi tę niespodziankę? W ciągu minionego roku nakazywałem obserwację i ministrów, i Kepty. chcąc dotrzeć do sedna czegoś, co — byłem o tym przekonany — wszyscy oni starannie ukrywali.

Gdzieś w Krand znajdowało się centrum niepokoju, które było odpowiedzialne za każdą próbę rewolty, za wszystkie najcięższe przestępstwa, nawet za nie wyjaśnione dotąd wypadki powietrzne. Co do istnienia takiego ośrodka nie miałem wątpliwości. Potrzebowałem jednak dowodów pewniejszych niż moja niezachwiana wiara w to, że mam rację.

Zastanawiałem się, dlaczego Thran Gorl, którego w dniu dzisiejszym po raz pierwszy ujrzałem na oczy, pośpieszył mi z pomocą akurat w chwili, gdy była mi ona tak bardzo potrzebna. Do tej pory zdawało mi się, że znam wszystkich lordów z kasty Oświeconych, jednak Thrana spotkałem w Sali Dziewięciu Książąt po raz pierwszy. A przecież osoba o

takiej charyzmie i uprawnieniach powinna być szeroko znana. Gorl, wyspa, na której najwidoczniej mieszkał Thran. była skalistym fragmentem stałej ziemi, daleko na północy. Nie miała żadnego znaczenia strategicznego, a zamieszkiwali ją prawie wyłącznie rybacy. Kim więc był Thran Gorl?

Zatopiony w takich myślach zaszedłem w głąb ogrodu dalej, niż miałem zamiar. Niespodziewanie moim oczom ukazał się duży, starannie utrzymany trawnik, a na nim grupa kobiet, przyglądających się zabawnym igraszkom tych pociesznych, małych stworzeń, które nazywały się Ana. Chciałem natychmiast się wycofać, jednak któraś z kobiet dostrzegła mnie i zawołała:

— Och. Lordzie, zechciej nam pomóc! Jeden z Ana zniknął w gęstwinie i nie chce do nas powrócić. Wydobądź go stamtąd, gdyż bez pomocy ludzi zginie z głodu, biedne stworzenie!

Kobietą, która mnie zawołała, była Analia, młodsza siostra Anatana. tak jak i brat wychowana w szanowanej rodzinie znanego żołnierza. Usłyszawszy jej prośbę nie wahałem się długo: zrzuciłem płaszcz oraz hełm i bez namysłu zagłębiłem się w gęstwinie.

Odnalazłem Ana bez problemu i wkrótce z triumfem wynurzyłem się z krzaków. Miałem potargane włosy i kilka drobnych zadrapań na ramieniu. Analia była rozradowana. a ujrawszy moje skaleczenia, natychmiast pociągnęła mnie w stronę fontanny, postanawiając, że je przeemyje. Na moje nieśmiałe protesty nie zwracała uwagi.

W towarzystwie tych wesołych kobiet zapomniałem o swoich problemach. Tak naprawdę to nie miałem w życiu dzieciństwa ani beztrioskiej młodości, od samego początku wypełniały je duże i małe zmartwienia. Prawie że nie zaznałem chwili spokoju i radości. Dopiero teraz, w ciągu krótkiej godziny spędzonej w towarzystwie dam dworu, zrozumiałem, co to takiego wesoła młodość i zadowolenie. Godzina ta minęła bardzo szybko.

A jednak nie żałowałem, że minęła. Oto bowiem wśród liści wysmukłych paproci ujrzałem kobietę, która od tak dawna była obiektem moich marzeń...

Thrala, Oświecona Thrala, stała przed nami i uśmiechała się.

Moje serce zaczęło bić jak szalone, a ja zamarłem w bezruchu. Pragnąłem móc tak stać i patrzeć na nią bez końca, jednak natychmiast obstały ją damy dworu i na kilka chwil straciłem ją z pola widzenia. Jednak za moment znów ją ujrzałem. Niespodziewanie postąpiła kilka kroków w moim kierunku.

3. PAŁAC PRZYJEMNOŚCI W DZIELNICY SOTAN

— Pozdrawiam cię, Lordzie Garanie — powiedziała do mnie z uśmiechem.

— Pozdrawiam cię, o Kwiecie Yu-Lac. — Ująłem dłoń, którą ku mnie wyciągnęła, \ przyłożyłem ją do moich ust i czoła.

— Zanedbujesz nas, Lordzie. Czyżby obowiązki twojego urzędu były aż tak ogromne, że nie jesteś w stanie znaleźć czasu, by spędzić godzinę lub dwie w naszym towarzystwie?

Patrzyłem na nią z szeroko otwartymi ustami. Naprawdę, nawet w najgłębszych zakamarkach umysłu nie byłem w stanie znaleźć odpowiedzi na ten wysunięty żartobliwym tonem zarzut.

— Jestem zawsze do twoich usług, córko Cesarza — wykrztusiłem wreszcie.

— Cieszę się — odrzekła. — Poprowadź mnie więc do Błękitnego Stawu, mój Lordzie. Uraduje mnie twoje towarzystwo. Moje drogie — zwróciła się do swej świty — pozostanie tutaj.

Ruszyliśmy, tylko we dwoje, lecz to nie ja prowadziłem, ale Thrala. Zamiast do Błękitnego Stawu, udaliśmy się w gęściejsze partie ogrodu i wkrótce natrafiliśmy na starannie ukrytą przed wzrokiem ciekawskich kamienną ławeczkę.

— Usiądź. Garanie. Mam ci wiele do powiedzenia i bardzo mało czasu. Najpierw jednak pozwól, niech ci się przyjrzę. Ile to czasu minęło? Trzy lata. Prawda? Mogłabym nawet wymienić liczbę dni. Dlaczego nie urodziłeś się...? Ale dość tego. Unikałeś mnie. Garanie.

— Tylko dlatego... — zaciąłem gwałtownie, ale jej dłoń powędrowała do moich ust, nakazując im. aby milczały.

— Dość, Garanie, dość! Musimy porozmawiać o czymś innym. Zdaje się, że ostatnio zbyt łatwo ryzykujesz życiem, zadajesz natarczywe pytania niewłaściwym ludziom. Czego się dowiedziałeś?

Wzruszyłem ramionami:

— Prawie niczego. Na końcu każdej ścieżki, którą podążam, ustawiona jest czarna, nieprzenikniona bariera.

Pokiwała głową.

— Och, oni są sprytni, bardzo sprytni. Musisz uważać na siebie, Garanie. Kroczysz po zardzewiałym moście; most w każdej chwili może się załamać i runiesz w otchłań. Od dzisiaj jednak nie jesteś sam. Czy poznałeś już Thrana Gorla?

— Godzinę temu ujrzałem go po raz pierwszy w życiu.

— Thran, tak jak ty, ma uszy i oczy szeroko otwarte i często spostrzega rzeczy, które nie są przeznaczone dla niego. Dwukrotnie jego ścieżki skrzyżowały się z twoimi i dzięki temu zrozumiał, że nie jest jedynym, który obawia się przyszłości. Bo powinienesz zdawać sobie sprawę, Garanie, że nikt z nas nie jest dzieckiem, poszukującym rozrywki. Próbujemy przygotować się na nadciągającą burzę...

— A więc wiecie, co się wokół nas dzieje? — zapytałem pośpiesznie.

— Jeszcze dokładnie nie. W ubiegłym tygodniu otwarto w dzielnicy Sotan nowy pałac przyjemności.

Zmarszczyłem czoło, zdziwiony tą nagłą zmianą tematu.

— Nie rozumiem.

— Dobrze byłoby, gdybyś odwiedził ten pałac. Garanie.

— Ale... — chciałem gwałtownie zaprotestować.

— Och, powszechnie wiadomo, że nie bywasz w takich przybytkach, ale daj mi się namówić. Idź tam dzisiejszego wieczoru. Więcej ci nie mogę powiedzieć — Tylko... bądź bardzo ostrożny. Garanie. A teraz idź już, zniknij, zanim te kobiety zaczną mnie szukać. Trzy lata, Garanie...

Posłusznie odszedłem. Nie ośmieliłem się spojrzeć za siebie.

Zdezorientowany wydarzeniami ostatniej godziny, z trudem odnalazłem drogę do mojego latacza. Czarna maszyna z Koom wciąż stała obok niego, tym razem jednak poświęciłem jej zaledwie krótkie spojrzenie. Moje myśli wciąż wracały do Thrali i do jej ostatnich słów: trzy lata...

Jeszcze się całkiem nie opanowałem, gdy mój latacz lądował niedaleko wieży obronnej. Kołując, ujrzałem chłopcą sylwetkę Anatana, biegnącego co sił w moim kierunku. I nagle przypomniałem sobie obietnicę, którą dałem mu tego ranka. To, co jeszcze przed kilkoma godzinami wydawało się niemożliwe, stało się rzeczywistością.

— Przybył Zacat z Ru, mój Panie — wykrzyknął Anatan, znalazłszy się przy mnie. — Czeka w pokoju przyjęć.

— Zaprowadź go natychmiast do mojego osobistego apartamentu — poleciłem.

Ru była kolonią Yu-Lac, wysuniętą najbardziej na północ w łańcuchu odległych terytoriów. Przez trzy miesiące w roku szalały tam wichury o nieprawdopodobnej wprost sile.

Jednak skaliste góry, pokrywające niemal całą powierzchnię Ru. pełne były cennych minerałów, dlatego trzymaliśmy kolonię w żelaznym uścisku. Na jej bezkresnych dzikich obszarach wybudowaliśmy wiele ufortyfikowanych posterunków wojskowych.

Zacat był oficerem starej szkoły i swoją władzę nad kolonią i jej mieszkańcami sprawował żelazną, lecz sprawiedliwą ręką. Ufałem mu bardziej niż któremukolwiek z pozostałych podległych mi oficerów. Skoro przybył do Yu–Lac bez zapowiedzi, z pewnością musiał mieć ku temu ważny powód. Gdy śpieszyłem do mieszkania, aby go powitać, na moim czole pojawiły się krople zimnego potu.

— Witaj, Panie. — Zac wyprężył się w postawie, w jakiej należało oddawać honory przełożonemu.

— Witaj, Zac. Cieszę się, że cię widzę. Co cię tu jednak sprowadza, tak niespodziewanie, z dalekiej północy?

— Kłopoty. Garanie — odparł. Przez chwilę przyglądał mi się z uwagą, a potem z widoczną ulgą głęboko odetchnął. — Cieszę się, że widzę cię w dobrym zdrowiu. Widzę też, że nie stałeś się tutaj mieszcuchem. Nie ma u ciebie ani grama zbędnego tłuszczu, nie drży ci ręka. wzrok masz pewny i stanowczy. A więc wciąż ten sam Garan, z którym w dawnych dobrych czasach zdobywaliśmy Ulal.

— I ty się nie zmieniłeś, stary żołnierzu. A ja... o niczym tak nie marzę, jak o otwartej walce. Cała ta polityka, która mnie otacza... Ale co się dzieje w Ru?

— Nic takiego, z czym nie dałbym sobie szybko rady, możesz być pewien — powiedział z naciskiem. — Jednak niepokoją mnie trochę nieustanne szepty między żołnierzami, ich dziwne zachowanie, niepewność w postępowaniu, a także plotki, powtarzane na ucho, plotki zupełnie pozbawione podstaw, zupełnie bezsensowne. Nie potrafię wyśledzić źródeł tego wszystkiego. Powiem ci szczerze, Garanie, jako dowódca jestem w Ru zupełnie osamotniony, znikąd nie mogę spodziewać się poparcia.

— Czy potrzebujesz pomocy? — zapytałem. Potrząsnął przecząco głową:

— Przecież mnie znasz, prawda? Czy kiedykolwiek przybiegałem z płaczem do przełożonych? Nie, nie potrzebuję pomocy w jej materialnym sensie. Jednak czasami dwie głowy potrafią przemyśleć problem o wiele lepiej niż jedna. Pragnę szczerze porozmawiać z jedynym człowiekiem w Cesarstwie, któremu ufam. Mam kłopoty w Ru i nie potrafię zlokalizować ich źródła. Po raz pierwszy...

— Nie ty jeden cierpisz — przerwałem mu.

— Co masz na myśli?

— Oprócz ciebie podobne problemy ma Anatan z Hol i jeszcze ktoś... — pomyślałem o mojej rozmowie w ogrodzie. — Ja też zaczynam odczuwać pustkę wokół siebie. Dzisiejszego ranka Cesarz zakwestionował moją lojalność.

— Co? — zawołał Zacat z niedowierzaniem

— Tak, to prawda. A wszystko przez to, że tak jak ty, staram się dotrzeć do źródła intryg, które coraz gęstszą siecią oplatają Krand. Ja też odnoszę wrażenie, że walczę z cieniami, Zacacie.

— A więc... — Zacat opadł na fotel — tak się sprawy mają. Wygląda na to, że znów będziemy mieli swój Ulal, ale teraz musimy walczyć głowami, a nie pięściami. Porozmawiajmy więc spokojnie i wymieńmy informacje o tych dziwnych sprawach, które dostrzegliśmy od czasu, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni.

— Powiedz mi najpierw o Ru — poprosiłem. Zmarszczył czoło.

— Trudno ująć w słowa uczucia, które ogarniają mnie, kiedy krążę od posterunku do posterunku. Na pozór wszystko jest w porządku. Kraj jest spokojny, nie ma żadnych waśni między ludźmi ani klęsk żywiołowych. A jednak mam wrażenie, że przez cały czas chodzę po moście, którego filary nadpiłowano. Prześladowuje mnie myśl, że rozwiązanie zagadki leży w zasięgu mojej ręki i już dawno bym je odszukał, gdybym był dość sprytny.

— W zeszłym miesiącu — ciągnął — wydobycie w kopalniach Sapit było o dziesięć procent niższe, niż powinno być. Inżynierowie pośpieszyli do mnie z wyjaśnieniami tego stanu rzeczy, jednak ich słowa były dla mnie zbyt fachowe i skomplikowane. Nawet nie byłem w stanie zadawać im pytań. W ciągu ostatnich trzech miesięcy odnotowaliśmy kilkaset samobójstw. Nowi rekruci są w fatalnej kondycji, zarówno fizycznej, jak i psychicznej. Gwałtownie pogarsza się morale armii. Niedaleko Centralnego Fortu znaleźliśmy zwłoki trzech żołnierzy i do dziś me jesteśmy w stanie dociec, co było przyczyną ich śmierci. Na niebie pojawiają się błyski niewiadomego pochodzenia. Ludzie gór zaczęli praktykować zupełnie nowe, nieznanne nam dotąd obrzędy, pojawiła się nowa religia. Jest jeszcze wiele innych drobnych, lecz tajemniczych zagadek, które zestawione razem sprawiają, że ciarki mi przechodzą po krzyżu.

— Czy masz jakieś podejrzenia?

Wzruszył ramionami i odpowiedział ostrożnie:

— Pewien mężczyzna z Koom odbył podróż przez góry.

— Koom! Zawsze Koom! — Ze złością uderzyłem pięścią w poręcz fotela.

— Tak, zawsze Koom — powtórzył za mną Zacat jak echo. — A ty co zaobserwowałeś nadzwyczajnego?

— Bunt głodowy w prowincji Kut. spowodowane niespodziewanie słabymi zbiorami. Dziwna sprawa: deszczu padało dość, ziemia w Kut jest najlepsza w całym Cesarstwie, a jednak tego roku pola jakby się zbuntowały. Oświeceni nie potrafią tego wyjaśnić, przynajmniej mnie. Poza tym pojawiło się nowe wyznanie, kult Wędrującej Gwiazdy czy jakiś podobny nonsens. Musiałem ukarać czterech żołnierzy za uczestnictwo w jego obrzędach, a potem stłumić w zarodku bunt ich kolegów, którzy uważali to za niesprawiedliwe. Ktoś przemyca alkohol do baraków. Niedawno nakryłem też żołnierzy wdychających dym. powstający przy spalaniu jakichś nieznanymi mi liści. Wiesz, do jakich to wszystko prowadzi konkluzji? — Gdy Zacat pokiwał głową, ciągnąłem dalej: — Tak jak i ty, bacznie przyglądam się Koom. W ciągu ostatnich miesięcy przedsięwziąłem pewne kroki, które utrzymuję w najgłębszym sekrecie.

— A ich rezultaty? — zapytał Zacat niecierpliwie

— Są żadne, absolutnie żadne. A przecież nasi ludzie nie są kompletnymi głupcami.

— Może grają na dwa fronty? — rzucił przypuszczenie.

— Być może. Ale co mogę robić? Nie dalej jak przed godziną sam Cesarz udzielił mi ostrzeżenia. Znalaziono tajne dokumenty z Koom wśród moich notatek. Cesarz rozkazał mi, abym doprowadził do niego człowieka, który je tam podłożył, albo żebym przyjął winę na siebie.

Wyjaśniłem Zacatowi, co wydarzyło się w Sali Dziewięciu Książąt.

— Co wiesz o tym Thranie? — zapytałem go na zakończenie.

Potrząsnął głową:

— Nic. Gorl, którym włada Thran, nie ma żadnego znaczenia strategicznego, to zaledwie kilka osad rybackich na wyspach wysuniętych daleko w morze. Oświeceni rzadko tam zaglądną. Władca Gorl interesuje się jednak twoimi sprawami nie bez przyczyny. Zapamiętam go sobie. Poza tym co robi tutaj Kepta? Zwykle przybywał do Yu-Lac bez entuzjazmu.

— Kiedy wracasz do Ru? — zapytałem Zacata nagle.

— Jutro, wcześniej rano — odparł. W jego głosie brzmiało zdziwienie. — Dlaczego pytasz?

Uśmiechnąłem się:

— A więc dziś wieczorem będziesz mógł zabawić się jak każdy żołnierz na przepustce.

— Nie rozumiem...

— Po prostu razem odwiedzimy nowo powstały pałac przyjemności, w dzielnicy Soltan.

Popatrzył na mnie z pewnym niesmakiem.

— Nigdy nie przypuszczałem, że Garan. Marszałek Floty Powietrznej, zechce składać wizyty w takich miejscach... — zaczął, jednak przerwałem mu:

— Mamy tam do spełnienia ważną misję. Mam powody, aby przypuszczać, że bystry obserwator będzie w stanie zauważyć tam coś bardzo interesującego. Powinieneś znać mnie na tyle, żeby nie wątpić, iż mówię zupełnie poważnie, Zacacie. Czy pójdziesz tam ze mną?

— Chętnie. W końcu — pozwolił sobie na dowcip — nie mam nic przeciwko temu, żeby odwiedzić pałac przyjemności na cudzy koszt.

— Doskonale, a więc idziemy. A teraz czy zechcesz przeprowadzić razem ze mną popołudniową inspekcję wojska?

— Jasne. Odpowiada mi to bardziej niż wizyty w stu pałacach przyjemności.

Tak więc z Anatanem i Zacatem, postępującymi krok w krok za mną, dokonałem codziennego rutynowego przeglądu. W jego trakcie zauważyłem rzeczy, które po wydarzeniach dzisiejszego ranka, musiały wzbudzić moje podejrzenia. Krótkie opóźnienia w wykonywaniu najprostszych rozkazów, ospałość, której nie potrafił zaradzić nawet najostrzejszy ton moich rozkazów, widoczna niechęć do mnie i nienawistne spojrzenia, które spostrzegałem nawet u najmłodszych żołnierzy, skłaniały mnie do wysunięcia oczywistego wniosku, że stoję oto w obliczu niebezpieczeństwa, buntu, którego przyczyny nie jestem w stanie dociec.

Wiedziałem, że Zacat również zorientował się w sytuacji. Po skończonym przeglądzie zasiedliśmy do kolacji w jadalni, jednak rozmowę zaczęliśmy dopiero po skończeniu posiłku.

— No i co o tym myślisz? — zapytałem go.

Potrząsnął głową:

— Trudno jest panować nad cieniami. Z tym, co zobaczyłem tutaj, mam do czynienia na co dzień, w Ru. Jakiejż rady mogę ci udzielić, skoro nie potrafię zaradzić podobnym zjawiskom w mojej własnej prowincji? Przysięgam jednak na miecz boga On, że będę trwał przy tobie do końca, niezależnie od tego, z jakim niebezpieczeństwem mamy do czynienia. A teraz chodźmy do tego pałacu przyjemności, o którym wspomniałeś: odnoszę wrażenie, że bardzo ci na tym zależy.

Przeszliśmy do mojej garderoby i wkrótce przebraliśmy się w lekkie, swobodne stroje, które powinny były ukryć naszą tożsamość. Anatanowi poleciłem, aby postąpił podobnie jak my. Spełnił to polecenia z taką ochotą, że gdy ponownie pojawił się pod moimi drzwiami,

oddychał ciężko, być może był to efekt pośpiechu, a być może ekscytacji tym, co wkrótce miało nastąpić.

— Pamiętaj — ostrzegłem go — że, po pierwsze, udajemy się tam służbowo, a po drugie, nikt nie powinien nas rozpoznać. Nie wolno ci odłączyć się od nas. a poza tym przez cały czas musisz trzymać język za zębami.

— Twoje słowo jest dla mnie rozkazem, Lordzie. Ostatni raz przejrzałem się w lustrze. Coś podpowiadało mi, że jeśli będę zwlekał z wymarszem do pałacu jeszcze choć godzinę, opuści mnie odwaga i pozostanę w domu.

— Chodźmy więc — zarządziłem.

Na lądowisku czekał już na nas prosty latacz, bez jakichkolwiek oznaczeń, które mogłyby zdradzić, do kogo należy. Szybko wspięliśmy się do kabiny. Anatan usiadł za sterami i sprawnie wystartował. Wiedział, że powinniśmy wylądować na publicznym lądowisku, położonym niedaleko pałacu.

Lot był bardzo krótki i po chwili Anatan posadził maszynę na betonie. Dyżurny ruchu wskazał nam miejsce postoju i przyjął opłatę postojową, którą wręczył mu Anatan. Zaczęliśmy i ja trzymaliśmy się z tyłu. Nie ściągaliśmy z głów hełmów, aby jak najdłużej zakrywać twarze.

Anatan wsunął pokwitowanie za szybę latacza i poszliśmy asfaltową aleją na ulicę. Tam, wciąż nie rozpoznani, pograżyliśmy się w tłumie. Yu-Lac zawsze ożywało po zapadnięciu zmroku. Życie stawało się wówczas głośniejsze i radośniejsze. mieszkańcy pograżali się w złudnej beztrosce.

— Na prawo — prowadził nas Anatan. Dosłownie zaniemówiłem, gdy ujrzałem z zewnątrz cel naszej wyprawy. Budynek pałacowy sprawiał wrażenie, jakby pochodził z pięknej bajki. Ściany, na których widniały płaskorzeźby zwierząt i kwiatów, miały kolor kremowego kryształu, przechodzącego w róż, tym głębszy, im bliżej było fundamentów.

Drzwi do tego przybytku były otwarte, jednak przed ciekawskimi, którzy chcieliby zaglądać do środka, strzegła wnętrza pałacu cienka, lśniąca kurtyna. Po dwunastu różowych stopniach, prowadzących do środka, snuli się strażnicy i lokaje, których przeróżne stroje świadczyły, że służą wielu panom, co najmniej dziesięciu najbogatszym i najzręczniejszym osobistościom z miasta. Reprezentowane były wszystkie kasty, z wyjątkiem wojskowych.

Drobna, ciemnoskóra niewolnica o roziskrzonych oczach dziewczyny z Teration wyszła na nasze spotkanie. Napotkawszy mój wzrok, leciutko uśmiechnęła się i powiedziała:

— A więc i ty zaszczycisz nas dzisiejszej nocy. Lordzie Garanie.

Prysnęła moja nadzieja, że swój pobyt tutaj zachowam w sekrecie.

— No cóż, kwiatuszku — odparłem. — Myślę, że i Marszałkowi Floty wolno czasami się dobrze zabawić.

Zareagowała dziwnym śmiechem. Po chwili powiedziała:

— Wasza przewodniczka czeka, Lordzie. Wejdźcie. Wraz z dwoma towarzyszami wszedłem do środka, wykorzystując wąski prześwit w kurtynie.

4. ILA I LANIA

Kwadratowy hol, w którym się znaleźliśmy, tonął w łagodnym, żółtym świetle. Czekala już na nas przewodniczka, dziewczyna pochodząca z nadmorskiej krainy Północnego Aholu, obszaru wiecznie pokrytego grubym lodem. Jej zgrabne ciało okryte było jedwabną szatą koloru bursztynu. Czerwonozłote włosy podkreślały aksamitną biel jej twarzy.

Gdy zbliżyliśmy się, padła przed nami na kolana i złożywszy przepisowy ukłon, powiedziała:

— Niech Lordowie zechcą udać się za mną. — Miała melodyjny, przyjemny dla ucha głos.

Zacat pociągnął mnie za rękę.

— Czy nie sądzisz, że oni są dla nas zbyt uprzejmi? — zapytał. — Czuję się, jakbyśmy dobrowolnie wkładali głowy do paszczy lwa.

Uspokoilem go, dotknąwszy jego ramienia. Ja też jednak czułem się w tym miejscu niezbyt pewnie. Ale gdy dziewczyna odsunęła przed nami kolejną kurtynę, podążyłem za nią już bez wahania.

Pomieszczenie, w którym znaleźliśmy się po chwili, podobne było do złotego pucharu. Było owalne i miało dwanaście wyjść o łukowatym sklepieniu, identycznych z tym, przez które my dostaliśmy się do środka. Każde z nich zasłonięte było jaskrawą, kolorową zasłoną. Wszystkie ściany zbiegały się w jednym punkcie, wysoko nad naszymi głowami.

Na środku tej sali znajdowały się szerokie schody, biegnące w dół, wyłożone drogocennymi dywanami. Kiedy po nich zeszliśmy ujrzeliśmy istoty, do których właściwie tutaj przyszliśmy, piękności tego pałacu.

Zaiste, były to prześliczne dziewczyny. Nigdy dotąd nie przyszło mi do głowy, że po ziemi Krand chodzą takie piękności. Wprost dech w piersiach zapierała egzotyczna uroda dziewczyny z Teriation, o brązowej skórze, albo biała jak śnieg skóra Aholianki o doskonałej figurze.

Usłyszałem, jak Anatan głęboko westchnął, a Zacat zaczął kaszlać z wrażenia.

— Czyżbyśmy trafili do raju? — zauważył sarkastycznie ten ostatni. — Teraz nie dziwię się, że do takich pałaców nie wolno wchodzić nikomu o randze niższej niż starszy oficer. Gdyby tu wpadło kilku moich żołnierzy z Ru...

— Wprost nie wierzę własnym oczom — przerwał mu Anatan. — Popatrzcie tylko panowie na tę dziewczynę w czerni. Czy widzieliście kiedykolwiek kogoś o tak cudownej urodzie?

Wskazał na dziewczynę z Lapid, prowincji, w której ludzie zamieszkują skalne groty. Miała długie, olśniewająco białe włosy, właściwe ludziom, którzy nigdy nie oglądają słońca. Od szyi po stopy spowita była w czarną szatę, jednak jej długie białe ramiona były nagie.

— Pozostaniecie z nami, moi Lordowie? A może zamierzacie udać się jeszcze głębiej? — zapytała miękko dziewczyna z Aholi.

— Pójdziemy głębiej — odparłem szybko, uprzedzając Anatana.

Zeszliśmy za nią po schodach do pomieszczenia, które posiadało tym razem dwadzieścia łukowatych wyjść, osłoniętych ciężkimi kurtynami. Anatan pociągnął mnie za rękaw i szepnął:

— Poproś ją. Panie, aby przedstawiła ci pierwszą damę tego pałacu. Tak zawsze postępuje się przy pierwszej wizycie.

Nie zastanawiając się wiele, skąd u Anatana wzięła się ta wiedza, postąpiłem w myśl jego instrukcji. Usłyszawszy me słowa Aholianka skinęła szybko głową i odsunęła przed nami złoto-srebrną kotarę. Idąc z wizytą do pierwszej damy, natknęliśmy się na wiele cudów. Pamiętam jeden z przejściowych pokojów, którego ściany wykonane były z przejrzystych kryształów. Za nimi w wielkich akwariach pływały najprzeróżniejsze i najdziwniejsze stworzenia, pochodzące z dalekich mórz. Ich niemal przezroczyste ciała i groźne szczęki lśniły w przytłumionym świetle. Inne pomieszczenia były równie piękne i równie zaskakujące.

Wreszcie po długiej wędrówce weszliśmy do małego pokoiku o białych ścianach i białej podłodze. Wypukły sufit był tu pomalowany na czarno; na jego tle błyszcząły gwiazdy z kryształu. Na szerokiej szkarłatnej sofie spoczywała osoba, która władała tym zadziwiającym przybytkiem.

Sądząc po jej stroju i jaskrawym makijażu, pochodziła z Arct. Była niezwykle chuda; pod jej srebrzystą suknią wyraźnie odcinały się nawet żebra. Zgodnie ze zwyczajem, panującym w jej kraju, purpurowy makijaż podkreślał jej oczy, wargi pomalowane miała pomarańczową szminką, a całą twarz pokrywał puder.

Miała wspaniałe, bardzo drugie czarne włosy. Gdy siedziała, opadały aż na poduszki kanapy, luźno, swobodnie; ich piękna nie zakłócały żadne spinki, wstążki ani inne ozdoby.

A jednak kiedy znalazłem się w tym pokoju, to nie pierwsza dama pałacu przyjemności sprawiła, że zamarłem w bezruchu, z otwartymi ustami, bezgranicznie

zdziwiony i zaskoczony. W osłupienie wprawił mnie mężczyzna, który siedział na podłodze u jej stóp. Był to Thran Gorl. Trzymał w niepewnych dłoniach dwa puchary z winem i jeden z nich, uśmiechając się złośliwie, wyciągnął w moim kierunku. Gdy nie zareagowałem na to, powstał.

— A więc kolejni twoi przyjaciele, Ilo? — powiedział. — Lecz cóż, nie wolno mi chyba narzekać, że nie tylko ja pragnę twojego towarzystwa, prawda? Czy jednak mogę pozostać jeszcze przez chwilę, czy też powinienem sobie stąd pójść?

Kobieta potrząsnęła głową i obdarzyła mnie i moich towarzyszy nieprzyjaznym spojrzeniem.

— Zostań, mój Lordzie. A jeśli chodzi o was, moi Lordowie, witam was po raz pierwszy w tym pałacu. Zechciejcie tylko szepnąć do ucha Lanii wasze życzenia, a natychmiast zostaną one spełnione. — Ruchem głowy wskazała na Aholiankę, chcąc nam dać w ten sposób do zrozumienia, że „audiencja” dobiegła końca.

Thran roześmiał się szyderczo i odezwał się. Pochylając się do mnie:

— Te progi są zbyt wysokie dla ciebie, żołnierzu. Idź, poszukaj sobie innych komnat do zabawy!

Coś lekko zaszeleściło przy sprzączce zegarka, który nosiłem na szyi, i wpadło między fałdy mojej szarfy.

Udając zmieszanego prostaka odwróciłem się na pięcie i wraz z moimi kompanami pozostawiłem Ilo i Thrana w samotności, której tak bardzo pragnęli.

Wyszędłszy z komnaty dotknąłem ramienia Anatana i wyszeptałem mu do ucha:

— Zajmij tę Lanię na kilka chwil.

Posłał mi szybkie spojrzenie, a potem przyspieszył kroku, aby zrównać się z Aholianką. Pogmerałem przez chwilę pod moją szarfą i wyciągnąłem owalny, srebrny paciorek, mniej więcej wielkości mojego kciuka. Krótkie sprawdzenie promieni jednej z lamp, oświetlających korytarz, wskazało, że fale świetlne niosą ze sobą drgania, uniemożliwiające działanie wszelkich urządzeń podsłuchowych. Byłem obeznany z takimi urządzeniami, pozwalającymi utrzymywać w sekrecie treść poufnych wiadomości. Jednym ruchem palca rozłupałem paciorek na pół i wydobyłem z niego zwiniętą karteczkę. Przeczytałem:

„W pokoju Gripponów. Za godzinę. Nie ufaj tutaj nikomu”.

W milczeniu podałem karteczkę Zacatowi. Przeczytał i uśmiechnął się:

— Wygląda, że na coś natrafiliśmy, Garanie, Na co, okaże się w pokoju Gripponów. A teraz musimy przez jakiś czas odgrywać role zwykłych hulaków. Twój Anatan z pewnością nam w tym pomoże.

Muszę powiedzieć, że poczułem się trochę niepewnie, kiedy ujrzałem ciemną czuprynę Anatana tuż obok złotowłosej głowy Aholianki. Było oczywiste, że w ciągu tych kilku minut, które zdołaliśmy spędzić tu do tej pory, oboje przypadli sobie nawzajem do gustu i już w najlepsze flirtują. Należało ostrzec chłopaka, żeby nie posuwał się zbyt daleko.

Przyśpieszyłem kroku i podszedłem do nich. Niezbyt uprzejmie złapałem Anatana za ramię i odezwałem się gburowato do Aholianki:

— Wolnego, panienko. Złożyliśmy kurtuazyjną wizytę twojej szefowej, teraz więc zajmij się całą naszą trójką. Zaprezentuj nam, co oferuje ten przybytek.

Anatan już chciał protestować, jednak kiedy ukradkiem podsunąłem mu przed oczy notatkę Thrana, natychmiast się uspokoił, skinął głową, dając znak, że zrozumiał.

— Czego sobie życzycie, moi Lordowie? — zapytała Lania posłusznie. — Czy napijecie się wina? Mamy doskonale wina: białe z Ru, czerwone z purpurowych strumieni Hol, złote z Koom i jeszcze wiele innych. Czy zechcecie obejrzeć nasze tancerki? W jednej z komnat złote dziewczęta z zakazanych świątyń Qur wykonują rytualne tańce ku czci starych bogów; nie zobaczycie już czegoś takiego w całym Yu–Lac. A może chcecie otrzymać partnerki na cały wieczór? Czy życzycie sobie dziewczynę z Teriatii, tak żywą jak wiatry, wiejące nieustannie w jej kraju? A może pragniecie Lapidianki o srebrnych włosach i cudownych ustach? A może potrzeba wam kobiety z Arct? Zapewniam, każda z nich potrafi spełnić wszelkie wasze marzenia.

— Chcemy popatrzeć na tancerki — wybrał szybko Zacat. Ucieszyłem się z tego, gdyż inna decyzja mogłaby sprawić, że mielibyśmy kłopoty z dotrzymaniem terminu, wyznaczonego przez Thrana.

Bez słowa Lania odwróciła się i wkrótce wprowadziła nas do korytarza, który po kilku krokach zaczął opadać stromo w dół. Idąc obok Zacata po raz pierwszy ujrzałem, jak po jego twarzy przemknął wyraz niepewności. Anatan był jakby zamyślony i szedł kilka kroków za nami. Pomyślałem, że po prostu obraził się na mnie za brutalne oderwanie go od dziewczyny. Dopiero potem zrozumiałem, że miał powody, aby z wahaniem przyjąć decyzję oglądania tancerek. Mimo, że Krand zjednoczone było w wierze w boga On, i stan taki trwał już od wieków, najbardziej prymitywne grupy narodowościowe naszego kraju, jak Qur czy Ru, wciąż oddawały hołd dawnym bogom w tajnych świątyniach. Ja sam niewiele wiedziałem o

tych sekretnych i zakazanych obrzędach; w gruncie rzeczy były one znane jedynie tym wąskim grupom ludzi, którzy je odprawiali. W Qur wciąż było ich najwięcej.

Ciszę przerwał głos piszczałki, tak wysoki, że uszy ludzkie tylko z trudem zdolne były rozróżnić poszczególne dźwięki. Po dźwiękach piszczałki przyszła kolej na niski, pulsujący głos, dudniący tak, jakby powietrze, ciężkie wagą minionych setek i tysięcy lat, pulsowało w takt jakiegoś nieludzkiego rytmu.

Zacat niespodziewanie zawahał się. Zmienił się rytm jego kroków, zaczął szurać stopami.

— Uważajcie, jesteśmy poddawani działaniu hipnotyzującego rytmu — mruknął. — Nie możemy temu ulec.

Nie przebrzmiały jeszcze słowa Zacata, gdy Anatan również zmienił krok. Niezgrabnie i ja zacząłem postępować tak jak oni. Biegąca w dół rampa zdawała się wprowadzać nas w podziemia samej Krand. Ściany były gładkie, jakby lekko lśniące, bez żadnych załamań. Światła, umieszczone w otworach sufitu, w miarę jak postępowaliśmy naprzód, zmieniały barwę; od koloru ciepłego złota, poprzez lodowaty błękit aż do dziwnej szarej mgły. Piszczałki i miarowe dudnienie wciąż jednak docierały do naszych uszu z takim samym natężeniem, próbując wymusić na nas równy, miarowy, identyczny u wszystkich krok. Wciąż udawało nam się tego unikać, gdyż co jakiś czas podskakiwaliśmy, szuraliśmy nogami, zmienialiśmy tempo pochodu. Tylko Lania szła bez wahania do przodu, nie obawiając się dźwięków, nie odwracając ku nam głowy.

Wreszcie znaleźliśmy się jakby w przedpokoju o szarych ścianach i szarej podłodze. Lania zawołała coś niespodziewanie wysokim głosem i natychmiast część ściany rozsunała się, odsłaniając ciemną wnękę.

— Środki ostrożności, które musimy podejmować — powiedziała, wskazując w stronę sekretnych drzwi. — Niektóre z naszych zachwycających miejsc nie są przeznaczone dla wszystkich oczu.

Po otwarciu drzwi dziwaczna muzyka zabrzmiała jeszcze głośniejsze. Jej dźwięki zdawały się tętnić własnym, niesamowitym życiem. Aholianka weszła do wnęki, a my wsunęliśmy się za nią. Zacat, umiejący zawsze przewidzieć przebieg wydarzeń, na wszelki wypadek wyciągnął z pochwy miecz, i gdy drzwi za nami zaczęły się zasuwać, wsunął go pomiędzy ich połówki, tak że pozostały nie domknięte.

Ogarnęła nas czerń, czerń tak gęsta, że odnieśliśmy wrażenie, iż spadła na nas niczym nieprzenikniony welon. Wyciągnąłem przed siebie dłoń i po chwili zacisnąłem palce na ramieniu Anatana. Zaraz też usłyszałem ciężki oddech Zacata po mojej prawej stronie.

— Czekaście i patrzcie, żołnierze. — W głosie Lanii zabrzmiała jakby drwina.

Dziwny rytm, niesamowita muzyka, stawały się coraz głośniejsze.

— Poruszajcie palcami i rękami tak, aby łamać ten rytm — wyszeptał Anatan. Poczułem, że wysuwa swe ramię z mojej dłoni. Posłusznie poddałem się jego sugestii.

I wówczas z ciemności przed nami wybiegł promień światła, pojedynczy promień, zielony z odcieniem szarości. Odniosłem wrażenie, że jest on groźną emanacją czegoś nikczemnego i od wieków martwego. Gdy obserwowaliśmy go, zafascynowani, zaczęły otaczać go skrzydlate sylwetki o złotym kolorze: przepływały przezeń, aż wreszcie dotknęły czarnej posadzki. Wykonana była z kamiennych bloków, które najprawdopodobniej wykuto w kamieniołomach, w czasach, kiedy na Krand rządziła Rasa Starszych, długo przedtem, zanim dotknęła jej ludzka stopa.

Wielkie złote skrzydła opadły i zniknęły, jakby nie były dłużej potrzebne ich właścicielkom. W tej samej chwili piętnaście złotych postaci rozpoczęło taniec. Dziki i piękny był to taniec, pełen starodawnych, złowieszczych symboli. Każda poza uwodzicielskiego zaproszenia, każdy mieniący się złotem krok zdawały się mieć na celu dotarcie do tych głębokich warstw umysłów obserwatorów, w których czaiło się ciemne dziedzictwo dzikich i złych przodków.

Gdy to zrozumiałem, natychmiast zacząłem z całych sił zwalczać myśli i namiętności, które przywoływały tancerki. A jednak ujrzałem oczyma duszy spływające krwią ulice Ulal, gdy je plądrowaliśmy, gdy pijani alkoholem i żądzą krwi niszczyliśmy miasto, które opierało się nam aż tak długo. Tego dnia byliśmy dzicy i...

W ciemności namacałem sylwetki obu moich towarzyszy.

— Chodźmy! Uciekajmy stąd! — zawołałem. Poczułem, że pod wpływem moich dłoni jakby obudzili się z letargu. Nagle, jakby na czyjś rozkaz, wszyscy trzej równocześnie odwróciliśmy się i zaczęliśmy uciekać od tych złotych tancerek i tej sieci zła, którą powoli nas już oplatały.

Wsunąwszy dłonie w szparę w drzwiach, otworzyliśmy je. Zacet zabrał swój miecz. Po chwili byliśmy już na rampie. Wyteżyliśmy wzrok w szarej mgle; serca biły nam jak szalone, jakbyśmy uczestniczyli w wyścigu, odbierającym nam wszystkie siły. Byliśmy mniej więcej w połowie drogi, gdy dołączyła do nas bursztynowa sylwetka.

— Tancerki są silne, żołnierze — usłyszeliśmy Lanię. Jej głos znów z nas drwił. — Zdaje się, że zbyt silne dla was.

Podszedłem do niej i na poły szczerze, a na poły odgrywając swoją rolę, powiedziałem:

— Mamy dość waszych złowieszczych, diabelskich obrzędów. Pragniemy ludzkich przyjemności, a nie tych, które dają nocne demony.

— Twe słowo jest dla mnie rozkazem, panie. Co powiedziałbyś na spokojną kolację w zacisznym pokoiku? Oczywiście w stosownym towarzystwie.

— To nam odpowiada! — zawołał Zacat, uprzedzając moją odpowiedź.

Nie wątpiłem, że Lania wie, w jaki sposób nas zadowolić. Wkrótce pewnym krokiem prowadziła nas przez labirynt krętych i krzyżujących się korytarzy. Minęło kilka minut, zanim dotarliśmy do małego, przytulnego pokoiku, utrzymanego w kolorze stalowego błękitu. Na suficie o kopulastym kształcie wymalowano tu cztery figury o ludzkich wymiarach. Były to szare, nie znane mi bestie, a z ich pysków zionął tajemniczy ogień.

Nie był konieczny niespodziewany uścisk Zacata na moim ramieniu, abym zorientował się, gdzie się znajdujemy. Staliśmy w pomieszczeniu, które Thran wyznaczył na miejsce naszego spotkania.

Pod jedną ze ścian ustawiona była niska otomana i Lania poprosiła, abyśmy na niej usiedli. Sama, jak oznajmiła, zamierzała wyjść, aby wydać polecenia, dotyczące obsłużenia nas. Wychodząc spojrzała mi głęboko w oczy.

— Czy ten pokój cię zadowala. Lordzie? — zapytała.

— Może być — odparłem krótko.

Ku mojemu bezgranicznemu zdziwieniu roześmiała się, odrzuciwszy głowę do tyłu. Dzięki temu ruchowi po raz pierwszy mogliśmy wyraźnie zobaczyć całą jej twarz, do tej pory szczelnie otoczoną gęstwiną splecionych włosów koloru miedzi. Anatan powstał na równe nogi i, równie zdumiony jak ja, wydał okrzyk:

— Analia!

— Tak, bracie. — Znow się roześmiała. Podeszła do ściany po naszej prawej stronie i odgarnęła zasłonę, którą dopiero w tej chwili zauważyliśmy. Naszym oczom ukazał się Thran. Był poważny, przystojny: znow ten sam Thran, którego poznałem dzisiaj w Sali Dziewięciu Książąt.

Prowadził za rękę Ilę, była jednak zupełnie odmieniona, Z trudem można było rozpoznać w niej osobę, którą widzieliśmy zaledwie przed godziną.

— Czy znasz mnie. Lordzie Garantie? — zapytała cicho.

Natychmiast padłem na kolana, wpatrując się z otwartymi ustami w jej piękną twarz. Była to bowiem moja Lady Thrala, przebrana w jaskrawe szaty, jakie noszą kobiety z Aret. Popatrzyła z uśmiechem na Thrana.

— Jesteśmy lepszymi aktorami, niż się spodziewaliśmy — powiedziała. — Tak, Garanie, nie jestem Iłą, którą widziałeś przed godziną. Ila i Lania są teraz... cóż, są gdzie indziej. To my zajęłyśmy ich miejsca. Prawdziwa Ila wygląda nieco inaczej...

— Co nikogo nie dziwi — zauważył Thran zgryźliwie — gdyż jest podwładną Kepty. No, a teraz przystąpmy do sprawy, która nas tu wszystkich sprowadziła. Czas płynie zadziwiająco szybko, gdy na świat spływa zagrożenie.

5. PORWANIE THRALI

— Czy to jest mądre prowadzić rozmowy w tym miejscu? — zapytał Zacet. — Ściany pałaców przyjemności znane są z tego, że posiadają więcej niż jedną parę uszu.

— Ale nie tutaj. Ten pokój jest bezpieczny. Ila i Kepta dopilnowali tego, gdyż służy on czasami ich celom — odpowiedział Thran. — Co się jednak stało, że Lord Ru jest aż tak podejrzliwy?

— Nic, co dałoby się przedstawić w prostych słowach.

— Nic, co dałoby się przedstawić w prostych słowach... Cóż, to samo można powiedzieć o każdym z nas. Lordzie Garanie, wiem że twoje podejrzenia wykluwają się już od dwóch lat. Nawet w odległym Gorl unosi się w powietrzu coś groźnego, lecz nieokreślonego. Wszyscy to czujemy, a przecież wszyscy nie możemy się mylić. — Zaczął mówić trochę głośniej. — Otóż miejsce, w którym właśnie się znajdujemy, zadaje kłam przypuszczeniom, że żyjemy w spokojnym świecie. Czy wiecie, kto stoi za Ilą, która w tym przybytku rozkoszy gotowa jest dostarczać wszelkich przyjemności, jakich potrafi zapragnąć ludzkie ciało? Kepta. Koomianin! Ten sam, który dzisiaj próbował skompromitować cię przed radą, Lordzie Garanie, a zarazem pozbyć się tego, który, w jego mniemaniu, zaczął podejrzewać zbyt wiele.

— Ta demonka nocy, Ila — ciągnął po chwili — jest współniczką Kepty, pomagającą mu realizować jego nieczne plany, a pałac przyjemności jest pułapką, w którą co rusz wpadają ci, których Kepta sobie upatrzył: Kanddon. Stal, Palkun i jeszcze wielu innych. Kim jednak jesteśmy my, którzy jeszcze nie oślepliśmy, którzy wciąż jeszcze patrzymy wystarczająco ostrym wzrokiem, aby unikać Kepty i jego poczynañ? My, nieliczna garstka przeciwko całemu światu! Dwadzieścia osób z mojej kasty. Lord Ru, ty i twój młody pomocnik. Na kogo jeszcze możemy liczyć?

— Szczerze mówiąc, na nikogo, oprócz tych, których wymieniłeś. Cała armię przeżera gangrena, której źródła nie potrafię wykryć. Moim zdaniem całe Yu-Lac zaczyna gnić, i nie mam pojęcia, dlaczego.

— Jeżeli słowo Yu-Lac zastąpisz słowem Krand, będziesz jeszcze bliżej prawdy. Kepta działa nadzwyczaj sprawnie. Dobrze, że nie zna swojej prawdziwej mocy, bo gdyby miał o niej pojęcie, już by nas nie było. Powiem wprost: Kepta poszukuje tego, co wszyscy znamy pod nazwą Mrocznej Wiedzy. I odniósł już w swych poszukiwaniach sporo sukcesów. Moce, które wyzwolił, mogłyby już teraz sprawić, że Krand stałaby się jego zabawką.

— My, Oświeceni, jesteśmy temu winni — przerwała mu Thrala. — Zbyt długo pozwalaliśmy mu na swobodną działalność, zainteresowani jedynie sobą. Gdybyśmy w porę zapragnęli zniszczyć Zewnętrzny Mrok, tak jak uczyniliśmy to już kiedyś, przed wielu laty. Zło, które wywołał Kepta, nie ujawniłoby się. Czy Seeleen, założyciel naszej rasy, zezwoliłby Kepcie na przeżycie chociaż jednej godziny, gdyby dowiedział się o jego praktykach?

— Zapominasz — w głosie Thrana brzmiał smutek — że Seeleen stał na czele zjednoczonego narodu. A my komu właściwie teraz przewodzimy? Jesteśmy sami, i sami musimy rzucić się w wir walki, walki, którą, być może, przegramy.

— A na czym ta walka miałaby polegać? — zapytał Zacat. — Czyżbyśmy mieli używać prostej siły? Wtedy Kepta wygra na pewno.

— Właśnie. Dlatego musimy penetrować jego siły podstępem. Zanim powstaną nasze własne plany, musimy poznać cel i miejsce jego ataku. Ktoś z nas musi dostać się do Koom.

— Niemożliwe — powiedziałem szorstko.

— Dlaczego?

— Czy myślisz, że już tego nie próbowałem? — zawołałem niezbyt grzecznie. Mimo że pochodził z wyższej kasty, dałem wyraz swemu gwałtownemu oburzeniu, nie zważając na dzielące nas różnice. Czyżby Thran spodziewał się, że zaniedbuję swoje obowiązki? — Trzy miesiące temu podjąłem taką próbę osobiście. Powróciłem z wyprawy wcale nie mądrzejszy. Wróciłem z tym — rozpiąłem płaszcz i pokazałem mu cienką siną szramę na szyi. — Przeznaczona mi była śmierć.

— Nie wiedziałem o tym — Thran spojrział na mnie uważnie.

— Do tej pory nikt o tym nie wiedział. Nie chwaliłem się niepowodzeniem.

— Ale problem pozostaje nie rozwiązany — zauważył Gorliańczyk.

Thrala potrząsnęła przecząco głową.

— Wręcz przeciwnie, jest rozwiązany — powiedziała.

— Nie rozumiem.

— To ja pojedę do Koom. Kepta nie będzie mnie podejrzewał, bo niby dlaczego? Czyż nie trzymałam się od dawna z daleka od wszelkich prac laboratoryjnych? Nie wykazywałam żadnego zainteresowania poszukiwaniem wiedzy, nawet mój ojciec uważa, że przynoszę wstyd kaście Oświeconych. Pojadę po prostu do Koom na przyjemną wycieczkę. Jego władca nie będzie mnie o nic podejrzewał.

— Nie! — Słowa z moich ust zaczęły wypływać tak szybko, jak szybki jest cios, zadany mieczem. — Nie możesz tego zrobić. Jeżeli moje podejrzania co do Koom są słuszne,

żaden śmiertelnik o czystym sercu nie może się tam znaleźć, a potem opuścić Koom nieskalany.

— A kimże jest Lord Garan, że wydaje mi kategoryczne rozkazy?

Właśnie w tej chwili, w tym momencie, pełnym napięcia, musiałem zdradzić swój najzazdrośniej strzeżony sekret.

— Najbardziej unizonym z twoich sług. Królewska Damo. A mimo to ośmielam się sprzeciwić ci się w tej sprawie.

— On ma rację — odezwał się Zacat. — Koom to nie jest miejsce dla kobiet.

Thran skinął głową, przyznając nam rację. Nie przekonaliśmy jednak Thrali. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, jakich powinniśmy użyć argumentów, aby zmienić jej decyzję, gdyż nagle spod kopuły nad naszymi głowami rozległy się odgłosy kurantów. Thran i Thrala zamarli w bezruchu, a potem nagle spojrzeli sobie w oczy roziskrzonym wzrokiem.

— To ostrzeżenie — powiedział Gorliańczyk. — Ktoś tutaj idzie. Musimy stąd zniknąć.

— Wewnętrznym korytarzem — zasugerowała Thrala.

— Pokaż im drogę. Thran.

Wstał i podszedł do kurtyny, zza której wyłonił się wraz z Thralą na początku naszego spotkania. Naga ściana rozsunęła się przed nim, ukazując wąską szparę, przez którą precyzyjnie przeszliśmy po kolei: Zacat, Anatan i ja.

— Teraz twoja kolej Thranie — szepnęła Thrala. — Pamiętaj, tylko głos kobiety może zamknąć to przejście.

Thran posłusznie dołączył do nas, jednak Lady Thrala nie poszła za nim. Ściana natomiast zbiegła się z trzaskiem i niespodziewanie znaleźliśmy się sami, zaskoczeni, w ciemności. Thrala pozostała po drugiej stronie. Thran zaczął rozpaczliwie walić w ścianę pięściami.

— Przecież to nie ma sensu! — wołał. — Ona nie potrafi udawać Ili aż tak dobrze, by oszukać kogokolwiek z przyjaciół tej kobiety!

W jednej chwili zrozumiałem intencje Thrali. Pozbywszy się nas, zamierzała stanąć twarzą w twarz z osobą, która zmierzała do komnaty, nieważne, kim ta osoba była. Dołączyłem do Thrana w gwałtownym ataku na ścianę.

Poczułem, jak czyjeś paznokcie wbijają mi się w plecy.

— Zostawcie! — To Analia krzyczała do mojego ucha. — Te drzwi rozsuwają się tylko na dźwięk głosu kobiety! Pozwólcie spróbować mnie!

Thran i ja wycofaliśmy się więc. W milczeniu słuchaliśmy jak wysokim, przenikliwym głosem Lanii Analia wypowiada jakąś formułkę.

Drzwi rozsunęły się odrobinę; wąska szpara wystarczyła zaledwie do tego, abyśmy mogli usłyszeć i zobaczyć, co dzieje się w izbie. Nie zdziwiłem się, gdy ujrzałem przystojną twarz Kepty, okraszoną ledwie widocznym szyderczym uśmiechem. Za nim jednak stał ktoś jeszcze. Thran ścisnął moje ramię.

— Ila!

Tak, to była Ila, Ila prawdziwa, Ila z czarno-białej izby, Ila o chudym ciele i wspaniałych włosach, o wymalowanej twarzy i groźnie brzmiącym głose. Przed nią dumnie wyprostowana, stała Thrala. A więc dwie Ile, ale jakże różne!

— ...niespodziewana przyjemność — ciągnął Kepta drwiąco. — Lady Ila jest zaszczycona faktem, iż znajdujesz przyjemność w noszeniu strojów, które ona osobiście upowszechniła w Yu-Lac. Obawiam się jednak, że muszę być niegrzeczny i zapytać cię, jaka jest przyczyna tego niespodziewanego spotkania. Rad byłbym...

Jego szydercze wywody przerwała Ila, gdyż zauważyła, że zasłona, zakrywająca sekretne drzwi, przez które przechodziliśmy, jest odciągnięta.

— Głupcze! — krzyknęła na Keptę. — Ona nie jest sama! Zabierz ją stąd!

Usłyszawszy te słowa, całym ciałem napałem na szczelinę w drzwiach. Rozsunęły się szerzej, dzięki czemu już po chwili gwałtownie wkroczyłem do izby, z mieczem w dłoni... Było już jednak za późno. Kepta bowiem błyskawicznie przyciągnął do siebie Thralę, jednocześnie popychając otomanę tak, że przeszkodziła mi w ataku.

Upadłem, głośno przeklinając, a po chwili wpadli na mnie Thran i Zacat. Kepta tymczasem pchnął Thralę w objęcia bezlitosnej Ili. Odszukałem wzrokiem Anatana. Przeszedł przez drzwi ostatni, co sprawiło przynajmniej, że nie upadł. Dzięki temu pierwszy ruszył w pogoń za Iłą, Keptą i porwaną przez nich Thralą. Natychmiast we trójkę popędziliśmy za nim, lecz nie dotarliśmy daleko. Za pierwszym zakrętem korytarza natknęliśmy się na niego bezsilnie walącego pięściami w ścianę.

— Tędy uciekli! — zawołał.

Na gładkiej powierzchni nie było najmniejszego śladu jakichkolwiek drzwi. Thran zadrżał z gniewu.

— Uciekną do Koom — wysyczał wściekłym głosem. — Tylko w Koom będą czuli się bezpiecznie, bo wiedzą, że za to, co zrobili, stanie przeciwko nim całe Yu-Lac.

— A więc Koom — powiedziałem i pokiwałem głową. Niewątpliwie miał rację. — Tak więc...

Odwrociłem się, lecz nie zrobiłem nawet kroku, gdy Thran złapał mnie za rękę.

— Dokąd zmierzasz?

— Do Koom.

— Jak?

— Mam latacz... Przerwał mi gwałtownie.

— Nie pozwolą ci wylądować. Mają zapory, sięgające sześciu mil przed granicę ich przestrzeni powietrznej. Jest inny sposób.

— Jaki?

— Poprzez miejsce, w którym obserwowałeś tancerki z Qur. Ta sala jest częścią antycznych Dróg Ciemności, korytarzy wydrążonych pod powierzchnią Krand przez tych, którzy pracowali tutaj, zanim pojawił się rodzaj ludzki. Ten, kto ośmieli się obrać tę drogę, być może zdoła dotrzeć do Koom.

— A więc ruszam! — zawołałem bez namysłu.

Zacat obnażył w uśmiechu żółte zęby.

— Z kawałkiem ostrej stali w dłoni ośmielę się wyruszyć z tobą w każdą drogę, byleby tylko osiągnąć nasz cel — powiedział. — Kiedy ruszamy?

Thran wyciągnął zza paska jakieś karteczki i wręczył mi je.

— Natychmiast...

— Anatan idzie z wami! — zawołał mój adiutant.

— A więc pójdziecie we trójkę. Oczywiście, udam się w drogę razem z wami. Musimy postarać się o broń i odpowiedni ekwipunek...

Zacat dotknął rękojeści miecza, lecz Thran, popatrzawszy na niego, potrząsnął głową.

— Niektóre z niebezpieczeństw, jakie napotkamy, o ile legendy zawierają chociaż ziarno prawdy, będziemy musieli zwalczać bronią o wiele potężniejszą niż stal.

— A więc? — zawołałem. — Na co czekamy? Wszystko, czym dysponuję w Yu-Lac jako Marszałek Floty, należy do nas. Wystarczy mi pół godziny, a wyposażę was w broń, która zmiecie Koom z powierzchni ziemi.

Rozprawialibyśmy pewnie jeszcze dłużej, gdyby nie Analia, która podjęła decyzję za nas:

— Niech więc Lord Garan uda się do zbrojowni i zdobędzie oręż, tak szybko, jak to tylko możliwe. Godzinę przed świtem spotkamy się na dziesiątym placu. Anatanie, pójdiesz z Lordem Garanem.

— Godzinę przed świtem? Dlaczego musimy czekać aż tak długo? — zawołałem, oczyma wyobraźni widząc Thralę w objęciach złej Ili oraz wyobrażając sobie podły uśmiech

na twarzy Kepty. Nie mogłem spokojnie szukać broni, wyposażenia, podczas gdy Thrala była w niewoli; przeciwko takiemu postępowaniu buntował się we mnie każdy mięsień, każdy nerw. Pragnąłem czym prędzej wyruszyć w pościg za Keptą, a doścignąwszy go, posiekać drania na drobne kawałki. Świadomość, że Koom położone jest w odległości aż stu mil powietrznych od naszych wybrzeży i że odległość ta znacznie się powiększy, jeżeli pójdziemy Drogami Ciemności, ani trochę nie hamowała mojej wściekłości i niecierpliwości.

— On nie ośmielił się jej tknąć — powiedział Thran spokojnie. — Wiem to z całą pewnością.

— Skąd?

— Poprosił dzisiaj Cesarza o rękę Thrali.

Moje palce zacisnęły się. Gdyby teraz w pobliżu znalazł się Kepta, z pewnością zacisnąłbym je na jego gardle. Nigdy do tej pory nie nienawidziłem go tak mocno. Ten bandyta stara się — o nią! Zadrzałem.

— Godzinę przed świtem na dziesiątym placu — powtórzył głośno Thran.

Skinąłem głową i wraz z Anatanem podążyłem za prowadzącą nas Analią. Pewnie prowadziła nas korytarzami, pełnymi rozgałęzień i niespodziewanych zakrętów. Później dowiedziałem się, że od początku cała trójka: Thran, Thrala i Analią obserwowała budowę tego pałacu przyjemności, domyślając się jego prawdziwego przeznaczenia. Główny jego projektant za słoną cenę zgodził się sprzedać jego pilnie strzeżone tajemnice. Dzięki temu znali sekrety, o których Kepta i Ila byli przekonani, że należą tylko do nich.

W końcu znaleźliśmy się w wąskiej alejce, słabo oświetlonej i wyludnionej.

— Dobrze zapamiętajcie to miejsce — powiedziała Analią, zanim się oddaliła. — Gdy tu powrócicie, uderzcie trzykrotnie ręką w drzwi. A teraz musimy się rozstać, zanim ktoś nas zobaczy.

Kiedy zostaliśmy sami, Anatan miał pewne trudności ze znalezieniem w mroku publicznego lądowiska, na którym pozostawiliśmy latacz. Mieliśmy niewiele czasu; do świtu pozostało zaledwie kilka godzin. Muszę przyznać, że w poszukiwaniu lądowiska zdałem się całkowicie na Anatana, gdyż pogrążony byłem w rozważaniach, jaką broń i jakie wyposażenie powinniśmy ze sobą zabrać w daleką wyprawę do Koom. Nie rozglądałem się więc dookoła.

Dlatego pierwsze ostrzeżenie dotarło do mnie dopiero wtedy, gdy jakaś ciemna sylwetka wypadła zza zaułka między dwoma budynkami, niewątpliwie wykazując nieprzyjazne zamiary. W pierwszym odruchu chciałem natychmiast wydobyć z pochwy miecz, ale zaraz z tego zrezygnowałem. Nie było czasu na użycie stali.

Ujrzałem złowrogi błysk w oczach napastnika, jeszcze zanim się do mnie zbliżył. Rysy jego twarzy wykrzywione były tak, jakby znajdował się pod działaniem środków odurzających. Z ust ciekła mu piana. Wyciągnął przed siebie ręce, gotów natychmiast wydłubać mi palcami oczy; ulubiona forma ataku rzezimieszków wyjętych spod prawa. A jednak — ku swemu zdziwieniu i przerażeniu — zobaczyłem, że bandyta nosi epolety podoficera jednego z moich oddziałów!

Dopiero mój krzyk przerażenia i wrzask napastnika zwróciły uwagę Anatana na niebezpieczeństwo. Do tej pory nie interesował się tym, co jest przed nami, rozglądając się na boki. Gdy rzezimieszek mnie zaatakował, zwarliśmy się w śmiertelnej potyczce. Miecz Anatana był bezużyteczny; nie mógł ryzykować cięcia nim, w obawie że zamiast napastnika uderzy mnie.

Otrząsnąłem się z pierwszego szoku i zacząłem rozpaczliwie walczyć o życie. Zdołałem zacisnąć palce na szyi bandyty, zanim ten swymi szponami rozorał moją krtani. To mnie uratowało: szczęśliwy przypadek raczej niż celowe działanie. Musiałem natrafić na jakiś jego nerw, gdyż na krótką chwilę jego ciało jakby zwiotczało i zaniechało walki.

Z hukiem padliśmy na ziemię. Napastnik znów wyciągnął ręce w kierunku mojego gardła, a ja znów musiałem podjąć walkę o oswobodzenie się z jego szponów. Niespodziewanie otworzył usta i wykonawszy gwałtowny ruch głową, zacisnął zęby... zaledwie o cal od mojego ucha. Wtedy zrozumiałem, że nie ma dla mnie ucieczki. Narkotyk zmienił żołnierza w dzikie zwierzę, żadne krwi, żadne nie tylko zapachu, ale i smaku ludzkiego mięsa. Dodał mu też siłę, siłę, jakim nie jest w stanie przeciwstawić się żaden normalny człowiek, chociażby był nie wiem jak dzielny.

A jednak, otrząsnąwszy się z pierwszego szoku, chwyciłem go za przeguby rąk jednym z tych chwytów, którym można złamać mężczyźnie oba ramiona. Ale walcząca ze mną bestia jedynie głośno stęknęła. Znów kłapnęła szczękami. Tym razem zaciskające się zęby rozorały skórę na moim ramieniu. Po chwili napastnik przyciągnął do swoich ust moje ramię. Teraz jego kły rozdarły mi skórę do żywej kości. Na szczęście — niech pochwalony będzie bóg On — tkwiliśmy w jednej pozycji na tyle długo, że Anatan zdołał przyjść mi z pomocą. Stanąwszy za bandziorem, spuścił swój ciężki miecz na jego nie osłoniętą głowę.

Twarz bandyty przybrała wyraz bezgranicznego zdziwienia, po czym tylko cicho jęknął i padł bez czucia na ziemię. Ja tymczasem niepewnie wstałem. Krew kapiała gęstymi, ciężkimi kroplami z mojego zranionego ramienia. Rozejrzawszy się dookoła ze zdziwieniem stwierdziłem, że jesteśmy sami. Odgłosy walki, jaką przed chwilą stoczyłem, nikogo nie

zainteresowały. Popatrzyłem na Anatana. Pokiwał ze smutkiem głową. Wiedziałem, że w tej chwili pomyślał dokładnie o tym samym co ja: ktoś na nas nasłał tę bestię.

Ktoś zastawił na nas pułapkę, w którą wpadliśmy bezmyślnie jak dzieci.

— Zostawmy go tutaj. — Anatan wskazał głową na mojego niedawnego przeciwnika.
— Lepiej pośpieszmy do latacza, dopóki nikt inny nam w tym nie przeszkadza.

Chętnie zgodziłem się z nim. Oddarłem kawałek swojego płaszcza i owinąłem nim krwawiące ramię. Ruszyliśmy. Mimo że po chwili znaleźliśmy się na jaśniejszych alejach, ani na moment nie zwolniliśmy kroku. Wkrótce byliśmy na lądowisku.

Musieliśmy czekać, aż zaspany nocny strażnik wyda nam zgodę na lot. Dopiero gdy znaleźliśmy się w kabinie, odetchnąłem trochę swobodniej.

— Leć do zbrojowni — poleciłem Anatanowi. — Wylądujemy przy bramie, dla pewności. Dosyć mam przygód na dzisiejszą noc. W drodze powrotnej postarasz się посадzić latacz na tej najszerszej oświetlonej alei.

— Trudne zadanie — stwierdził.

— Lepsze to, niż spotkanie z kolejnym zamroczonym rzezimieszkiem. Jeżeli się postarasz, jesteś w stanie to zrobić.

Po kilku sekundach wylądowaliśmy przy zbrojowni, gdzie przechowywane były najtajniejsze środki, służące obronie pomyślności i niezawisłości Yu–Lac.

6. DROGI CIEMNOŚCI

Zdjąłem z szyi łańcuszek z kluczem, otwierającym bramę zbrojowni. Nigdy nie rozstawałem się z nim i teraz moja roztropność została nagrodzona.

Obaj z Anatanem musieliśmy użyć wszystkich naszych sił, aby podnieść wielką metalową sztabę na drzwiach. Wiedziałem, co i skąd chcę zabrać, toteż kiedy znaleźliśmy się w środku, natychmiast popędziłem płataniną wąskich korytarzy w kierunku drzwi oznaczonych szerokim szkarłatnym paskiem. Otworzyłem je drżącymi rękami, gdyż bardzo się śpieszyłem. Byłem przekonany, że rozpocząłem wyścig z czasem.

W komorze, starannie poukładane w szklanych gablotach, leżały zbroje, które mogły okryć żołnierzy od stóp do głów. Były bardzo lekkie, lecz wykonane z materiałów, które opierały się najsilniejszym cięciom i najgorętszym promieniom. Wskazując je Anatanowi, poleciłem mu:

— Wybierz najodpowiedniejsze zbroje dla nas wszystkich. Niedługo do ciebie dołączę.

Zostawiłem go i zszedłem piętro niżej, poszukując pomieszczenia, w którym przechowywano miotacze promieni nowej generacji, nie wprowadzone jeszcze na wyposażenie armii. Podczas prób broń ta uzyskała wiele uznania za celność, duży zasięg i łatwość w obsłudze, do tej pory jednak nie potwierdziła swoich walorów na polu walki.

Odłożyłem na bok sześć urządzeń, przypominających wyglądem pochodnie, a wraz z nimi zapasowe ładunki w kolorze zielonym, fioletowym oraz miotające promienie podczerwone. Do tych nowych i nie wypróbowanych jeszcze urządzeń dołożyłem kilka już sprawdzonych, od dawna używanych przez armię. Również do nich dołożyłem zapasowe ładunki. Zanim ruszyłem w drogę powrotną, ujrzałem zestaw do wspinaczek, używany przede wszystkim przez śmiałków, którzy musieli zagłębiać się w lapidiańskie groty. Dołożyłem również taki zestaw do swoich zdobyczy.

Znalazłszy się przed bramą od razu natknąłem się na Anatana. Niecierpliwie chodził wokół maszyny. Oprócz zbroi niezniszczalnej zabrał z magazynu również cztery miecze wojenne; wykonano je bardzo dawno i przeznaczone były do walki wręcz na polach bitewnych, a nie do noszenia jako ozdoby przy galowym mundurach.

Starannie zamknęliśmy bramę i założyliśmy ciężką zasuwę. Następnie wsiedliśmy do latacza i od razu wystartowaliśmy. Unikając patroli, lecieliśmy nad skrajem miasta.

Na szczęście pałac przyjemności łatwy był do zidentyfikowania z powietrza. Dzięki niemu Anatan bezbłędnie rozpoznał aleję biegnącą niemal przy pałacu, gdzie też po chwili wylądował. Udało mu się to tylko dlatego, że mój latacz był jednym z najmniejszych i najbardziej zwrotnych spośród tych, które latały nad Yu–Lac. A jednak pomiędzy ścianami budynków a końcówkami skrzydeł pozostały zaledwie dwie stopy odległości.

Zabraliśmy naszą zdobycz i uginając się pod jej ciężarem podeszliśmy do bocznych drzwi pałacu. Zapukałem i niemal natychmiast otworzyła nam Analia. Znow długo szliśmy krętymi korytarzami po to, by w końcu znaleźć się na małym, pustym dziedzińcu. Tam czekali już Thran i Zacat, pochyleni nad rozłożonym pasem żółtej rybiej skóry; na takiej skórze dawno temu pisali nasi protoplasci.

— Tak szybko wróciliście? Dobra robota, Lordzie G—ranie. Co nam przynosicie?

Szybko wyjaśniłem mu, co zabraliśmy ze zbrojowni i dlaczego. Wyjąłem jedną ze zbroi, aby Thran ją przymierzył. Zacat popatrzył na zbroję z uwielbieniem, charakteryzującym człowieka, który ogląda wspaniałe narzędzia, niezbędne do wykonywania jego zawodu. Jego zainteresowanie jednak gwałtownie wzrosło, kiedy Anatan wyciągnął jeden z mieczy.

— Dobra stal. — Przebiegł palcem po lśniącem ostrzu. — Chętnie używałbym czegoś takiego zamiast tych wszystkich miotaczy promieni. Stal to zawsze stal. Dobrze, Anatanie, że to zabrałeś, masz głowę na karku.

— Zdaje się, że mieliście przed oczyma konkretny cel, zabierając ze zbrojowni to, a nie coś innego — powiedział Thran, uważnie przeglądając naszą zdobycz. — Ale my też nie próżnowaliśmy, kiedy was nie było.

Wskazał ręką róg dziedzińca. Znajdowały się tam małe pojemniczki ze skoncentrowaną żywnością i słoiki z tak zwaną „wodą” kropla tego płynu zastępowała całe litry innych podczas długich marszów przez pustynne tereny. Preparat ten, zawieszony u pasa w butelczce nie większej niż ludzka pięść, wystarczał na długie dni marszów i wędrówek.

— Niewiele wiemy o podziemnych drogach — kontynuował Thran. — Z wyjątkiem upartych Lapidian, my, ludzie, wybraliśmy raczej życie na powierzchni. — Wskazał na żółtą mapę na rybiej skórze. — Ale wciąż są wśród nas tacy, którzy poszukują wiedzy o najdziwniejszych miejscach. Jak na przykład żołnierz Kem–mec, który żył w Yu–Lac mniej więcej pięć tysięcy lat temu.

— Budowano wówczas fundamenty pod pierwszą z wielkich wież obronnych i, chcąc ją jak najmocniej osadzić w ziemi, budowniczywie dokopali się tak głęboko pod jej powierzchnię, jak jeszcze nikt przed nimi. W dwudziestym siódmym dniu prac natrafiono na

fragment Dróg Ciemności. — Kem–mec otrzymał pozwolenie na zejście w dół i zbadanie nieznanego przejścia pod kątem jego wojskowej przydatności. Nie znalazł się żaden ochotnik, który by poszedł z nim. Dlatego zszedł sam. Oczywiście, w owych dniach nie było jeszcze tak doskonałych środków, z jakich możemy korzystać dzisiaj, wędrując podziemnymi korytarzami. Mimo to jednak Kem–mec zdołał stworzyć mapę znacznego fragmentu Dróg, mianowicie tego, który znajduje się pod skałą, noszącą na sobie Yu–Lac. Doszedł też do wniosku, że podziemne tunele wybudowano za pomocą doskonałych środków mechanicznych; o wiele doskonalszych niż te, które znano za jego czasów, a nawet te, którymi dysponujemy obecnie. Środków tych używały stworzenia zupełnie niepodobne do rasy ludzkiej, które dawno przed nami władały tą planetą.

— Pierwsza wyprawa Kem–meca pod powierzchnię Yu–Lac sprawiła, że zapragnął on dowiedzieć się czegoś więcej o podziemnych korytarzach. Odbył więc kilka dalszych wypraw i w końcu z jednej z nich nie powrócił. Tymczasem Amest Wielki, ówczesny Cesarz Yu–Lac, uznał, że najlepiej będzie, jeżeli przejście prowadzące do podziemnych korytarzy zostanie zamknięte.

— Podjął tę decyzję niespodziewanie, po otrzymaniu poufnego raportu, który przygotował Kem–mec po powrocie ze swej przedostatniej podróży. Stało się jasne, że żołnierz badacz odkrył coś, co było bardzo niebezpieczne dla miasta. Nigdy nie ujawniono publicznie, co to takiego.

— Jeszcze mniej więcej pół roku temu — mówił dalej Thran — raporty i mapy Kem–meca dostępne były w bibliotece Oświeconych w Semt. Kiedy jednak ostatnio, powodowany zwykłą ciekawością, postanowiłem jeszcze raz je przejrzeć, stwierdziłem, że zniknęły wszystkie, z wyjątkiem tej jednej, która wsunięta była za okładkę teczek, służącej do przechowywania dokumentów. Poinformowano mnie, że wszystko zabrał Kepta z Koom, gdyż potrzebne mu były do badań.

— Wkrótce ukończono budowę przybytku, na terenie którego właśnie się znajdujemy. Wszystko wskazuje na to, że powstał on po to, aby ukryć przejście do jednego z korytarzy Dróg Ciemności, dokładnie oznaczonego na mapie przez Kem–meca. W tym samym czasie Kepta zaczął wykazywać nagle zainteresowanie starodawnymi świątyniami z Qur. Złożył w nich kilka wizyt, starając się utrzymać to w tajemnicy. A przecież Qur to, jak wiadomo, ostatnie gniazdo dziwnej wiary, która pozostała po zapomnianych obrzędach Najdawniejszych.

— Pozostawiając mi tę jedną mapę, Kepta nieopatrznie wyposażył mnie w potężną broń. Oto zaznaczona jest na niej trasa, której właśnie poszukujemy: podmorska droga do

Koom. Tradycja mówi, że właśnie tędy Kem–mec wyruszył w drogę na wyprawę, z której już nigdy nie powrócił. Nieszczęście, które spotkało Kem–meca pięć tysięcy lat temu, być może grozi również dzisiaj śmiałkom, udającym się śladami żołnierza. Jestem jednak pewien, że tą właśnie drogą uciekli w nocy Kepta i Ila. Gdzieś na tej drodze znajduje się odpowiedź na pytanie, dlaczego Amest kazał odciąć Drogi. Czy ta przyczyna jeszcze istnieje? Zacat chrząknął.

— Nie pozostaje nam nic innego, jak iść i się przekonać — stwierdził.

— Wygląda na to, że będziemy kontynuowali robotę Kem–meca — powiedział Thran, śmiejąc się. — Przygotujmy się więc dobrze do naszej misji.

Podzieliliśmy pomiędzy siebie broń, zapasy i naboje. Mieliśmy nawet specjalne maski z okularami, których soczewki nie tylko powiększały odległe obiekty, ale pozwalały widzieć nawet w absolutnej ciemności.

W pełni uzbrojeni, byliśmy odporni na działanie wszelkich znanych nam broni. Gładka powierzchnia naszych zbroi mogła odbić uderzenie najostrzejszego miecza, chroniła nas też przed działaniem wszelkich promieni, czy to zapalających, czy zamrażających.

Do pasów przypięliśmy miecze, które Anatan zabrał ze zbrojowni. Oprócz, tego mieliśmy miotacze promieni starego i nowego typu. Dodatkowe baterie do nich nieśliśmy w torbach, przewieszonych przez ramię.

Kiedy byliśmy już gotowi do drogi i otworzyliśmy drzwi, ujrzeliśmy za nimi drobną postać. To Analia. już bez rudej peruki, z rozpuszczonymi długimi czarnymi włosami, czekała na nas, zapinając pas. Na nasz widok tylko na chwilę podniosła wzrok, by zaraz powrócić do swego zajęcia. Przypiąwszy do pasa miotacze promieni, pochyliła się, aby podnieść torbę z zapasami.

— Analia! — wykrzyknął jej brat. — Co cię opętało?

— Idę z wami — powiedziała stanowczo. — Pójdę z wami tam. dokąd zabrano Thralę. Nie możecie mi odmówić. Dawałam sobie radę w pałacu przyjemności, dam sobie radę również na Drogach Ciemności. Jestem pewna, że nie czeka tam nic bardziej niebezpiecznego od tego. co robiłam do tej pory.

Głos jej był niezwykle stanowczy. Popatrzyłem na Thrana, który zwijał właśnie niepotrzebną zbroję; nie wiedzieć czemu. Anatan zabrał ich ze zbrojowni aż sześć. Thran również popatrzył na mnie. Na jego ustach błąkał się cień uśmiechu.

— Kiedy kobieta mówi w ten sposób, Lordzie Garanie, lepiej od razu przyznać jej rację, ponieważ jej postawy nie zmienią nawet długie tygodnie przekonywania — stwierdził. — Analia nie opóźni naszego marszu. Już wiele razy udowodniła, że jest silna i odważna.

Musiałem więc zgodzić się na jej towarzystwo, mimo że nie uśmiechała mi się konieczność dzielenia trudów niebezpiecznej wyprawy z kobietą. Zdaje się, że moje zdanie podzielał również Anatan. Jedyne Zacat nic nie robił sobie z perspektywy towarzystwa kobiety, chcąc jak najszybciej zmierzyć się z niebezpieczeństwem, oczekującym nas na naszej drodze.

Dołączyliśmy więc do Analii, która natychmiast ruszyła z nami, bezbłędnie prowadząc nas płataniną korytarzy i izb w kierunku rampy, opuszczonej przez nas tak niedawno i zarazem tak dawno temu. Mimo moich obaw nie wzbudziliśmy po drodze niczyjego zainteresowania. Nasze dziwne stroje sprawiły, że na pół pijani głupcy, których napotykaliliśmy, brali nas za podobnych sobie klientów pałacu, pragnących się dobrze zabawić.

Znów znaleźliśmy się w szerokim korytarzu, prowadzącym w dół, lecz tym razem nie towarzyszył nam już rytm, który poprzednio ogarniał nasze stopy i umysły. Panowała głucha cisza, taka, jaką napotkać można tylko w górskich świątyniach Ru, cisza, w której odnosiło się wrażenie, iż dookoła bezszelestnie krążą duchy przodków. Teraz światło nie zmieniało swego koloru, w miarę jak szliśmy stawało się jednak coraz bledsze. Wreszcie przystanęliśmy i nałożyliśmy na twarze maski z osłonami na oczy. Wówczas przewodnictwo nad naszym pochodem objął Thran.

Kolejny pochyły korytarz, tym razem tak stromy, że musieliśmy przytrzymywać się poręczy, aby iść w dół, otworzył się przed nami i Thran ruszył nim bez wahania. Po kilkudziesięciu krokach pochylił się i podniósł jakiś przedmiot, który wyciągnął w naszym kierunku na otwartej dłoni. Ujrzałem ozdobę, podobną do tych, którymi upstrzone były szaty Thrali i Ili.

— Jak widzicie, podążamy właściwą drogą — powiedział i odrzucił ozdobę. Ja jednak zauważyłem gdzie spadła; pochyliłem się i schowałem ją do kieszeni.

Schodziliśmy coraz niżej i niżej, i coraz gęstsza okalała nas ciemność, bynajmniej już nie z powodu osłon na naszych oczach. Analia na chwilę zapaliła lampkę, jednak Thran nakazał, aby ją zgasiła; nikt z nas nie wiedział, kto lub co czai się w mroku przed nami. Oświetleni, stanowilibyśmy doskonały cel dla wroga, a poza tym widoczne z oddali światło mogło być ostrzeżeniem dla naszych przeciwników.

Wkrótce zorientowałem się, że ściany pokryte są zupełnie czymś innym, niż na początku korytarza. Poprzednio był to gładki, błyszczący kamień, teraz zaś na bokach mieliśmy wielkie bloki z jakiejś szarej substancji. Były nieprzyjemne w dotyku, jakby pokryte jakimś szlamem. Thran wskazał na nie ruchem głowy:

— Właśnie wkraczamy na Drogi Ciemności. Nikt, kto kiedykolwiek widział efekty pracy Najdawniejszych, nie może ich pomylić z niczym innym.

Pochyły korytarz zdawał się nie mieć końca, stawał się przy tym coraz bardziej stromy. Ponieważ pochyłość była coraz większa, musieliśmy znacznie zwolnić kroku, aby nie upaść. Niemal dreptaliśmy w miejscu, posuwając się niezwykle drobnymi kroczkami i utrzymując równowagę tylko dlatego, że przez cały czas trzymaliśmy się poręczy. Zaczynałem zastanawiać się, czy droga nie stanie się w końcu tak stroma, że uniemożliwi nam zachowanie równowagi, gdy niespodzianie szeroki korytarz zmienił się w tonącą w mroku wąską, lecz niemal poziomą ścieżkę. Postawiwszy na niej pierwszy krok, pomyślałem, że ci, którzy budowali tę drogę przed wielu, wielu laty musieli być, tak jak i ja, ciepłokrwistymi stworzeniami, ale tak różniącymi się ode mnie, że trudno mi było wyobrazić sobie ich kształty i zadania, jakie przed sobą stawiali. Jakiemu celowi, na przykład, służyło to przejście? Dlaczego wykuto je pod ziemią?

Już po kilku krokach przekonałem się, że drogi tej z całą pewnością nie przeznaczono dla ludzi. Powierzchnia pod naszymi stopami nie była bowiem płaska, lecz półokrągła, co sprawiało, że ślizgaliśmy się i potykaliśmy. Aby uniknąć niebezpieczeństwa kontuzji i wypadków, zwolniliśmy tempo marszu tak bardzo, że nie posuwaliśmy się już ani trochę szybciej od żółwi.

Nie mam pojęcia, jak długo to trwało i ile mil przemierzyliśmy w ten sposób. Trzykrotnie zatrzymywaliśmy się na odpoczynek i trzykrotnie jedliśmy posiłki, wykorzystując nasze zapasy. Wokół nas nie było niczego, co moglibyśmy usłyszeć albo zobaczyć; ogarniała nas głucha i pusta ciemność, którą rozpraszały jedynie na kilka stóp z przodu soczewki naszych masek.

Podczas trzeciego postoju Thran wydobyl mapę, narysowaną na rybiej skórze, a Analia zapaliła lampkę. Uważnie popatrzyliśmy na mapę, chcąc sprawdzić, jaką drogę już przebyliśmy i jak długi marsz jest jeszcze przed nami.

— Niedługo dotrzemy do miejsca, gdzie droga się rozdziela. Jedna z jej nitek skęci ostro w prawo. W tym właśnie kierunku musimy pójść. Kiedy znajdziemy się na tym zakręcie, będę pewien, że nie pomyliliśmy drogi — powiedział Thran.

— Ruszajmy więc! — zawołał Zacat, zrywając się na nogi. — Do tej pory nie natrafiliśmy na żadne niebezpieczeństwo godne żołnierza. Gdzie znajdują się te straszliwe miejsca, które zobaczywszy, Kem–mec pobiegł do swego władcy, aby napełnić jego uszy trwożliwymi opowieściami? — Gdzieś przed nami, Lordzie. Zważ, że ja wierzę Kem–

mecowi i jego opowieściom. Wkrótce naocznie przekonamy się, czy miał rację. — Thran zwinął mapę i schował ją do torby.

Wszyscy podnieśliśmy się, zmęczeni, i ruszyliśmy w dalszą drogę. Tak jak powiedział Thran, wkrótce dotarliśmy do rozwidlenia w ciemnym tunelu. Jedna z odnóg ostro skręciła w prawo. Anatan i jego siostra bez namysłu weszli w nią, a tymczasem mój wzrok niespodziewanie przyciągnął błysk na powierzchni drogi, biegnącej w przeciwną stronę. Pochyliłem się i moje palce natrafiły na kolejną ozdobę z szaty Thrali. Zatrzymałem całą grupę i pokazałem towarzyszom moje znalezisko.

— Czy mapa nie zawiera błędu? — zapytałem Thrana.

— Bo skoro ta błyskotka leżała w przeciwnym korytarzu...

— A jeśli Kepta rzucił ją specjalnie, aby nas zmylić?

— To jest możliwe. Istnieje jednak tylko jeden sposób, aby się o tym przekonać.

— Jaki?

— Musimy się rozdzielić. Powinniśmy włączyć te małe lampki, które mamy przy naszych miotaczach promieni. Ja pójdę drogą, na której znalazłem błyskotkę. Będę siedł tak długo, dopóki wystarczy mi jednej baterii. Kiedy lampka zgaśnie, a ja do tego momentu nie natrafię na nic interesującego, powrócę w to miejsce i podążę za tobą. Ty powinieneś postąpić podobnie.

Thran od razu zgodził się na ten plan.

— To najmądrzejsza propozycja — przyznał. — Kto pójdzie z tobą?

— Zacat! — mój podwładny natychmiast wykrzyknął swe imię. — Już wiele razy w przeszłości wspólnie wyruszaliśmy na niebezpieczne wyprawy.

— Zgoda.

Thran podłączył baterię do lampki przy miotaczu, ja uczyniłem to samo. Pożegnaliśmy się, życząc sobie nawzajem rychłego spotkania, i wyruszyliśmy w trasy, które wybraliśmy: Thran, Anatan i Analia w prawo, a ja z Zacatem drogą, będącą przedłużeniem tej, którą zmierzaliśmy do tej pory. Idąc zacisnąłem dłoń na znajdujących się w kieszeni ozdobach, rzuconych przez Thragę.

Przeszliśmy spory kawałek drogi, gdy Zacat uniósł brzeg maski i zaczął intensywnie wciągać nosem powietrze.

— Czujesz coś? — zapytał.

Poszedłem za jego przykładem. W suchym powietrzu pojawił się odór. Pachniało coś jakby słodkiego, a jednocześnie gnijącego.

— Tak — odparłem.

— Nie podoba mi się to. Podobnie śmierdzą stare grobowce w górach. Zdaje się, że natrafiliśmy na coś nieprzyjemnego. Ale zbyt słaby to powód, żeby przerywać nasz marsz.

Wstrętny zapach stawał się coraz intensywniejszy, w miarę jak posuwaliśmy się naprzód. Ku memu bezgranicznemu zdziwieniu, zmieniać się zaczął kolor światła w lampce przy moim miotaczu promieni; wkrótce przybrało ono barwę intensywnej purpury. Zwróciłem na to uwagę Zacatowi.

— Jakaś diabelska sztuczka — stwierdził. — Lepiej nie przejmujmy się tym. Nasz przyjaciel z Koom wymyśli zapewne na nasze powitanie jeszcze wiele innych zakazanych cudów. Najpierw zajmijmy się tym obrzydliwym zapachem.

Niespodziewanie nasza droga ostro skręciła; był to pierwszy zakręt od chwili, gdy na nią wkroczyliśmy. Postąpiliśmy jeszcze, bardzo ostrożnie, kilka kroków, i nagle znaleźliśmy się na skraju nicości...

7. POTWÓR Z ZATOKI

Droga urywała się gwałtownie, prowadząc w otchłań, której dnem była powierzchnia wielkiej morskiej zatoki. Do moich uszu dotarł groźny pomruk fal, rozbijających się — hen pod nami — o skały. Fale wyglądały niczym żywe istoty, które chcą wspiąć się po skałach do góry i nas dosięgnąć.

— Koniec — powiedział Zacat. — Wybraliśmy złą drogę.

— Zastanawiam się... — mruknąłem w zamyśleniu. Coś ledwie uchwytne wzrokiem, zawieszone nad zatoką, przyciągnęło moje spojrzenie. Wisiały nad nią dwa łańcuchy z tego samego materiału, którym pokryte były ściany Dróg Ciemności. Odpiąłem od pasa miotacz promieni i wycelowałem jego końcówkę w przedmiot, który wisiał pomiędzy łańcuchami.

— Ach — westchnął Zacat, promień wydobyl bowiem z nicości most, wykonany najwyraźniej z substancji pochłaniającej światło. Zarysy mostu ginęły w ciemności tam, dokąd nie docierały promienie z mojego miotacza.

Poruszając miotaczem, przesunąłem promienie do miejsca, w którym most docierał do naszego brzegu zatoki. Nie dotykał go jednak. Jego podłoże było zniszczone na przestrzeni dobrych trzech stóp od brzegu. Trudno było odgadnąć, czy zniszczenie powstało niedawno, czy też przed wieloma wiekami.

Powróciłem wzrokiem do tunelu za naszymi plecami. Odniosłem wrażenie, że jeśli bóg On sprzyjałby nam, miejsce na rozbieg mogłoby okazać się wystarczające, aby rozpędziwszy się, pokonać w powietrzu wyrwę i wskoczyć na most. Jednak każdy, nawet najmniejszy błąd sprawiłby, że wylądowalibyśmy w spienionych wodach zatoki.

W tym samym momencie również Zacat zrozumiał, na czym polega nasza jedyna szansa,

— Jeden z nas musi pozostać na brzegu — powiedział — i oświetlać most, podczas gdy drugi spróbuje tam wskoczyć. Potem ten drugi będzie oświetlał most, stojąc na nim, a pierwszy skoczy, próbując do niego dołączyć. Prosta sprawa — roześmiał się. — I śmiertelnie niebezpieczna!

A jednak było to jedyne rozwiązanie. Zacisnąwszy mocniej pas i ułożywszy wygodniej torbę z zapasami na ramionach, przygotowałem się do skoku. Zanim Zacat zdołał zaprotestować, wcisnąłem mu do ręki mój miotacz promieni i cofnąłem się w głąb korytarza. Zatrzymałem się na chwilę. Wystarczyło mi kilkanaście sekund, aby się skoncentrować.

Ruszyłem. W ogromnym pędzie minąłem Zacata, zaciskającego w dłoniach miotacz promieni, który oświetlał miejsce mojego lądowania.

W chwili, gdy się wybiłem, serce podeszło mi do gardła, i dopiero wówczas poczułem przemożny strach. Byłem już jednak w powietrzu; nie miałem możliwości odwrotu. Wyrzuciłem ręce do przodu, i to mnie uratowało. Mimo że moje nogi chybiły celu, resztą ciała padłem na poprzeczne deski, stanowiące podłoże mostu. Dłonie kurczowo chwyciły się jakiegoś występu i po kilku sekundach rozpaczliwych wysiłków podciągnąłem się i zaległem całym ciałem na powierzchni mostu. Przez długą chwilę leżałem bez ruchu, uspokajając oddech. Serce biło mi jak oszalałe. Wreszcie uspokoiłem się na tyle, że byłem w stanie dźwignąć się na nogi.

Wówczas ściągnąłem z ramion torbę i wyciągnąłem z niej cienką, lecz mocną linę, w którą zaopatrzył nas przemyślny Thran; dopiero w tej chwili sobie o niej przypomniałem. Jeden jej koniec przywiązałem do łańcucha, na którym wspierał się most, a drugi rzuciłem ponad otchłanią Zacatowi. Przywiązał do niego mój miotacz promieni, a ja pociągnąłem za linę.

Podczas gdy miotacz huśtał się nad przepaścią, doświadczyłem chyba najdziwniejszego uczucia w całym swoim życiu. W chwili, gdy promień przestał padać na most, zniknął on po prostu i odniosłem wrażenie, że stoję w próżni, mimo że pod stopami czułem twarde podłoże.

Po chwili miotacz promieni był już w moim ręku. Gdy go włączyłem, znów widziałem most. Jego nawierzchnię i poręcze. Zecat zniknął w głębi korytarza. Minęło zaledwie kilkanaście sekund, gdy usłyszałem, że ruszył biegiem w moim kierunku. Z całą pewnością włożył w skok znacznie więcej siły niż ja, gdyż bez kłopotu bezpiecznie wylądował obok mnie na pomoście.

— No, to dalej, naprzód, do siedziby diabła — powiedział, gdy odzyskał równomierny oddech. — Strach ogarnia mnie tylko na myśl o drodze powrotnej. Włączmy oba miotacze. Nie mam zamiaru stąpać po niczym, nawet wtedy, gdy moje stopy będą czuły twarde gruntu.

Bez zwłoki ruszyliśmy w dalszą drogę. Najdawniejsi, choć tak różniący się od ludzi, musieli być doskonałymi budowniczymi. Zastanawiałem się, jak odważnym człowiekiem musiał być Kem-mec, który penetrował Drogi Ciemności samotnie, wyposażony jedynie w kiepski sprzęt, dostępny w jego czasach. Być może zniszczony fragment mostu był właśnie tą pułapką, która sprawiła, że nie powrócił ze swojej ostatniej wyprawy.

— Ten wstrętny zapach jest coraz silniejszy. — Głos Zacata przerwał moje rozmyślenia.

Uniósł miotacz promieni wyżej i oświetlił most na znacznej odległości przed nami. Niespodziewanie coś, co znalazło się w oświetlonym polu przed nami, poruszyło się. Zacat stanął jak wryty.

— To jest chyba rzeczywiście przeklęte miejsce — powiedział. — Zdaje się, że czeka nas jakaś niespodzianka. Może nocne demony? Chociaż nie wierzę, że coś takiego istnieje. A przecież widziałem przed nami jakiś ruch. Czy wiesz, co to znaczy?

Wiedziałem aż za dobrze. W normalnym świetle to coś przed nami było niewidzialne, podobnie jak most, natomiast ukazywało się naszym oczom, gdy kierowaliśmy na nie promienie naszych miotaczy. Wkrótce stwierdziłem, że nieznane stworzenie zbliża się w naszym kierunku.

— Najlepiej poczekajmy — szepnął Zacat, gdy zorientował się, że zrozumiałem znaczenie jego słów. — Postąpimy mądrze, jeśli dopuścimy do tego, że nieznany przeciwnik pierwszy ujawni swoją moc. Być może wskaże nam przy tym na swoje słabości. Niepokoi mnie ten zapach...

Odór stęchlizny i zgnilizny był tak ciężki, że trudno nam już było normalnie oddychać. Co gorsza, mimo że wydawało się to niemożliwe, z każdą chwilą odór stawał się coraz intensywniejszy. W pewnym momencie odniosłem też wrażenie, że słyszę jakiś słaby odgłos, jakby drapania. Gdy Zacat zwiększył moc promienia, zjawa, znajdująca się przed nami, odskoczyła do tyłu.

— No, cokolwiek to jest, nie lubi tego światła — stwierdził mój towarzysz z satysfakcją. — Zdaje się, że możemy tę jego słabość wykorzystać. Zwiększ moc swojego miotacza i ruszajmy naprzód.

Jasno oświetlając powierzchnię mostu przed sobą, wyruszyliśmy w dalszą wędrowkę. Stworzenie, które tkwiło przed nami, przez cały czas poruszało się w tym samym kierunku i w tym samym tempie co my. Nie widzieliśmy ani przez chwilę nic więcej jak tylko ciemny, nieregularny kształt, poruszający się na samym skraju zasięgu naszych miotaczy promieni.

Koniec tej komfortowej sytuacji był jednak gwałtowny. Zjawa przed nami jakby nagle odzyskała odwagę; być może odgadła sekret naszego światła, kiedy bowiem postąpiliśmy kilka kolejnych kroków, nic poruszyła się, lecz przykucnęła w miejscu, jakby na nas czekając. Niespodziewanie ujrzelśmy ją w całej okazałości...

Stworzenie, które stanęło przed nami na niewidzialnym moście, było czymś najokropniejszym, najwstrętniejszym spośród wszystkiego, co do tej pory widziałem w życiu. Początkowo trudno było rozróżnić jego kształty, gdyż otaczała je nikła, przejrzysta chmurka. Właściwie nie posiadało konkretnych wymiarów; sprawiało wrażenie, że jego zewnętrzna

powłoka zbudowana jest z galaretowatej substancji, która może zmieniać kształt w każdej chwili.

Jego najstraszliwszą częścią były oczy, które płonęły niczym matowe purpurowe lampy, wetknięte prosto w szare ciało. Zdawało się, że potwór ten nie ma kończyn, a jedynie grube, tłuste narośla, które poruszają się, pozwalając mu zmieniać pozycję.

— Do diabła! — zaklął Zacat. — To jest tak wstrętne, że nie dowierzam własnym oczom. Jeżeli czegoś takiego właśnie przeraził się Kem–mec...

Już bez szybkości, z jaką przed nami uciekało, stworzenie zaczęło pełznąć w naszym kierunku. Jego narośla wydawały ciche odgłosy przy każdym zetknięciu z powierzchnią mostu. A jego purpurowe oczy sprawiały, że wpatrywaliśmy się w nie z przerażeniem i fascynacją zarazem. Te dziwne oczy miały w sobie coś, co sprawiało, że byliśmy przekonani, iż potwór jest istotą myślącą. Myślącą z całą pewnością inaczej niż my, a jednak posiadającą ogromną inteligencję, ukrytą pod galaretowatą, szarą powłoką.

Potwór był tak samo zdumiony naszym widokiem, jak my jego. Szóstym zmysłem wyczuwałem jego ogromne zdziwienie. Czulem też, że nie jest zły w takim znaczeniu tego słowa, w jakim my, ludzie, je rozumiemy. Patrząc w jego purpurowe, błyszczące oczy zacząłem dochodzić do przekonania, że oto stoję przed obliczem przedstawiciela rasy i cywilizacji zupełnie obcej ludziom. Rasy zupełnie nie pasującej do naszych standardów zła, dobra i moralności. I dlatego, chociaż poczułem wstręt i przerażenie, zupełnie nie odczułem strachu.

Będąc jeszcze w sporej odległości od nas, stworzenie zatrzymało się, niespodziewanie sprawiając wrażenie zamyślnego, rozważającego jakiś poważny problem. Raz po raz spoglądało na nas, a potem szybko odwracało swe dziwne oczy, kierując je w dół, ku powierzchni zatoki.

Nagle z dołu dotarł do nas głośny jęk, prawie krzyk. I wówczas w ciemności ukazała się naszym oczom srebrna, lśniąca smuga; przypominała małego ptaka o szerokich skrzydłach. Ptak zatoczył okrąg nad mostem, a potem złożył skrzydła i płynnie osiadł na moście obok galaretowatego potwora.

Dopiero teraz zauważyliśmy, że to lśniące stworzenie ma ludzkie kształty. Posiadało ciało o wyraźnych konturach oraz kończyny, które od biedy można było uznać za odpowiadające naszym rękom i nogom. Wszystkie kończyny zwieńczone były jednak naroślami, jakby przyssawkami, podobnymi do tych, które miał potwór. Głowa srebrzystej istoty była doskonale okrągła, a twarz zdawała się nie posiadać ludzkich rysów, poza wielkimi, purpurowymi oczami. Z głowy, zamiast włosów, wyrastały sztywne, srebrne

antenki. Do mojego umysłu dotarło pytanie: — Dlaczego wy, ludzie, ośmieliliście się wstąpić na antyczne Drogi?

Wiedziałem od Oświeconych, że prowadzone są eksperymenty, które mają umożliwić przekazywanie słów za pomocą jedynie myśli. Oświeceni byli bliscy sukcesu w tej dziedzinie nauki, nie zdziwiłem się jednak, że ktoś osiągnął już taki sukces przed nimi. Dlatego, zamiast odpowiedzieć głośno, swą odpowiedź przekazałem jedynie w myślach:

— Ścigamy wroga naszego świata.

Srebrny popatrzył na galaretowatego; wyczułem, że toczy się pomiędzy nimi jakaś rozmowa. Po chwili dotarło do mnie kolejne pytanie:

— Czy wasz wróg uciekał tą drogą?

— Tak sądzimy.

Moja odpowiedź jakby zaniepokoiła obcych. Nie dałem im jednak czasu na jej przemyślenie. Teraz ja miałem do nich pytanie:

— Czy jesteście z tych, których ludzie nazywają Najdawniejszymi?

Wyczułem, że wzmianka o Najdawniejszych wzbudziła w nich pogardę.

— Nie, jesteśmy jedynie gliną, której używali ich garncarze. Najdawniejsi już od długiego czasu nie istnieją. Lecz my pozostaliśmy. Dlaczego, głupcy, marnujecie swe dni, podczas gdy przeznaczenie zsyła kres na wasz słaby świat?

— Nie rozumiem.

— Zapytaj więc tego, który przebył zakazane Drogi przed tobą. Szukajcie go, ludzie.

W tym momencie wszelka łączność pomiędzy nami urwała się. Oczy bezkształtnego potwora zamrugały i nagle zapadły się w powłokę jego ciała. Już nigdy ich nie zobaczyliśmy. Zadrzałem, kiedy zobaczyłem, że potwór zbliża się do krawędzi mostu. Jego kompan natychmiast wzbił się w górę.

Potwór tymczasem przez chwilę jeszcze balansował na brzegu, a potem spadł w otchłań. Zostaliśmy sami.

Zacat potrząsnął głową, jak ktoś, kto właśnie obudził się z makabrycznego snu.

— Co się stało? — zapytał.

— Sądzę, że to stworzenie, które ujrzelśmy pierwsze, zostało właśnie doścignięte przez śmierć, i to śmierć gwałtowną — powiedziałem. — Drugi najprawdopodobniej poleciał, żeby szukać jej przyczyny.

— Opuśćmy czym prędzej to miejsce — zdrygnął się Zacat, spoglądając w przepaść, która pochłonęła umierającego potwora.

Znów ruszyliśmy po śliskim moście. Porzuciliśmy wszelkie środki ostrożności, pragnąc pokonać go jak najszybciej i wreszcie postawić stopy na twardym gruncie. Nudności, które mnie ogarnęły, sprawiły, że musiałem zatrzymać się na chwilę. Zwymiotowałem. Potem przez długą chwilę goniłem Zacata, który ani na moment nie chciał przerwać marszu, tak spieszno mu było do brzegu. Nie napotkaliśmy już żadnej żywej istoty i prawie bym uwierzył, że te, które niedawno pojawiły się przed naszymi oczyma, były jedynie wytworami naszej wyobraźni, gdyby nie wydarzenia późniejsze.

Wreszcie dotarliśmy do brzegu. Bez problemu zesliśmy na stały ląd, tym razem na skraju mostu nie czyhały na nas żadne pułapki. Zacat jednak potknął się. Gdy powstał z kolan, trzymał w ręce niewielki metalowy stożek, dystrybutor niszczycielskich promieni.

— Myślę, że mieliśmy dużo szczęścia — powiedział, w zamyśleniu obracając stożek w dłoni. — Śmierć, która dosięgła to dziwne stworzenie, miała stać się naszym udziałem.

Nagle zawirowało powietrze nad naszymi głowami. Rozpostarłszy szerokie skrzydła, zawisł nad nami srebrny kształt, który poprzednio napotkaliśmy na moście. Przez chwilę jakby się nam przypatrywał, a potem odleciał. Zdołałem jednak odebrać jego głęboką nienawiść, która dotarła do mojego umysłu. Była ona skierowana nie przeciwko mnie, lecz przeciw temu, kto uśmiercił stworzenie na moście.

Zacat popatrzył na mnie. Po jego twarzy błąkał się wyraz zadowolenia.

— Wygląda na to, że do dwóch myśliwych dołączył trzeci. Dobra to wiadomość, gdyż odnoszę wrażenie, że nasz przeciwnik jest diabelnie niebezpieczny. Kepta musiał wydostać go z samego dna piekła. Oby bóg On dopomógł nam go ukarać!

Przytaknąwszy Zacatowi z głębi serca, wstąpiłem na kretą ścieżkę. Śmierć potwora utwierdziła mnie w przekonaniu, że to ja i Zacat wybraliśmy właściwy szlak w pogoni za Keptą. Nasza wielogodzinna podróż znów wyglądała tak samo jak marsz po drugiej stronie mostu. Droga biegła między płaskimi ścianami, było cicho jak makiem zasiał, nie mieliśmy na czym zatrzymać wzroku. Trzykrotnie przerywaliśmy wędrówkę, aby się posilić, potem wyruszaliśmy znowu. Zastanawiałem się, czy Thran, zgodnie z naszym porozumieniem, idzie już za nami i czy szczęśliwie pokonał most nad zatoką.

Straciłem już wszelkie poczucie czasu, jednak musiało minąć co najmniej kilka dni od naszego spotkania ze srebrnym ptakiem, gdy ujrzelśmy przed sobą łagodny, fosforyzujący blask. Blask wzrastał się i wreszcie dookoła stało się tak jasno, że mogliśmy zdjąć maski, dzięki którym widzieliśmy w mroku.

Korytarz, którym do tej pory szliśmy, zakończył się opadającą w dół rampą, którą bez wahania zaczęliśmy schodzić. Wkrótce drogę zagroziły nam ciężkie drzwi.

Rzuciliśmy się na nie całym ciężarem naszych ciał i wtedy, cal po calu, drzwi zaczęły ustępować. Gdy szczelina stała się na tyle szeroka, że się w niej zmieściliśmy, przygotowawszy uprzednio miotacze promieni, przekroczyliśmy próg.

Korytarz, w którym teraz się znaleźliśmy, wyglądał całkowicie współcześnie, jakby pochodził z naszego świata; opuściła nas obca atmosfera Dróg Ciemności. Powoli ruszyliśmy do przodu. Mimo, że staraliśmy się zachowywać absolutną ciszę, nasze buty w zetknięciu z posadzką wydawały nieprzyjemne odgłosy.

Na końcu korytarza napotkaliśmy kolejne drzwi. I tutaj musieliśmy użyć wszystkich naszych sił, aby je uchylić.

Nie potrafiłem powstrzymać okrzyku ogromnego zdumienia w chwili, gdy przekroczyliśmy próg. Naszym oczom ukazało się olbrzymie laboratorium. Mój żołnierski umysł nie był w stanie odgadnąć znaczenia tysięcy monstualnych urządzeń i przyrządów, które tu zgromadzono. Nie miałem jednak wątpliwości, że znajduję się w tajnym gabinecie Kepty, w pomieszczeniu, którego nawet Oświeceni nigdy nie spenetrowali.

Zacat, który nigdy nie poddawał się uczuciu zachwytu wobec czegoś, czego nie rozumiał, rozpoczął spokojną wędrówkę wzdłuż supernowoczesnych aparatów i urządzeń. W którymś momencie jego pewność siebie nagle zniknęła i głośno krzyknął. Gdy dołączyłem do niego, ujrzałem rząd pojemników z kryształowymi wieczkami, stojących w wąskim przejściu. Nawet teraz nie potrafię tak po prostu opisać, co te pojemniki zawierały. Niech wystarczą moje słowa, iż ktoś, kto był odpowiedzialny za to, co w nich złożono, musiał być bestią, szaloną bestią, całkowicie pozbawioną ludzkich uczuć.

Przerażeni, szybko odbiegliśmy od pojemników. Zaczęliśmy uciekać. Byliśmy tak zaszokowani, że zapomnieliśmy o wszelkich środkach ostrożności. Gdybym już wcześniej nie nienawidził Kepty z całego serca, znenawidziłbym go teraz, na widok efektów jego bestialskich, nieludzkich eksperymentów.

Ruszyliśmy rampą do góry, chcąc jak najdalej uciec od przerażającego laboratorium. Nagle w kamiennej ścianie ujrzałem niewielką wnękę, której nie dostrzeżliśmy poprzednio. Wnęka kończyła się grubą kotarą. Gdy odrobinę odsunąłem fragment ciężkiego materiału, z ukrytej za nim izby dotarły do mnie odgłosy rozmowy.

— Wygląda to więc właśnie tak, a nie inaczej, moja droga Thralo. Czy to jasne? — usłyszałem słodki, przesadnie uprzejmy głos Kepty.

Po chwili padła odpowiedź, udzielona drżącym głosem:

— Tak. Jasne.

— Zgodzisz się więc ze mną, że nasza nadzieja leży... Reszta wypowiedzi Kepty zagłuszona została przez odgłos jego kroków na posadzce. Oddalał się.

Nie czekając już ani chwili dłużej, szarpnąłem za kurtynę.

8. PRZEZNACZENIE ŚWIATA

— Garan! — zawołała Thrala z radością, gdy tylko mnie ujrzała.

Kepta odwrócił się i skrzywił usta w grymasie zaskoczenia i nienawiści.

— Do diabła! Myślałem, że...

— ...że nie żyję, co Kepta? — dokończyłem za niego. — A jednak pomyliłeś się. Twój promień zabił kogoś innego.

— Thrana! — zawołała Thrala z przerażeniem.

— Nie. Jakiegoś stwora z zatoki. Na szczęście jego partner zrozumiał, że to ty jesteś zabójcą. Na twoim miejscu trzymałbym się odtąd z dala od Dróg, Kepta. To znaczy o ile uda ci się cało przekroczyć próg tej komnaty. Jaka broń wybierasz? Czy chcesz walczyć ze mną na miecze, czy też wolisz walczyć gołymi rękami?

W odpowiedzi Kepta głośno się roześmiał. Jego zaskoczenie w jednej chwili zniknęło.

— Czyżbyś uważał, że zniżę się do walki z kimś takim jak ty, żołnierzu? Jestem tutaj władcą, o czym się szybko przekonasz.

Postąpił w kierunku ściany. Nie był nawet potrzebny ostrzegawczy krzyk Thrali. Natychmiast skoczyłem za nim, jednak z góry stałem na straconej pozycji. Pod naciskiem dłoni Kepty ściana jakby rozplynęła się na ułamek sekundy, i już go nie było. A ja jedynie boleśnie odczułem zderzenie z twardą powierzchnią. Padłem na kamienną posadzkę.

Waliłbym z wściekłością w twardą ścianę, gdybym od razu nie zdał sobie sprawy, że takie zachowanie nie ma sensu. Powstałem i zacząłem badać dłońmi jej powierzchnię, poszukując drzwi, przez które mógłbym przejść w pogoni za Władcą Koom.

— Nie! — Thrala odciągnęła mnie na środek komnaty. — Nie ma teraz czasu na twoją osobistą zemstę. Patrz!

Wskazała dłonią na okrągłą płytę, wmurowaną w kamienną podłogę. Na jej czarnej powierzchni lśniły drobne, jasne punkciki.

— Co to jest? — zapytałem.

— Przeznaczenie, które wkrótce osiągnie Krand i nas wszystkich.

Jeszcze nigdy nie słyszałem w głosie Thrali takiej trwogi jak teraz.

— Nie rozumiesz? — zawołała. — Masz przed oczyma mapę niebios, gwiazdy i miliony światów, które wraz z nami dzielą wszechświat. Jeden z tych odległych światów niedawno wypadł ze szlaku swej wędrówki i szybuje w przestrzeni prosto na Krand, niczym potężny pocisk, wystrzelony przez bogów. Mieliśmy jeszcze do niedawna czas, żeby przed

nim uciec... — Thrala zawahała się. — Mogliśmy zmienić drogę, po której Krand szybuje w przestworzach, i spokojnie patrzeć, jak ogromna planeta, która powinna nas zniszczyć, mija nas z daleka. Kepta sprawił jednak, że straciliśmy tę szansę, naszą jedyną szansę, potrzebował bowiem energii do swoich nieludzkich eksperymentów, dokonał więc straszliwego czynu, którego Oświeceni przed wiekami przysięgli nigdy nie popełniać. Zagarnął mianowicie całą energię naszego słońca. To ona mogła sprawić, że umknęlibyśmy przed uderzeniem zmierzającej teraz prosto ku nam planety. Jej brak powoduje, że nie mamy już tej szansy.

— Ale przecież Kepta musiał wiedzieć, co sprowadza na nas i na siebie...

Thrala roześmiała się gorzko.

— Kepta jest mądry i sprytny. Nigdy nie wpadnie w tę pułapkę. Planuje w porę opuścić Krand i znaleźć nowy świat, taki, który będzie mógł podbić dzięki swej mrocznej wiedzy, gdzieś daleko stąd. A Krand pozostawi swemu losowi, straszliwemu losowi, jaki na nią sprowadził.

— Ale przecież Oświeceni z całą pewnością... — zacząłem.

Thrala przypatrywała mi się przez chwilę. Powoli trwoga i przerażenie zaczynały ustępować z jej twarzy i wkrótce znów stała przede mną spokojna, dzielna kobieta, która odważyła się odgrywać rolę Ili w pałacu przyjemności w Sotan. — Oboje powinniśmy się uspokoić, Garanie — powiedziała. — Nie mamy już czasu na puste dysputy i bezsensowne działania. Musimy wrócić do Yu-Lac i tam zrobić wszystko, co będzie w naszej mocy. Powinniśmy natychmiast wyruszyć, zanim pojawi się Kepta ze swymi ludźmi i nas zatrzyma.

— A więc wracajmy — zdecydowałem. — Całe Koom mamy w tej chwili przeciwko sobie. Mam nadzieję, że ci ludzie nie znają Dróg Ciemności. Boję się jednak, że most...

— Przejdziemy go, jeżeli tylko uda się nam do niego dotrzeć — odezwał się Zacat. — Posłuchajcie tylko.

Poprzez grube mury zaczęły docierać do naszych uszu głuchoe odgłosy.

— Nadchodzą! — Thrala przywarła do mnie. — Kepta...

— Uciekajmy!

Pobiegliśmy przez laboratorium, mijając naczynia z zamkniętymi w nich monstrami, zmierzając do drzwi, które prowadziły z powrotem do Dróg. Gdy znaleźliśmy się za drzwiami, Thrala musiała przywrzeć do mnie całym ciałem, nie miała bowiem maski z soczewkami, pozwalającymi widzieć w mroku. Z tego powodu była jakby zupełnie ślepa.

Mimo że posuwaliśmy się najszybciej, jak to tylko było możliwe, wkrótce usłyszeliśmy za plecami odgłosy przybliżającej się pogoni. W pewnej chwili Thrala

zatrzymała się. Ciężko oddychała i była tak zmęczona, że musiała oprzeć się dłonią o ścianę, aby nie upaść.

— Idźcie dalej sami — powiedziała z trudem. — Idźcie do Yu–Lac. Ja nie dam rady, nie jestem w stanie dotrzymać wam kroku.

Uśmiechnąłem się, choć zrozumiałem, że słowa Thrali zawierają ziarno prawdy.

— Nie masz racji, Thralo — oznajmiłem. — To jeden z nas musi tutaj pozostać, aby powstrzymać pościg. Zacat, ja zostanę, a ty uciekaj razem z Księżniczką.

— Czy nie rozumiesz, Garanie? Przecież to ja nie potrafię dotrzymać wam kroku! — zawołała Thrala. — Daj mi miotacz promieni...

Zdałem sobie sprawę, że w Thrali drzemie już tylko resztką sił. Nie było na co dłużej czekać.

— Idźcie — powiedziałem do Zacata, wskazując jednocześnie na Thralę.

Zdecydowanie pokręcił głową, co zmusiło mnie do użycia ostatniego argumentu, jakim dysponowałem.

— To rozkaz — oznajmiłem ostro. Uniósł głowę i spojrzał mi prosto w oczy.

— Jesteś moim dowódcą, więc muszę cię słuchać — odezwał się. — Nie pozostawiasz mi wyboru, nie pozostawiasz mi niczego, a odbierasz to, co mam najlepszego: dumę!

Odwrócił się i ruszył przed siebie, poruszając się powoli, jakby nagle postarzał się o wiele lat. Thrala popatrzyła na mnie.

— Ty idź także. Niech nie będę winna twojej śmierci. Uśmiechnąłem się.

— Trzy lata temu to przewidziałem, chociaż jeszcze wówczas nie zdawałem sobie z tego sprawy. Moim przeznaczeniem jest służyć ci, o Pani. Będę więc służył ci aż do korka.

Dzięki tobie miałem w życiu cel. I dzięki tobie też poznałem dobroć boga On, gdyż pozwolił mi jeszcze przed śmiercią udowodnić ci, jak wiele dla mnie znaczyłaś.

— Garanie! — zawołała Thrala. — Garanie, ponieważ zbliża się nasz koniec, koniec Krand, i wszystkie te głupie prawa nie będą już obowiązywały... Garanie, czy nic nie rozumiesz? Chcę, żebyś dowiedział się, że moje serce należy do ciebie! Przez trzy długie lata, przez wszystkie minuty, godziny i dni moje myśli podążały ku tobie. Należymy do siebie, Garanie, najdroższy!

I nagle rzuciła się w moje ramiona, jej usta poszukały moich ust. Zapomnieliśmy o Drogach Ciemności, o Kepcie i o Krand, całując się i tuląc do siebie. Thrala była moja! Moja! Jej delikatne, miękkie ciało tuliło się do mnie, jej piękne, jedwabiste włosy, które tyle razy pojawiały się w moich snach, teraz ocierały się o moje policzki.

— Czy to się musi skończyć w ten sposób? — szepnęła, oderwawszy swe usta od moich.

Nagle, na dźwięk jej słów, odezwała się we mnie ogromna chęć życia. Nie byłem już tym samym Garanem, który przed chwilą gotów był spokojnie przyjąć wyrok losu.

— Jeżeli dotrzemy do mostu... — złapałem Thralę za rękę i czym prędzej podążyliśmy w kierunku, w którym znajdowało się wybawienie.

Nasi prześladowcy najwyraźniej nigdy dotąd nie przemierzali Dróg Ciemności. Najprawdopodobniej mrok, panujący tutaj, przeraził ich, pogoń bowiem zdecydowanie zwolniła tempo, tymczasem my, nagle tak sobie bliscy, poczuliśmy się, jakby wstąpiły w nas nowe siły. Przystawaliśmy tylko na krótkie minuty, żeby odpocząć, i natychmiast biegliśmy dalej. Na ostatnim postoju zmusiłem Thralę, żeby włożyła mój ochronny kombinezon i pozostawiłem sobie tylko maskę z okularami, dzięki którym widziałem w mroku. Wkrótce owiał mnie chłodny wiatr, wiejący na Drogach, a przecież teraz, jeśli nie liczyć spodenek, byłem prawie nagi. Jednak najważniejsza była dla mnie Thrala; o siebie w ogóle nie dbałem.

Znowu posuwaliśmy się przez ciemne tunele, wydrążone przez inżynierów pradawnej, dawno zapomnianej rasy. Gdy dotarliśmy wreszcie do mostu nad zatoką, wkroczyłem na niego bez wahania i pociągnąłem za sobą Thralę. Teraz posuwaliśmy się już powoli, krok za krokiem, w ciemnościach z trudem rozpraszanych przez mój miotacz promieni. Gdy pokonaliśmy zaledwie trzecią część drogi przez most, za naszymi plecami pojawiły się światła pościgu. Pogoń zatrzymała się u wejścia na most i wkrótce z głośniejszej dyskusji, której fragmenty dotarły aż do naszych uszu, zrozumieliśmy, że ludzie Kepty uważają dalszą pogoń za niebezpieczną dla siebie. W końcu od dużej grupy oderwała się tylko jedna ciemna sylwetka, która zdecydowanym krokiem podążyła za nami.

— Kepta! — zawołała Thrala cicho.

Przez chwilę zastanawiałem się, jaką Kepta może mieć przy sobie broń, a potem popchnąłem Thralę do przodu, postanowiwszy zastosować przeciwko wrogowi śmiercionośne promienie, Kepta jakby nie zważał na moje przygotowania, bez wahania postępował w naszą stronę z zimnym uśmiechem na ustach. Jedno moje spojrzenie na jego zacięte oblicze wystarczyło, abym zrozumiał, że pragnie naszej śmierci i chce, aby nastąpiła ona tu i teraz. Ale pojąłem też, że nienawiść zżera go tak bardzo, iż zbliżając się do nas, porzucił wszelkie środki ostrożności. Nie miał przy sobie żadnej broni, pragnął odebrać nam życie posługując się jedynie dłońmi; najprawdopodobniej chciał nas zepchnąć z mostu.

Ruszyłem w kierunku Kepty, widząc w jego nienawiści szansę dla siebie. Zatrzymawszy się przed nim, odrzuciłem maskę, gdyż również Kepta posługiwał się jedynie

swym własnym wzrokiem, niczym nie wzmocnionym. Tak jak i ja, był gotów do walki. W chwili, gdy było jasne, że musi dojść do starcia, sięgnął ręką za pas i w mgnieniu oka w jego dłoni błysnęła stal. Podstępny tchórz... Miał więc broń, której wcześniej nie zauważyłem!

Natarł na mnie z wściekłością, z jaką nigdy dotąd się nie spotkałem. Ślina z jego ust, skrzywionych w szyderym uśmiechu, kapnęła na moje ciało. Zdołałem jedną dłoń zacisnąć na jego ręce dzierżącej miecz, a drugą sięgnąłem mu do gardła. A jednak Kepta z Koom był silnym i przebiegłym przeciwnikiem. Setki razy walczyłem wręcz, nigdy wszakże nie stawałem przeciwko komuś, kto byłby obdarzony tak ogromną siłą.

Spryt dorównywał jego mocy. Próbowałem sztuczek, które natychmiast odniosłyby skutek w walce z wielu innymi przeciwnikami; Kepta nic sobie nie robił z moich ataków. Wkrótce lśniący pot okrył nasze ciała, jego krople kapały nam na oczy. W pewnej chwili Kepta uwolnił się z mojego uścisku i potężnie uderzył mnie w brzuch. Zamierzył się raz jeszcze i gdyby ten cios mu się udał, byłoby zapewne po mnie. Uniknąłem go jednak i natychmiast przywarłem do Kepty całym ciałem, uniemożliwiając mu zadanie mi kolejnych ciosów. Ujrzałem, że przez jego twarz przebiega jakby cień, po czym wszelka złość zniknęła z jego policzków. Siłował się teraz ze mną tylko po to, żeby się ode mnie uwolnić, a potem zaatakować taką bronią, jaką sam wybierze. Zrozumiał, że w starciu wręcz nie zwycięży ze mną. Wyrwał mi się po chwili i nie byłem w stanie temu zapobiec.

Potknął się jeszcze, ale zaraz szybkim krokiem zaczął oddalać się do miejsca, w którym most się rozpoczynał. Nie było sensu gonić go. Oparłem się o ciężki łańcuch i przez chwilę ciężko oddychałem.

— Gwarantuję!

Z wysiłkiem uniosłem głowę.

— Cofnij się! — zawołałem. — Włóż maskę i uciekaj! On chce nas zniszczyć promieniami.

Thrala nie posłuchała, lecz przybiegła do mnie.

— Ale mu się to nie uda — odparła z mocą. — Popatrz, jak przepowiedziałeś, zemsta wypłynie z zatoki!

Wysilek, jaki włożyłem w walkę z Keptą, sprawił, że wciąż jeszcze wszystko widziałem jak przez mgłę. Zdołałem jednak ujrzeć srebrzyste sylwetki, które wyłoniły się z mroku. Przepłynęły nad nami trzepocząc w powietrzu wielkimi skrzydłami i wkrótce zniknęły nam z oczu. Przypominały wielkie strzały, nieuchronnie sunące w pogoni za Keptą.

Nie mogliśmy zobaczyć, co się stało kiedy go dopadły. Dotarły jednak do nas wstrząsające okrzyki strachu i krańcowego przerażenia. Świadczyły one aż nadto wymownie

o tym, że srebrne ptaki wyegzekwowały od Kepty to, co się im należało. Władca Koom znalazł wreszcie swój kres.

Wkrótce ptaki przefrunęły nad nami w drodze powrotnej, nawet nas nie zauważając. Patrząc za nimi odniosłem wrażenie, iż jeden z nich trzyma w szponach bezwładną sylwetkę. A może się myliłem?

Byliśmy przekonani, że już nigdy nie ujrzymy srebrnych ptaków, kiedy niespodziewanie nad naszymi głowami pojawił się jeszcze jeden, przez chwilę krążył w powietrzu, po czym nagle zanurkował i usiadł na moście. Już po raz trzeci dziwne, wielkie, purpurowe oczy wpłynęły we mnie spojrzeniem.

— Tak więc, człowieku, osiągnąwszy to, czego pragnąłeś, powracasz do zewnętrznego świata? A jednak nie powinieneś za nim tęsknić. My także potrafimy czytać ostrzeżenia, które są ukryte między gwiazdami. Potrafimy opuścić Krand, niczym starą, bezużyteczną skórę. I musimy to uczynić. Żegnaj, człowieku.

Ptak uniósł się i szybko zniknął w ciemnościach. Znów byliśmy sami.

Kiedy staliśmy, niemal nie poruszając się, przez długie chwile, starając się uspokoić i myśli, i oddechy, wokół panowała niczym nie zmacona cisza. I wtedy do naszych uszu dotarły czyjeś okrzyki.

— Nadchodzi pomoc — stwierdziłem. Odniosłem wrażenie, że Thralla zadrżała i zmienił się wyraz jej twarzy, jakby wróciła na nią jakaś maska. Odwróciła się w kierunku zbawczych odgłosów i ruszyła ku nim powoli, jakby z niechęcią.

Szliśmy razem, ramię w ramię, a ja co jakiś czas podnosiłem głos, odpowiadając na docierające z mroku okrzyki. Po niedługim czasie ujrzeliśmy słabe blaski, z każdą chwilą wyraźniej docierające do naszych oczu.

Tymczasem Thralla zamiast na ich widok przyspieszyć kroku, jeszcze bardziej zwolniła. Spojrzała na mnie, ja jednak nie potrafiłem zrozumieć cienia, jaki się czaił w jej wzroku. Zdawało mi się, że owiewa ją jakiś dziwny chłód. A mnie wypełniała ogromna radość. Czyż nie padła tak bardzo niedawno w moje ramiona? Czyż nie należała do mnie? Wkrótce ujrzeliśmy Zacata, Anatana i Thrana, stojących w miejscu, w którym brakowało pękniętego końca mostu. Trzymali liny, dzięki którym wraz z Thrallą mogliśmy w miarę bezpiecznie zejść na stały twardy grunt. Pierwsza po drugiej stronie znalazła się właśnie ona; kiedy ujrzałem ją bezpieczną w ramionach Thrana, obwiązałem się w pasie linami i skoczyłem. Gdy stanąłem przy Anatanie, Gorliańczyk od razu zapytał mnie:

— Co z Keptą?

— Zajęły się nim stworzenia, do których należą przestworza nad tą zatoką.

— Jest pan ranny! — Anatan ujrzał krew na moim tułowiu.

— To tylko zadrapania.

Thran jednak uważnie je obejrzał i opatrzył czystymi skrawkami jedwabiu. Następnie podał mi zapasowy kombinezon i polecił go włożyć. Mój wzrok przez cały czas utkwiony był w Thrali, stojącej obok Analii. Byłem coraz bardziej zaniepokojony, gdyż Thrala wyraźnie unikała mojego spojrzenia.

— A więc Kepty już nie ma — stwierdził Thran, kiedy zapiąłem pas.

— Tak. Zginął straszną śmiercią. — Opisałem mu skrzydlate stworzenia z zatoki.

— Nie ma Kepty — zdumiał się Gorliańczyk. — A więc tyrania w Koom skończyła się. Teraz musimy myśleć o Krand.

Ujrzałem, jak Thrala podnosi głowę.

— Tak — odezwała się. Jej głos był silny, chociaż jej usta drżały. — Teraz musimy myśleć o Krand.

9. UCIECZKA

Maszerowaliśmy szybko. Teraz, gdy wiedzieliśmy, jaki szmat Dróg Ciemności mamy do pokonania, tym bardziej pragnęliśmy jak najszybciej znaleźć się na powierzchni. Nie wątpiłem, że musi istnieć jakiś sposób uniknięcia nadchodzącej katastrofy. Sylwetki znad zatoki potrafiły przecież uciec, a Thrala powiedziała nam, że przygotowania Kepty do lotu, który miał zabrać go z Krand, były prawie zakończone. Czy było jednak możliwe, aby planetę opuścili wszyscy?

To, co potrafił Kepta, moglibyśmy chyba uczynić i my, jeżeli los podaruje nam dość czasu. Tak więc jedna część mojego umysłu była zajęta rozważaniami o ucieczce przed przeznaczeniem, a druga wciąż rozpamiętywała te chwile, gdy Thrala i ja, dzięki wielkiej miłości, uniknęliśmy śmierci. Wspominając je, nie potrafiłem zrozumieć teraz przyczyny okrutnego chłodu mojej wybranki. Śpieszyła do przodu, pilnując, aby Analia wciąż była przy jej boku, podczas gdy ja co jakiś czas musiałem dokładnie i wyczerpująco odpowiadać na pytania Thrana, których ten mi nie szczędził.

Jeśli chodzi o niego, to wkrótce po rozdzieleniu się z nami dotarł do dziwnej, błotnistej kotliny, w której wśród gigantycznych grzybów żyły okropne stworzenia. Thran i jego towarzysze z wielkim trudem odparli kilka ich napaści. Kiedy jednak stwierdzili, że poza tymi stworzeniami niczego interesującego nie napotkają, zawrócili i ruszyli naszą trasą. Na skraj mostu dotarli akurat w chwili, w której Zacat szykował się do skoku.

Wreszcie doszliśmy do korytarza, który pozwolił nam wydostać się z Dróg Ciemności. Wkrótce przechodziliśmy przez salę, gdzie tancerki z Qur wystukiwały swój dziwny i groźny rytm. Pałac przyjemności stał cichy i opuszczony. W każdej z komnat odnajdywaliśmy ślady, świadczące, że opuszczano je w wielkim pośpiechu. Nigdzie jednak nie napotkaliśmy żywej duszy.

Znów Analia przeprowadziła nas przez tajemne przejścia, ukryte w ścianach, tym razem wyprowadzając nas pod ziemią aż do cesarskich ogrodów. Wyjście to wykonane zostało na rozkaz Thrali, w czasach, gdy zrodził się szalony pomysł wykorzystania pałacu przyjemności w zmaganiach z Keptą.

Była noc, kiedy wyszliśmy na otwartą przestrzeń. Niedawny deszcz sprawił, że z ziemi parowała wilgoć. Uradowałem się, mogąc znów oddychać świeżym powietrzem mojego świata. Nikt z nas nie miał pojęcia, ile czasu minęło od chwili, gdy go opuściliśmy.

Rozpoczęliśmy szybki marsz przez ogrody, Thran postanowił bowiem, iż bez chwili zwłoki udamy się do Cesarza i opowiemy mu o wszystkim, co nas spotkało. Kiedy dotarliśmy do pałacu i zagłębiliśmy się w jego korytarze, starannie unikał tych przejść i pomieszczeń, w których moglibyśmy kogokolwiek napotkać.

Wreszcie zapukał do drzwi komnaty cesarskiej, i nie czekając na odpowiedź z drugiej strony, otworzył je. W ten to bezceremonialny sposób cała nasza grupa znalazła się na posiedzeniu rady. Ujrawszy Thragę, Cesarz z okrzykiem na ustach zerwał się na nogi. Po chwili wszyscy uczestnicy posiedzenia stłoczyli się wokół nas, domagając się błyskawicznych odpowiedzi na bezładnie rzucane pytania.

Gdy minął początkowy rozgardiasz, Thran zaczął opowiadać naszą historię. Ja jednak prawie go nie słuchałem, bacznie przyglądając się Thrali. W momencie, w którym opowieść dobiegła końca, usłyszałem jednak głębokie westchnienie Cesarza.

— A więc tak to było... Cóż, niech się Kepta raduje, że nie musi stawać przed obliczem rady, chociaż spotkał go los straszliwszy, niż my byśmy mu zgotowali, o ile wasza opowieść jest szczerą prawdą. Nie musimy już martwić się o Koom. Pozostaje sprawa klęski, którą przygotował nam jej władca. To dzieło szaleńca, nie możemy jednak dopuścić, żeby z jego powodu oszalało ze strachu całe Krand. Musimy żyć tak jak dotychczas, w sekrecie przygotowując się do tragicznego końca i szukając sposobów jego uniknięcia. Ile czasu nam zostało, córko? — zwrócił się do Thrali.

— Kepta mówił, że miną trzy miesiące, zanim nadejdzie najgorsze.

— A więc mamy tak mało czasu? Oznacza to, że musimy natychmiast przystąpić do pracy. Rada będzie obradowała jeszcze przez dziesięć godzin, a gdy ustalimy plan działania, natychmiast spotkamy się tutaj wszyscy ponownie.

Na tym chwilowo skończyła się nasza rola. Thrala i Analia wyszły z sali bocznymi drzwiami, nawet nie obejrzawszy się za siebie. Zacet, Anatan i ja udaliśmy się pośpiesznie do mojej kwatery. Thran pozostał przy Cesarzu.

Znalazłszy się w zaciszu swego apartamentu wykapałem się, a potem rzuciłem się na łóżko. Długo leżałem z otwartymi oczyma i rozmyślałem. Mój umysł nie potrafił ogarnąć tych wszystkich problemów, przed którymi stanąłem. Gdy wreszcie zasnąłem, męczyły mnie koszmary.

Na drugim nadzwyczajnym posiedzeniu rady spotkaliśmy tych wszystkich Oświeconych, którym ufał Cesarz, oraz pewnych przedstawicieli innych kast, również uznanych za godnych zaufania. Przez dobre cztery godziny najmądrzejszy astronom Krand wykladał wiedzę na temat tego, co nas zniszczy, i na temat innych światów.

Już w przeszłości udowodniono, że na żadnej z dwóch planet, które wspólnie z naszą znajdują się w naszym układzie słonecznym, nie może istnieć życie. Mogło ono jednak z całą pewnością istnieć w innych systemach słonecznych.

Jeden z nich, odległy od nas o kilkaset lat świetlnych, kusił dziewięcioma planetami, z których jedna powstała bardzo niedawno. Ten właśnie nowy świat powinien być naszym celem.

Kiedy wstępnie zaakceptowano propozycję astronoma, rada zwróciła się do mnie, pytając o statki kosmiczne. Wiedziałem, jak niewielką dysponuję wiedzą w porównaniu z Oświeconymi, a jednak odezwałem się:

— Przyspieszenie, potrzebne do wyrwania statku międzyplanetarnego z atmosfery Krand, zabije jego pasażerów, zanim zdołają przedostać się do przestrzeni kosmicznej. Musi to być statek, działający całkowicie inaczej, niż te, którymi do tej pory się posługujemy, zupełnie inaczej skonstruowany, zbudowany z innych materiałów.

Thran skinął głową.

— Ale źródłem energii już dysponujemy — powiedział.

— Jakim?

— Tym samym, jakiego używał Kepta. Energią słoneczną.

Pozostali odsunęli się nieco od niego

— Czyżbyś chciał złamać pradawną przysięgę? — zapytał Cesarz cicho.

Thran rozejrzył się po zgromadzonych.

— Musimy stawić czoła temu, co nas czeka. Dla Krand i większości jej mieszkańców nie ma przyszłości. Dla garstki, tylko garstki, która zostanie spomiędzy nas wybrana i gdzieś hen, daleko, odbuduje naszą rasę, istnieje przyszłość. Jeden jedyny statek, uwzględniający w swej konstrukcji wszystkie założenia, o których wspomniał Lord Garan, to wszystko, co w czasie, który nam pozostał, potrafimy zbudować. Statek poruszający się dzięki energii słońca jest w stanie wyrwać się z atmosfery Krand z żywymi pasażerami. Pytanie, które stoi przed nami, brzmi: czy rzucimy się, z całym naszym światem, do morderczej pracy, której efektem będzie ratunek jedynie dla niewielkiego ułamka spośród nas? Któż odważy się wskazać na osoby, dla których powinna poświęcić się cała Krand?

Cesarz popatrzył na ubranego w białe szaty mężczyznę, siedzącego po jego prawej stronie, Wielkiego Kapłana Świątyni Wiedzy. Ten wygładził na sobie szatę i podniósł wzrok. Jego starcze oczy zdawały się wpatrywać daleko w przyszłość.

— To bóg On wskazał nam tę drogę. Czyżbyśmy byli zbyt strachliwi, aby podążać jego ścieżką? — zapytał wolno. — Jeżeli ci, którzy udadzą się na nową planetę, będą tego

godni, nasz rodzaj spełni zadanie, jakie przed nim postawiono. Mówię wam jednak, ludowi Krand, dni Oświeconych przeminęły. To grzech jednego spośród Oświeconych sprowadził na Krand katastrofę, i dlatego podczas tych ostatnich dni, jakie nam pozostały, nie możemy już się dzielić na kasty z tą myślą, że Oświeceni stoją dumnie ponad wszystkimi, lecz musimy być dla siebie braćmi i siostrami, wyężającymi wszystkie siły dla osiągnięcia wspólnego celu.

Przez salę przebiegł szmer, a moje serce zabiło szybciej. A więc znikwały bariery, zabraniające Thrali należeć do mnie! Mogłem obwieścić całemu światu, co wyznaliśmy sobie z Thralą, kiedy śmierć zaglądała nam w oczy.

— Lordzie Garanie... — z wysiłkiem powróciłem myślami do sali i popatrzyłem na Cesarza. — Lepiej niż ktokolwiek z nas pojąłeś tajniki konstrukcji pojazdów powietrznych. Oddaję ci pod komendę wszystkich naszych fachowców. Od czego zaczniemy?

— Żyje na Krand pewien człowiek, niejaki Hay–Leen, który przez ostatnie dwa lata prowadził eksperymenty, związane z możliwościami odbywania lotów międzyplanetarnych. Udało mu się wysłać raketę na sąsiednią planetę, Soyu. Będziemy musieli powierzyć mu wszystkie tajemnice...

— Ufasz mu? Zawahałem się.

— Wiem o nim bardzo mało. Właściwie interesowałem się jedynie jego pracą. Od roku co miesiąc informował mnie o postępach w swych pracach. Nie mam jednak na jego temat żadnych osobistych danych. Ale uważam, że jest w tej chwili jedyną osobą na Krand, która może rozwiązać nasz problem.

— Hmm — Cesarz na moment zacisnął usta. — Lordzie Zacat, co dzieje się w kopalniach Ru? Czy jesteś w stanie zwiększyć ich produkcję, powiedzmy, podwoić wydobyte w ciągu następnego miesiąca?

— Daj mi, Panie, wolną rękę, a zrobię wszystko, co w mojej mocy — odparł Zacat ostrożnie, jednak jego odpowiedź najwyraźniej zadowoliła Cesarza.

— Pozostaje nam więc wybrać jakieś spokojne i odludne miejsce, odpowiednie do budowy statku międzyplanetarnego, i przystąpić do pracy. Lordzie Garan, czynię cię odpowiedzialnym za budowę tego statku. Lordzie Zacat, otrzymasz nowe zamówienia dla Ru. Z pomocą boga On rada nasza będzie spotykała się codziennie, do samego końca. Czy jesteśmy zgodni, moi Panowie?

Jeden po drugim członkowie rady skinieniem głowy poparli słowa Cesarza. Sprawa została więc postanowiona.

Następny miesiąc był koszmarem, okresem niewiarygodnie ciężkim dla wszystkich spośród nas — kroki, które Kepta podjął przed śmiercią, sprawiały, że nieustannie groziły nam rebelie i bunty, tak że zajęty byłem nie tylko jako budowniczy statku, ale też jako Marszałek Cesarskiej Floty Powietrznej. Gdyby nie pomoc Anatana, na którego z każdym dniem zrzucąłem coraz więcej obowiązków, nigdy nie zdołałbym wypełnić swych zadań.

Młody Aholiańczyk w tym krótkim czasie spowaźniał i wydorósł. Był gotów wypełniać moje rozkazy o każdej godzinie dnia i nocy. Pomoc, jakiej mi udzielał, i sympatia, jaką go darzyłem, nie były jedynymi przyczynami, dla których starałem się, aby zawsze był przy mnie. Tylko za jego pośrednictwem mogłem otrzymywać nowe wiadomości o Thrali.

Analia, jego siostra nadal była damą dworu Thrali i ciągle przebywała w otoczeniu Księżniczki. Przez cały ten miesiąc osobiście nie spotkałem Thrali ani razu.

Pewnego wieczoru siedziałem samotnie w moim apartamencie, zapoznając się z raportami z Ru, zawierającymi osobiste uwagi Zacata, gdy przybył do mnie Anatan. Położył przede mną małą metalową skrzyneczkę, jedną z tych, w jakich na Krand przesyłaliśmy wiadomości. Zwój jedwabiu, który z niej wyciągnąłem, zawierał tylko jedno zadanie: „W grocie o wschodzie księżycy.”

Na zwoju nie było żadnego podpisu.

— Skąd to masz? — zapytałem.

— Od Analii — usłyszałem krótką odpowiedź.

Zrozumiawszy natychmiast, kto jest nadawcą wiadomości, szybko schowałem jedwab do kieszeni. Anatan przez dłuższą chwilę stał przy mnie, z wyrazem niezdecydowania na twarzy.

— O co chodzi? — zapytałem. Rozłożył ręce w geście bezradności.

— To nie jest w porządku! — zawołał i natychmiast wybiegł z pokoju. Zorientowałem się, z jakim trudem te słowa przeszły mu przez gardło.

Zastanawiając się, co spowodowało jego wybuch, podszedłem do okna. Księżyc miał wzejść lada moment, dlatego moje serce już teraz biło jak oszalałe, oczekując spotkania z ukochaną. Jak błyskawica zbiegłem po schodach.

Mój prywatny latacz dotknął pałacowego lądowiska po krótkim locie i kiedy zatrzymałem go w miejscu, natychmiast opuściłem kabinę i pobiegłem przed siebie, powtarzając w myślach hasła dla wartowników. W ogrodzie wiał chłodny wiatr, który sprawił, że tej nocy z taką jasnością jak nigdy uświadomiłem sobie, jaki los czeka planetę. Zadrzałem; nie wiem, z zimna czy ze strachu. O tragedii, jaka nas czeka, rozmyślałem, poszukując groty, w której już niegdyś spędziłem niezapomniane chwile z Thralą.

Było wcześniej i nikt jeszcze na mnie nie czekał. Płonąc z niecierpliwości, spacerowałem w tę i z powrotem, ukryty w cieniu drzew. Na szczęście nie musiałem długo czekać. Wkrótce z cienia wyłoniła się sylwetka, którą znałem tak dobrze.

— Thrala!

Moje ramiona objęły ją, moje usta poszukały jej cudownie słodkich ust. Po chwili jednak moja ukochana uwolniła się z moich objęć.

— Co ja zrobiłem złego, najdroższa? Przestraszyłem cię? Potrząsnęła przecząco głową i w tej chwili w blasku księżyca ujrzałem, że po jej policzkach toczą się łzy.

— To wszystko moja wina, Garanie...

— Pewnie jesteś zmęczona — przerwałem jej szybko.

— I jeszcze zadałaś sobie trud, żeby się ze mną spotkać. Och, jaki jestem okrutny...

— Nie, nie! — zawołała z rozpaczą w głosie. — Jakże mam ci to powiedzieć?

Dłonie zacisnęła w pięstki, a łzy jeszcze szybciej popłynęły po jej policzkach. Trwało to długą chwilę, po której odetchnęła, jakby zapanowała nad sobą.

— Garanie, nie uczyniłeś niczego, co nie byłoby prawe, piękne i dobre. Oboje będziemy o tym pamiętali, kiedy... — głos zamarł jej w gardle.

Zadrzałem, gdyż w tej chwili zdałem sobie sprawę, że nie mogę już dłużej być szczęśliwym człowiekiem.

— Co chcesz powiedzieć, Thralo? — zapytałem najłagodniej, jak potrafiłem. — Nie bój się, ukochana, powiedz mi to.

— Garanie, nie ode mnie zależy moje życie i moje uczucia. Nie wolno mi samej wybierać własnej drogi. Postanowiono, że dla dobra Kranda należeć będę do Thrana. Czuję w tej chwili całą okropność swego grzechu. Należałam bowiem do Thrana już wtedy, gdy na Drogach Ciemności wyznawałam ci miłość. Należę do niego od dnia, w którym wróciłam ze Świątyni Światła. Potęp mnie teraz, Garanie, i będziesz miał rację. Ukochany, postąpiłam wobec ciebie tak okrutnie!

Czułem, jak moje ciało przeszywa chłód.

— Należysz do Thrana? — zapytałem głuchym głosem. — Całym sercem?

Wysoko uniosła głowę.

— Nie, i nigdy tak się nie stanie. Kiedy po raz pierwszy ujrzałam cię w lataczu mojego ojca, gdy spotkały się nasze oczy, zadrzało moje serce i zrozumiałam, że nigdy nie pokocham nikogo, oprócz ciebie. Jesteś mój, Garanie, i ja należę do ciebie; jedynie okrutne prawa tego świata nas rozdzieliły. Kiedy pojąłem, że przeznaczony mi jest Thran, w nieskończoność opóźniałam przyjęcie jego oświadczyn, miałam bowiem nadzieję, że zły los

jednak mnie opuści. A gdy staliśmy oboje wśród Dróg Ciemności, czując nadchodzącą śmierć, postanowiłam wyznać ci swe uczucia. Wyrwaliśmy się jednak śmierci, chociaż dla naszego wspólnego dobra powinniśmy byli zginąć. Dzisiaj zapadło postanowienie, że Thran poprowadzi lot ku obcej planecie i ja polecę z nim. Mój obowiązek jest okrutnie prosty: muszę odrzucić miłość. Odrzucić, Garanie...

Jej głos był coraz cichszy i w końcu zupełnie umilkła. Osunęła się na ławkę i rozszerzonymi oczyma wpatrywała się w drzewa, które maskowały naszą kryjówkę. Roześmiałam się cierpko, a gorycz, która zabrzmiała w moim śmiechu, dotarła nawet do moich uszu.

— A więc żołnierz jest już niepotrzebny i wy, Oświeceni, o tym zdecydowaliście. A jeśli tym razem się nie podporządkuję? Jeżeli będę dochodził swoich praw do tego, co mi się należy?

— Garanie! — w jej głosie zabrzmiała nowa siła. — Garanie, byłam dla ciebie okrutna, nie skazuj mnie jednak na to, bym do końca swych dni wspominała tę chwilę z przykrością. Z mojej winy nasza miłość jest niespełniona, ale takim postępowaniem byś ją jedynie zniszczył.

— Przepraszam cię, Królowo. Już nigdy nie przyjdzie mi do głowy myśl o sprzeciwie. Garan powróci na swe właściwe miejsce.

Wyrzekłszy te słowa odwróciłem się i opuściłem ją, starając się nie słyszeć jej głośnego szlochu. Ogarnęła mnie szaleńcza nienawiść do wszystkich i wszystkiego; cały świat widziałem w tej chwili przez czerwoną mgłę nieopisaną złości.

Gdy znalazłem się z powrotem w swojej kwaterze, nieprzytomnym wzrokiem zacząłem wpatrywać się w ściany. Przez całą noc nerwowo krążyłem po sypialni. Kiedy nadszedł ranek, byłem już spokojny. W ciągu tych kilku gorzkich godzin coś we mnie umarło, zginęła młodość oraz chęć i radość życia.

Dni, które mi pozostały, przeżywałem spokojnie, odbierając wszystko z obojętnością i mechanicznie wykonując swoje obowiązki. Moi eksperci w pocie czoła pracowali na pustkowiach Cor, gdzie kadłub statku międzyplanetarnego powoli nabierał kształtów. Zacat dokonywał niemal cudów w Ru; docierały do nas stamtąd niezliczone wieści o jego heroizmie, ale i o bezwzględności. Anatan przez cały czas krążył wokół mnie, uważnie przyglądając mi się oczyma, w których widniał głęboki smutek. A ja mimo to przez cały czas byłem samotny.

Rada zdecydowała, że wyślemy wiązkę skondensowanej energii w kierunku planety, która miała być celem naszego statku. Tym gigantycznym tunelem czystej energii miał

właśnie, niczym pocisk, polecieć statek międzyplanetarny i bezpiecznie dotrzeć na miejsce przeznaczenia. Niewidzialne ściany tunelu miały chronić podróżnych przed wszelkimi przeszkodami, przede wszystkim niebezpiecznymi meteorami. Taka była teoria... Niestety, nie mieliśmy możliwości wypróbowania jej w praktyce. Zbliżająca się katastrofa niczym wielki młot wisiała nad naszymi głowami, nie pozwalając ani na chwilę o sobie zapomnieć.

Trzy tygodnie przed końcem zwołana została w Yu-Lac wielka konferencja. Nie można już było ukrywać dłużej przed mieszkańcami losu Krand. Kres planety właściwie już nadszedł. Rozpoczęły się erupcje wulkanów, trzęsienia ziemi i pożary, nasilające się z każdym dniem.

Kolejnej nocy spotkaliśmy się, aby wybrać tych, którzy mieli polecieć w przestrzeń z zadaniem ocalenia naszej rasy. Thran i Thrala siedzieli obok siebie, a przed Lordem Gorl leżała lista z imionami. Było jasne, że na statek mogą wsiąść tylko młodzi i sprawni ludzie, dający nadzieję, że przetrwają trudy podróży międzyplanetarnej. Tylko kilkoro spośród zgromadzonych spełniało te wymagania. Wszyscy z uwagą zaczęli przysłuchiwać się głosowi Thrana.

Czytał imię po imieniu. Ucieszyłem się, gdy usłyszałem, że wybrani zostali także Anatan i Analia. Wkrótce usłyszałem również swoje imię. Jednak kiedy Thran skończył, wstałem i odezwałem się:

— Lordowie, wycofajcie z listy moje imię.

— Ależ, potrzebujemy cię...

Nie pozwoliłem Thranowi dokończyć:

— Z żołnierza takiego jak ja mielibyście niewielki pożytek w nowym świecie. Pozostanę tutaj, gdyż pragnę walczyć z paniką i nieporządkiem ostatnich dni. Nie polecę z wybranymi. Należę do Krand i na Krand pozostanę aż do jej kresu.

Popatrzyłem na Thralę. Nie było już we mnie goryczy i nienawiści, więc nawet się do niej uśmiechnąłem. Ujrzałem, jak dłonią dotyka swych ust, a potem posyła mi pocałunek. Byłem zadowolony.

Mimo iż usiłowano wpłynąć na mnie, abym zmienił swoją decyzję, podtrzymałem ją. Anatan pozostałby ze mną, gdybym na siłę nie wcisnął go do latacza, zmierzającego ku odludnemu Cor i statkowi. W ostatniej chwili podeszła do mnie Thrala.

— Ukochany — powiedziała — pamięć o tobie będzie dla mnie cenniejsza niż wszystkie skarby, jakie zdołałabym sobie wyobrazić. Zegnam cię. Obyśmy się pewnego dnia znów spotkali.

Nie zważając na to, że obserwuje nas wiele osób, złożyła pocałunek na moich ustach.

Wkrótce odlecieli, a my staliśmy na pasie startowym, długo wpatrując się w czarną plamę latacza znikającą w oddali. Z zadumy wyrwał mnie Zacat. Podeszedł do mnie z wyciągniętą dłonią i ze smutnym uśmiechem na twarzy.

— Byłeś wspaniałym przyjacielem, Garanie — powiedział. — Kiedy znów się pewnego dnia spotkamy, poza gwiazdami, będziemy mieli wiele wspólnych wspomnień. A teraz żegnaj.

— Dokąd się udajesz? — zapytałem.

— Z powrotem do Ru. Jestem żołnierzem i pragnę do końca pozostać na swoim posterunku.

Minęło kilka minut i jego latacz odleciał w kierunku Ru. Zostałem sam.

10. CIEMNOŚĆ

Staliśmy na koronie najwyższej spośród wież obserwacyjnych, znajdujących się w Yu–Lac. Całym ciałem przywierałem do kamienia, którego chłód czułem przez płaszcz. A może to jedynie we mnie tkwił chłód, spowodowany pewnością zbliżającej się śmierci?

— Nadchodzi!

Czy powiedział to głośno Cesarz, czy też słowo to powstało tylko w mojej wyobraźni?

A jednak... Za szczytami odległych gór ujrzałem łunę, z każdą chwilą coraz bardziej czerwoną. Usłyszałem wstrząsający pomruk. Spod moich stóp docierały aż tutaj odgłosy paniki, szybko opanowującej ulice miasta. Byłem bezsilny, a jednak nie chciałem jeszcze wierzyć, że bóg On zezwolił na tak straszliwą zagładę.

Zatkałem rozpaczliwie i w tej samej chwili Cesarz objął mnie ramieniem. Zewsząd docierały do nas odgłosy ginącego świata.

— Bądźmy dzielni do końca, synu — powiedział Cesarz.

— Tak, bądźmy dzielni do końca.

Powoli, ramię przy ramieniu, zaczęliśmy schodzić po wąskich schodach w dół. Na ulicy rozdzieliliśmy się. Cesarz podążył do swoich obowiązków, ja do swoich.

Jako żołnierz zdawałem sobie sprawę, że od tej chwili do samego końca powinienem używać wszystkich sił, jakimi tylko będę dysponował, aby utrzymać jak największy spokój wśród mieszkańców Yu–Lac. Zdawałem sobie sprawę, jak trudna i niewdzięczna jest moja rola. I właściwie nie do spełnienia. Musiałem jednak próbować.

Ludzie gromadzili się dosłownie wszędzie — przerażeni, zrozpaczeni. Niektórzy swoją rozpacz wyładowywali w bezsensownych aktach przemocy, grabieżach, gwałtach. Z dumą stwierdziłem, że żołnierze nie poddają się powszechnej panice, że podejmują nadludzkie wysiłki, aby zapanować nad chaosem. W swej wędrówce na stanowisko dowodzenia musiałem używać łokci, aby w miarę szybko poruszać się ulicą. Pod ścianami domów migwały mi sylwetki osób, które się modliły. Nie miałem teraz ochoty na modlitwę, nie chciałem nawet o niczym rozmyślać. Trudno mi było jednak uwolnić się od wspomnienia o Thrali i natrętej myśli o tym, że zmierza ona teraz ku nowej, obcej planecie, aby rozpocząć nowe życie, w którym dla mnie i tak nie byłoby miejsca. Tkwiły we mnie zaledwie resztki wiary, iż bóg On wynagrodzi mnie nową egzystencją, taką, w której pewnego dnia, w innym czasie i innym świecie, znów napotkam moją ukochaną. A wówczas żadna siła — ani boska, ani ludzka — już nas nie rozdzieli.

Z tym postanowieniem dotarłem na stanowisko dowodzenia. Wiedziałem, że moja praca nie ma już sensu, że po każdej zbrodni, której sprawca zostanie ukarany, i tak nastąpi wiele kolejnych. A jednak musiałem do końca wypełniać swoje obowiązki.

Kilka następnych dni było koszmarem. Przez cały czas, nie dzieląc go ani na dni, ani na noce, wypełniałem swoje powinności. Odniosłem wrażenie, że wszelkie formy zorganizowanego życia na Krand zaniknęły. Ludność dosłownie dziczała. Większość budynków ograbiono, niektóre nawet podpalono. Nie było już możliwości aresztowania nikogo; otworem stały wszystkie więzienia. Wykonywaliśmy wyłącznie kary śmierci, i to tylko wobec złoczyńców, którzy zostali schwytani na miejscu przestępstwa. Nieliczni tylko wykonywali jeszcze normalnie swoje obowiązki: żołnierze, policjanci i większość Oświeconych, Kto nie chciałby wierzyć, jak ogromne zło uczynił Kepta, powinien był w tych dniach znaleźć się w Yu–Lac.

W kolejnym, czwartym dniu pracy bez chwili wytchnienia doszedłem do wniosku, że jeżeli nie prześpię się przez kilka godzin, zasnę na stojąco. Godziny wypoczynku postanowiłem spędzić w Pałacu Cesarskim. Z trudem przedostałem się do latacza. Na szczęście udało mi się wystartować.

Lot nad ginącą planetą był koszmarem. Wszystko było mi już obojętne. Wątpiłem, czy powrócę jeszcze do swych obowiązków. Chwila ostatecznej zagłady zbliżała się nieodwołalnie.

Nagle mój latacz wpadł w okropną wicherę, zmierzającą naprzeciwko mnie. Jeszcze chwila i przestał być mi posłuszny. Maszyna stała się tylko piłeczką, podrzucaną przez kolejne podmuchy. Spadając w dół, przypięty pasami do swego fotela, zupełnie bezsilny, widziałem przez przednią szybę na zmianę ziemię i niebo, ziemię i niebo, ziemię i niebo... Wkrótce nie było już wokół ani nieba, ani ziemi, a tylko bezkresna ciemność. Zupełnie nie kontrolowałem swego lotu. Byłem zabawką w rękach żywiołu, byłem człowiekiem, czekającym na śmierć. Nie mogłem już oddychać, niczego nie widziałem, i w tej ostatniej chwili oczyma wyobraźni ujrzałem tylko Thralę, moją ukochaną, wymarzoną Thralę.

Długą chwilę milczeliśmy, Lady Thrala i ja — będący już teraz Garanem z Płomieni, ze świata jaskiń na planecie Tav. Nasze wspólne przeżycia były zbyt bolesne, a ból zbyt świeży, aby o nich rozmawiać.

Kim ja właściwie byłem? Garanem z Yu–Lac czy Garanem z Płomieni, żywym, mogącym w każdej chwili wyciągnąć dłoń ku Thrali? I gdzie my właściwie się znajdowaliśmy? Widziałem puste pomieszczenie, a w nim ogromne lustro, za którymi była widoczna tylko czerń.

Poszukiwanie zakończyło się. Koniec był początkiem.